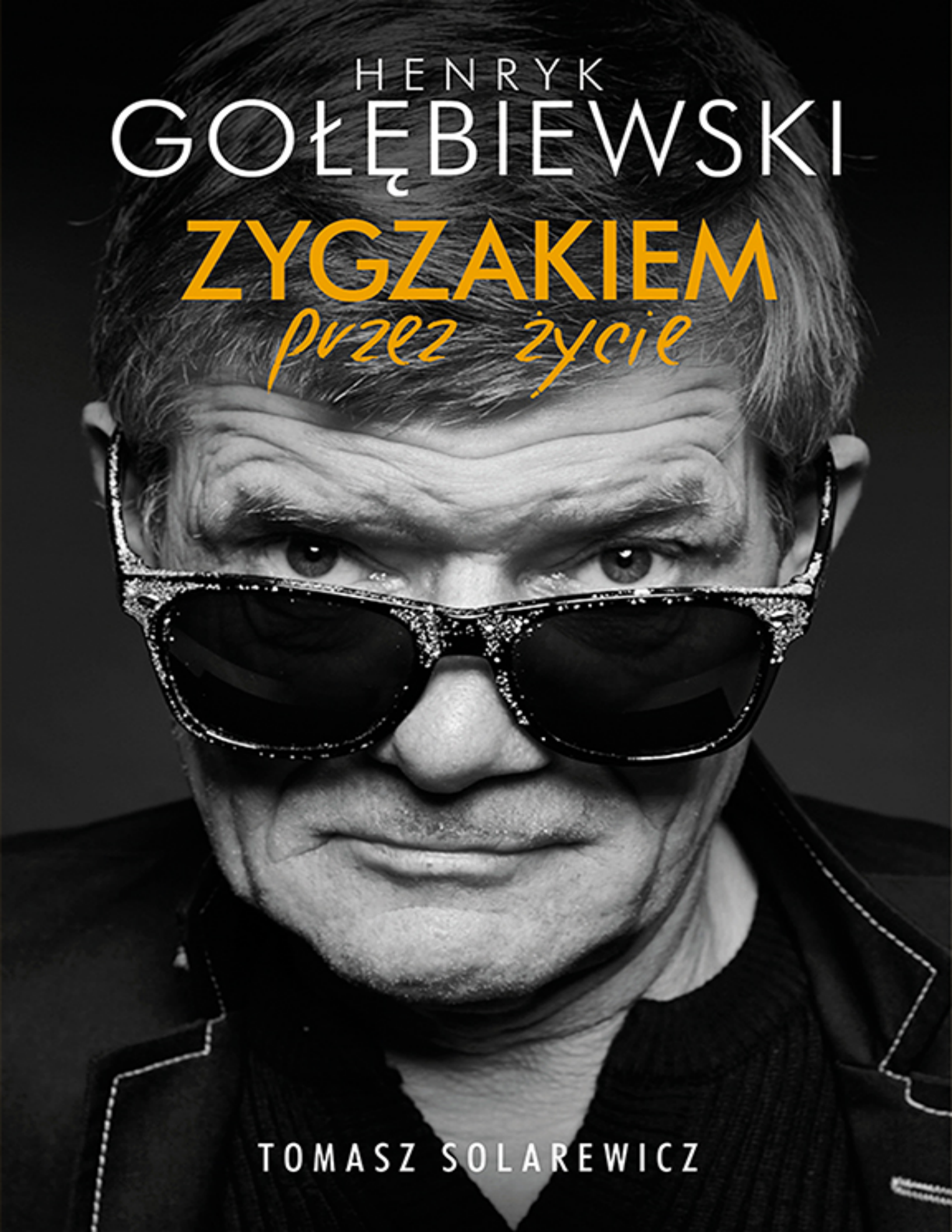
HENRYK
GOŁĘBIEWSKI
ZYGZAKIEM
przez życie
TOMASZ SOLAREWICZ

TOMASZ SOLAREWICZ

HENRYK GOŁĘBIEWSKI
ZYGZAKIEM przez życie

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE
MUZA SA

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*
Redakcja: *Irma Iwaszko*
Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*
Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*
Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*
Korekta: *Sławomira Gibka*

Zdjęcie wykorzystane na okładce i zdjęcia wykorzystane na wyklejkach:
© fot. Piotr Wachnik

© for the text by Henryk Gołębiewski and Tomasz Solarewicz
© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2016

ISBN 978-83-287-0106-9

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
Warszawa 2016
Wydanie I

Spis treści

1 JAK TO SIĘ ZACZĘŁO, CZYLI ABEL, TWÓJ BRAT…
2 NIE WIERZĘ W DUCHY! – CZYLI WAKACJE Z DUCHAMI
3 PODRÓŻ ZA JEDEN UŚMIECH, CZYLI DUET DOSKONAŁY
4 CEGIEŁKA
5 DLA MNIE GIT!
6 DO WOJA MARSZ, DO WOJA!
7 DWADZIEŚCIA LAT NA MARGINESIE ŻYCIA
8 MIRA
9 NADCHODZI EDI
10 CO DALEJ?…
11 MARZENNA
12 NIE MA RÓŻY BEZ OGNIA
13 MÓWIĄ O HENIU
WYBRANA FILMOGRAFIA

JAK TO SIĘ ZACZĘŁO, CZYLI *ABEL, TWÓJ BRAT…*

Henryk Gołębiewski – Henryk Balon (z lewej), Edward Dymek – Waldemar Pacuch i Filip Łobodziński – Karolek Matulak (kadr z filmu *Abel, twój brat*)
(© POLFILM/EAST NEWS)

TOMEK SOLAREWICZ: Heniu, pamiętasz swój pierwszy scyzoryk?

HENIO GOŁĘBIEWSKI: No jasne! Z jednej strony miał wysuwane ostrze, a z drugiej taki wichajster z otworem w kształcie kwadratu. Dobry był do wyciągania gwoździ… Miałem też oczywiście finkę, taką harcerską, w pochwie przy pasku. Grałem nią w pikuty z kolegami. Wbijało się nóż w piasek z różnych pozycji – od najłatwiejszej do najtrudniejszej. Była „rączka”, „widełki”, „łokieć”, „zegarek”, „bródka”, „nos”, „czółko” i tak dalej w ten deseń. Młodzi mogą nie wiedzieć, ale była to dość ryzykowna gra, zwłaszcza gdy ostrze opierało się na

nosie lub między oczami. Trzeba było z tej pozycji tak rzucić nożem, aby wykonał w powietrzu obrót i wbił się w ziemię. Czasem kosa się wysmyknęła i nieszczęśnik wracał do domu z porysowaną facjatą… Grało się również w „państwa" – zakreślało się koło i przedzielało je kreską na pół. Jedna połówka należała do jednego rywala uczestnika zabawy, druga do drugiego. Chodziło o to, żeby wbijając nóż w pole przeciwnika, wykroić z niego jak największą część dla siebie. Wygrywał ten, kto zdobył całkowicie półkole rywala.

Kiedy byłem starszy, dostałem piękny szwajcarski scyzoryk, wielofunkcyjny, z czerwonymi okładkami i herbem Szwajcarii. Miał mnóstwo bajerów – pilniczek, nożyczki, korkociąg, wkrętak, otwieracz do kapsli… W tamtych czasach to był szczyt marzeń każdego chłopaka.

Ale chyba nie tylko w noże grałeś?

U nas, na Dąbrowskiego (tzw. Pierwsza Kolonia Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej), nie można było się nudzić. Razem z kolegami z podwórka graliśmy, w co się dało. Nawet sami wymyślaliśmy zabawy. Przecież dziecięca wyobraźnia nie zna granic… Nie to co teraz – siedzenie przed komputerem jak niewolnik. Dawniej wracało się ze szkoły, teczka leciała w kąt, skibka w grabę i na podwórko! Od czasu do czasu wpadało się z powrotem do chaty, żeby wziąć kromkę chleba posypaną cukrem i polaną wodą. Żebyś wiedział, jak to smakowało! Pamiętam, jak kiedyś wymyśliliśmy grę w berka, ale… na drzewach! To było w małpim gaju na Polach Mokotowskich. Ganialiśmy się, przeskakując z gałęzi na gałąź jak Tarzan. Ten, kto zleciał na ziemię, odpadał. Tak samo ganialiśmy się po dachach.

I nikt się nie połamał?

Czasem ktoś bęcnął na ziemię, ale byliśmy wysportowani jak cyrkowcy. A siniaki i podrapane kolana to była dla nas normalka. Ganialiśmy się po dachach, buszowaliśmy po piwnicach. Ale najważniejsza była gra w nogę. Nawet wieczorem, prawie po

ciemku. Dopóki nas rodzice nie zawołali. Grało się również w kapsle, zwłaszcza w maju, kiedy trwał Wyścig Pokoju. Na murku lub na trasie wytyczonej na ziemi albo wyrysowanej kredą na chodniku. Każdy chciał być Szozdą czy Szurkowskim. Popularne były wtedy rowery dla młodzieży, tzw. półkolarzówki, takie o mniejszym wymiarze kół.

Miałem taką w Zielonej Górze, nazywała się Start. Wyglądała jak kopia prawdziwej szosowej kolarzówki. Wyposażona była w przerzutki, a pod ramą miała bidon na oranżadę…

Ale kolarzem nie zostałeś, tylko scenarzystą. Wracając do zabaw z dzieciństwa. Grało się w ciupy – podrzucając kamień, w zbijaka, w zośkę, w bąka… Albo po prostu wisiało na trzepaku, wykonując różne ewolucje – podciąganie, wiszenie głową do dołu, kołowrotki i takie różne…

Pamiętasz jakąś podwórkową wyliczankę?

Ene due rabe,
Zjadł Tadeusz żabę.
Żaba Tadeusza
W brzuchu mu się rusza.

Zresztą, czego myśmy nie urządzali! Gonitwy po piwnicach, łażenie na czereśnie – co mogło się skończyć poszarpaną przez psa stróża nogawką, obieranie korków do gołej siarki i potem rzucanie ich dla draki przechodniom pod nogi… A nierzadko taki korek wybuchał nam w palcach. Piekło jak cholera. Tak samo kombinowaliśmy ze szturmówkami. Nie, nie chodzi wcale o chorągiewki, tylko o zapałki z bardzo długą siarkową główką, można je było kupić normalnie w kiosku. Strzelaliśmy nimi z procy – już zapalonymi. A nawet samodzielnie konstruowaliśmy petardy! Pirotechnikę mieliśmy w małym palcu. Kiedyś z bratem i kolegą skonstruowaliśmy taką mocną petardę, odpaliliśmy i w nogi! Nagle słyszę krzyk brata. To ormowiec złapał go i wali pałą. I w tym

momencie petarda wybuchła. Huk taki, że bębenki pękają. Ormowiec padł na ziemię, bo myślał, że to bomba. A my w tym czasie dyla.

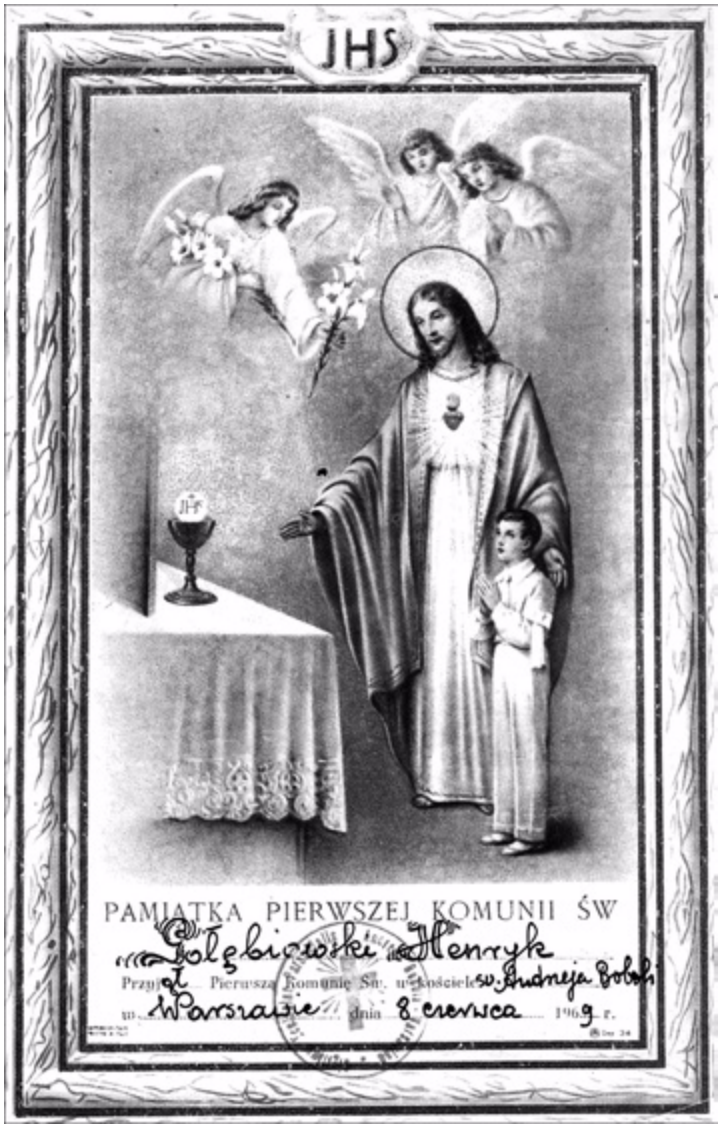

Rozrabiałeś?

Hmm… Aniołkiem to ja nie byłem. Już w pierwszej klasie zacząłem szurać. Liczyła się przygoda i dobra zabawa. Pamiętam, że kiedyś włamaliśmy się do piwnicy, żeby buchnąć kombinezon płetwonurka. To było tak: krążyła plotka, że w Morskim Oku na Dolnym Mokotowie zatopiony jest niemiecki czołg, a w drugiej wersji

– jakiś skarb. I my postanowiliśmy to coś odszukać. A tak się złożyło, że w sąsiednim bloku mieszkał płetwonurek. I mu się zmarło. Więc plan był taki, że buchniemy ten kombinezon i odnajdziemy skarb. Na szczęście pomysł spalił na panewce. Inaczej pewnie byśmy się potopili.

Częstym naszym psikusem było związywanie sznurkiem drzwi sąsiadów mieszkających naprzeciw siebie. Dzwoniliśmy jednocześnie do obu mieszkań, a sąsiedzi ciągnęli za klamki i nie mogli otworzyć, wtedy my przecinaliśmy sznurek i dawaliśmy dyla. A obydwaj sąsiedzi lądowali na podłodze. Co jeszcze? Grało się w karty – oczywiście na zapałki, grało się „na pieniądze" rzucane pod murek lub opuszczane prosto na ziemię. W pierwszym przypadku wygrywał ten, którego moneta upadła najbliżej murka – wtedy zgarniał wszystkie pozostałe monety. W drugim zwycięzcą zostawał ten, którego moneta nakryła jedną z pozostałych. W zimie też się nie nudziliśmy. Dozorca brał szlauch, wylewał wodę na podwórku i mieliśmy własne lodowisko. To była nagroda za pomoc w grabieniu liści. Popularne były wtedy łyżwy na dwóch ostrzach.

Były bezpieczniejsze i łatwiej zachowywało się na nich równowagę. Popularne też były własnoręcznie zrobione pojazdy „trajkotki" – czyli łyżwy przymocowane do deski. Takie ówczesne bojery, tyle że bez żagla.

Ale jeździło się również po prostu na gołych butach za samochodem, trzymając się zderzaka. Kiedyś w kilku schowaliśmy się za syrenką. Kierowca ruszył i po jakimś czasie zorientował się, że ciągnie kogoś za sobą. Postanowił nas zgubić. Zaczął raptownie hamować i przyspieszać, żeby pozbyć się balastu. Skończyło się na tym, że on odjechał, a my zostaliśmy… z tylnym zderzakiem w łapach! Co jeszcze? Urządzaliśmy bitwy na śnieżki. Najbardziej dostawało się dziewczynom, chociaż czasem i one urządzały na nas zasadzkę i bombardowały ze wszystkich stron. Potem my – w rewanżu – nacieraliśmy im uszy śniegiem.

Urządzaliście też walki bokserskie…

He he… Podpuszczali nas starsi koledzy z podwórka. Jeśli doszło do jakiejś sprzeczki, mówiło się: „Chodź na colę!”, czyli wychodziło się na solo. Był taki sąsiad – Kowboj – wynosił z domu dwie pary oryginalnych rękawic bokserskich i zakładał je rywalom. Dookoła zbierała się cała ekipa z podwórka – starsi, młodsi. Na dany znak rozpoczynała się walka. Bez sędziego.

Ile rund?

Rund? Nie było żadnych rund! Boksowało się dotąd, aż jeden z przeciwników padł na glebę. Oczywiście wiara głośno dopingowała walczących. A ci starsi mieli niezły ubaw. My mieliśmy po osiem, dziesięć lat, a oni piętnaście, siedemnaście, i po prostu nas podpuszczali dla draki. Walka była honorowa, kończyła się podaniem rąk i sztamą. Możesz sobie wyobrazić, jak my – małe szczuny – komicznie wyglądaliśmy w wielkich, profesjonalnych bokserskich rękawicach…

Henio i jego druh Barszczyk (zdjęcie z archiwum domowego)

Miałeś jakichś ulubionych kumpli?

Barszczyk i Kuba. Nasza trójka miała odlotowe pomysły. Podszywaliśmy się pod harcerzy i zbieraliśmy makulaturę i butelki, a potem na zdobycznym wózku wieźliśmy ten majdan do skupu. W zimie robiliśmy szopkę z pudełka po butach – w środku był żłóbek, figurki wycięte ze świętych obrazków, wata udająca śnieg, a nawet żaróweczka! Kolędowaliśmy tak po domach, drąc się: „Przybieżeli do Betlejem paasterzeee!”. Potem inkasowało się drobne

i pukało do następnych drzwi. Za zebraną forsę grało się w „kupki”, kupowało słodycze, lody albo bilety do kina. Ponieważ były drogie, musieliśmy coś wykombinować – wchodził jeden łepek do sali (oczywiście legalnie), a gdy zgasło światło, skradał się w ciemności, uchylał drzwi wyjściowe za kotarą i wpuszczał resztę kolegów.

Nie zapomnę zabawnej sytuacji, jak kiedyś na wagarach poszliśmy do kina. Sala kompletnie pusta, tylko ja, Barszczyk i Kuba. Gaśnie światło, zaczyna się tradycyjna wówczas kronika filmowa, a po niej film – o ile pamiętam, miał tytuł *Strategia pająka*. Jakiś historyczny, Boże, co za nuda!

Wszyscy uderzyliśmy w kimę i przespaliśmy cały seans. Po projekcji, gdy zapaliło się światło, bileter nie mógł nas dobudzić. I zdumiał się, że do kina wszedł jeden, a na koniec seansu wychodzi trzech.

Natomiast latem, bardzo często chodziliśmy na basen, na Legię. Przełaziliśmy niepostrzeżenie przez płot, żeby nie płacić za bilety.

I nikt was nie przyhaltował?

Czasem noga się powinęła. Wtedy przez godzinę musieliśmy zbierać papierki za karę. Ale potem w nagrodę mogliśmy się kąpać do woli! Oprócz tego chodziliśmy na korty, żeby podawać tenisistom piłeczki. Biegaliśmy zziajani jak charty. Wtedy też dostawaliśmy parę groszy.

Henio i jego druh Barszczyk po latach… (zdjęcie z archiwum domowego)

Jak reagowali rodzice na twoje psikusy?

Ojciec był cierpliwy. Grał w warcaby, rozwiązywał krzyżówki, wysyłał totolotka… Szczerze mówiąc, bardziej bałem się Mamy, bo ona potrafiła chwycić za ścierkę i przylać.

Opowiedz mi o nich.

Rodzice poznali się w czasie wojny, kiedy wywieziono ich na roboty do Niemiec, do miejscowości Greven w Nadrenii Północnej-Westfalii. Po kapitulacji hitlerowców początkowo chcieli tam zostać na stałe, tam też urodził się mój najstarszy brat Janek. Niewiele brakowało, a dziś szprechałbym jak rodowity Fryc. Ale w końcu wrócili do Polski.

Ojciec pracował jako brygadzista w Żelbecie, ale poza tym także jako malarz pokojowy łapał prywatne fuchy – w domu potrzebny był przecież każdy grosz. Ja i bracia chodziliśmy razem z nim, do pomocy. Zapytanie: „Idziesz na prywatkę?” oznaczało tyle, co: „Czy idziesz pomalować komuś chatę?”. Malowaliśmy co się dało – mieszkania, domki, piwnice, garaże.

Ojciec lubił wypić i wtedy szedł w tango… Ale w pracy nie bumelował, nawet dostawał nagrody i premie za dobrą robotę. Na święta przynosił paczki z zakładu pracy. Pamiętam, jak kiedyś malował jakieś pomieszczenie. Jego brygadzista, wiedząc, że Ojciec lubi golnąć, specjalnie postanowił przypilnować, żeby nie przyniósł ze sobą alkoholu. Wtedy Ojciec, z miną niewiniątka, pokazał mu puste kieszenie. A kiedy uspokojony brygadzista odszedł, jak gdyby nigdy nic wyjął flaszeczkę z… wiadra z farbą! Przepłukał pod zlewem i miał napitek. Taki był pomysłowy. Kiedy brygadzista wrócił, to nie mógł się nadziwić, jakim cudem Ojciec jest na lekkim gazie. Wtedy otrzymał rezolutną odpowiedź – że „to od oparów farby”…

Innym znowu razem wracał dość podcięty do domu. Ale jakoś mu nie szło. Co postawił jeden krok do przodu, to dwa do tyłu. Po prostu się cofał.

Co tu robić? Przecież w ten sposób oddala się od domu, zamiast się do niego zbliżać. W końcu wpadł na odkrywczy pomysł, żeby iść tyłem – jeden krok do przodu i dwa do tyłu. I takim oryginalnym sposobem dotarł, już bez problemów, do chaty!

Mój ojciec, Valdi, też lubił zabalować, ale wiedział, kiedy przestać. Ja tego po nim nie mam. Jak idę w tango, to na całego.

Tomek, czy to ma być moja biografia, czy twoja? Zamknij wreszcie papę, bo teraz ja mówię.

Git.

Do pracy fizycznej byłem wprawiany od małego, w końcu żadna praca nie hańbi. Byle uczciwie zarobić na chleb. Tak mnie nauczono i tak mi zostało do dziś. Żadnej pracy się nie boję. I umiem wszystko zrobić. No, może prawie wszystko.

Ale pospać lubisz.

Bez przesady.

Mama Henryka Gołębiewskiego (zdjęcie z archiwum domowego)

A jaka była twoja Mama?

No więc moja Mama to była święta kobieta. Pracowała ciężko w przetwórni warzywno-owocowej, przy konserwach. To było daleko – aż na Płudach, tam gdzie często jeździliśmy też na grzyby. Zawsze jak wracała z pracy, to miała bardzo zmarznięte ręce.

Potem wzięła sprzątanie w Sport-Touriście na Moliera, bo było bliżej. A jak brakowało pieniędzy, to brała od ludzi brudne ciuchy i prała. Nauczyła mnie szacunku dla innych i wrażliwości na cudzą krzywdę.

Wiesz, Tomek, zawsze się zastanawiam, jak tych dwoje wspaniałych ludzi wykarmiło dziewięcioro dzieci? Bo nas było dużo – pełna drużyna piłkarska. Mama stała na bramce, a Tata strzelał gole, he he… Tak żartowaliśmy. Sześciu braci, trzy siostry, Mama i Tata. Siostry – Wieśka, Danka i Baśka, bracia – Janek, Tadek, Stasiek, Kostek, Czesiek i ja. Zabawne było to, że na jednej i tej samej klatce schodowej mieszkało aż czterech Mieczysławów – sąsiad, jego syn, mój Tato i mój brat. Gdy ktoś zawołał: „Mietek!", to jednocześnie wychodziło czterech gości, bo nie wiadomo było, o którego chodzi. Dlatego brata przemianowaliśmy na Kostka. Ale nie tylko jego, każdy z nas miał jakąś ksywę – Tadek to był Bury, Stasiek – Żółty Kieł, Czesiek – Ptica, a ja – tylko się nie śmiej – Grochówa.

Cała nasza rodzina mieszkała w trzech pokojach na Dąbrowskiego, najpierw na pierwszym piętrze. Ale potem zamieniliśmy się z sąsiadami na parter, bo nasze tupanie było nieco uciążliwe. Żyliśmy skromnie, ale biedy nie było. Pomagaliśmy sobie wzajemnie. Ojciec sam wędził kiełbasę i mięso w beczce w ogródku – pod nią było palenisko, a na wierzchu powieszona mokra szmata. Co niedziela jeździł na wyścigi konne na Służewcu. Pamiętam, jak mnie zabierał razem z siostrą Basią – nawet obstawialiśmy zakłady. Taak, Ojciec miał duszę hazardzisty… Zresztą mam to po nim. Lubię grać w karty, na automatach, w pingla, w bilard… W dzieciństwie wymyśliliśmy z braćmi odjazdową grę, nazwaną przez nas „syfon". Polegała na tym, że dwóch z nas siadało naprzeciwko siebie i kciukami wzajemnie naciskaliśmy sobie na nos. I to z całej siły! Wtedy się odliczało: „Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy". Ten, któremu pierwszemu poleciały łzy z oczu (a bolało cholernie), przegrywał.

A, to dlatego masz krzywy nos…

Między innymi. Inna zabawna historia. Otóż tak jak reszta braci, chodziłem do szkoły numer sześćdziesiąt dziewięć. Uczył nas tam muzyki starszy dystyngowany pan – Zdzisław Ryłko. Pięknie grał na skrzypcach. Którejś mroźnej zimy jeden z moich braci otworzył

w klasie okno na oścież. I po chwili słychać brzdęk, brzdęk, brzdęk, brzdęk! W skrzypcach naszego szacownego nauczyciela popękały wszystkie struny, z powodu mrozu. Ale nikt się nie przyznał. Pan Ryłko miał swoje charakterystyczne powiedzenie, coś w stylu: „Muzyka to jest sztuka piękna i…”. Odpytywał nas z niego na każdej lekcji, a inny mój brat za cholerę nie mógł zapamiętać tej formułki. I dopiero na koniec roku, tuż przed wakacjami, bezbłędnie wyrecytował całość. Nauczyciel tak się tym wzruszył, że specjalnie dla brata zagrał jakiś piękny utwór na tych swoich skrzypcach.

Rodzice Henryka Gołębiewskiego – zdjęcie ślubne
(zdjęcie z archiwum domowego)

Założę się, że u Gołębiewskich na pewno nie mogło zabraknąć gołąbków.

I nie zabrakło. Ale wyobrażasz sobie, ile trzeba było zachodu, żeby narobić gołąbków dla jedenastoosobowej rodziny? W dodatku Mama robiła jeden kociołek gołąbków w sosie pomidorowym, a drugi w sosie własnym, bo ja nie lubiłem w pomidorowym. Zresztą moja córeczka Róża ma to po mnie – nie lubi zupy pomidorowej. Przypomniała mi się śmieszna historyjka. Dostaliśmy kiedyś żywą kaczkę na czerninę – czyli miała pójść do gara.

Młodemu pokoleniu wyjaśnię, że czernina, inaczej czarna polewka (znana z *Pana Tadeusza*) to polska zupa z rosołu i krwi kaczki, gęsi lub królika, z dodatkiem octu, rodzynek, śliwek, miodu…

Oblatany jesteś.

No i co z tą kaczką?

Jak co? Miała pójść do gara, ale stało się inaczej. Tak się do nas przywiązała, a zwłaszcza do Mamy, że codziennie o tej samej godzinie wychodziła po nią na przystanek autobusowy! Dla wyjaśnienia dodam, że nie mieliśmy takiego ogródka ogrodzonego siatką jak teraz, ale żywopłot, i dlatego kaczka mogła bez problemu wybrać się na wycieczkę. Nie mam pojęcia, skąd wiedziała, o której wyjść. Ale zawsze była na czas. Kiedy Mama wracała z pracy, kaczka dumnie dreptała tuż przy niej. Jak wierny pies. Albo… kaczka dziwaczka. Nie mieliśmy sumienia jej ubić, dlatego w końcu oddaliśmy ją znajomym. Niestety, biedna nie uniknęła tasaka. Pamiętam też, jak kiedyś jadłem kuropatwę… Stary, co to był za koszmar! O mało nie połamałem sobie zębów, bo tak była nafaszerowana śrutem z dubeltówki.

Mieliśmy fajnego sąsiada, który pracował w Polskich Nagraniach i przynosił nam płyty – pocztówki dźwiękowe, dziś nieznane, wówczas bardzo modne. Kupowało się je w kiosku i wysyłało bliskiej osobie jak widokówkę. My dostawaliśmy je od niego za darmo.

Odtwarzaliśmy je wtedy na adapterze, czasem bardzo głośno. Jak przeginaliśmy, to wnerwiony Ojciec po prostu wykręcał korki i było po zabawie. Wtedy natychmiast znajdowaliśmy inne ciekawe zajęcie – skakaliśmy z szafy na łóżko. Ale to była radocha! Wracając do pocztówek dźwiękowych: kiedyś tak się nam spodobała jedna piosenka, że puszczaliśmy ją na okrągło, do znudzenia. A szło mniej więcej tak:

Nie płacz, kiedy odjadę,
*Sercem będę przy tobie…**

Wielki przebój w tamtych czasach. Śpiewał go Włoch z Mediolanu, Marino Marini. W mojej dzielnicy też go nucili, dziewczyny przy nim wymiękały… Śpiewano go także ziomalom, którzy odjeżdżali do woja. A mój Ojciec, który miał to już za sobą, zmienił trochę tekst i zamiast „nie płacz, kiedy odjadę", śpiewał z kumplami „nie płać, kiedy odjadę". Taryfiarzy z postoju to strasznie wkurzało.

Nie dziwię się. To musiał być wesolutki gość.

Oj, był. A jak spędzaliście święta?

Rodzinnie, tradycyjnie. Przed świętami były zawsze generalne porządki, łącznie z ręcznym cyklinowaniem podłogi za pomocą metalowych wiórków od tokarki. To robił Ojciec, i to na kolanach. Potem następowało pastowanie i froterowanie na błysk. Pamiętam, że mieliśmy taką ciężką froterkę z pałąkiem, ja na niej siadałem, a najstarszy brat Janek zasuwał i mnie woził. Ojciec przynosił świeżą choinkę – wtedy można było dostać prawdziwą pachnącą jodłę, nie była jeszcze pod ochroną…

Dlaczego akurat jodłę?

Bo była lepsza od zwykłego świerka, dłużej zachowywała świeżość. I bardziej pachniała. Nie stała na stojaku, tylko w wiaderku z ziemią. Potem wspólnie dekorowaliśmy to drzewko –

zawieszaliśmy bombki, papierowe łańcuchy, cukierki, orzechy, jabłka malinówki, szyszki… W wannie pluskały się karpie. Egzekucji dokonywał Ojciec. Każde z nas dostawało później wielką jak paznokieć łuskę karpia – na szczęście, wkładało się ją do portfela. Taki obyczaj.

Mama pysznie gotowała. W całym domu pachniało. Ojciec ubijał pięściami olbrzymią górę ciasta. Na wigilię zawsze było dwanaście dań i oczywiście dodatkowe trzynaste nakrycie, dla zbłąkanego wędrowca. Ojciec wsuwał pod obrus sianko, a przy każdym miejscu pieniążki o różnym nominale. My, dzieciaki, mieliśmy dylemat, gdzie usiąść, bo każde z nas chciało zgarnąć jak najwięcej. A nie wolno było podglądać! Po wigilijnej wieczerzy rozpakowywaliśmy prezenty, śpiewaliśmy kolędy. Na pasterkę chodziliśmy do kościoła Świętego Andrzeja Boboli. A w nocy, kiedy już zgasło światło, rozlegało się w mroku ciche „tup, tup" – to my, dzieciaki, skradaliśmy się po kolei pod choinkę i zrywaliśmy łakocie. Nad ranem biedna jodełka była już zupełnie ogołocona.

Z kolei na Wielkanoc barwiliśmy jajka wywarem z łupin cebuli, Ojciec z papierosem w zębach tarł chrzan, siedząc w oknie. Płakał jak bóbr, bo chrzan był piekielnie ostry. Nie to co teraz, same konserwanty…

Przy stole bawiliśmy się w grę „starym zwyczajem stukniem się jajem". Jak sama nazwa wskazuje, chodziło o to, żeby stłuc jajko przeciwnikowi, a ten musiał je wtedy oddać zwycięzcy, który je zjadał. Najgorzej było, jak wygrałeś tych jaj multum. Nie dawało się tego zjeść.

Chodziliśmy na rezurekcję do kościoła Świętego Michała (skąd ksiądz nieraz wyciągał za uszy moich przysypiających po piwku braci), no i wreszcie był śmigus-dyngus!

Laliśmy wodę wiaderkami! Dziewczyny z podwórka z piskiem biegały wte i wewte, co chwila polewane przez nas. Wyglądały jak zmokłe kury.

A Ojciec przyczepiał wąż do kranu i bezlitośnie polewał przechodniów z okna. Na szyny tramwajowe kładło się petardy… Co

się wtedy działo! Huk, dym, pisk, wrzask…

Obchodziliście też ostatki…

Ma się rozumieć. Łaziliśmy poprzebierani od mieszkania do mieszkania i zawodziliśmy płaczliwie:

Przyszły dziatki na ostatki:
Nie mam ojca ani matki.
Gdyby ojciec, matka żyli,
Toby pączków nasmażyli.

Wtedy w nagrodę dostawaliśmy pieniądze albo słodycze.

Czyli coś jak dzisiejsze Halloween?

Tak jakby. Ale zaraz potem, pod nosem, kończyliśmy wierszyk tymi słowami:

A nasz ojciec za granicą,
Pije wódkę nogawicą.

I wszyscy w śmiech. Teraz przypomniałem sobie jeszcze jedną zabawną historyjkę. Otóż do chrztu miał mnie podawać Józef Cyrankiewicz.

Ten Cyrankiewicz?! Wicepremier?!

Tak, on! To był rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty szósty, władze zorganizowały wtedy taką polityczną akcję agitkę, żeby dygnitarze podawali do chrztu dzieci z wielodzietnych rodzin, a ja byłem ostatni z dziewięciorga, a konkretnie z dziesięciorga rodzeństwa, bo pierwsza siostra, Agnieszka, zmarła zaraz po urodzeniu, czyli żadne z nas jej nie znało. Wracając do premiera Cyrankiewicza. Wyobrażasz sobie, jaki to był zaszczyt? Jednak w końcu cała sprawa nie wypaliła, prawdę mówiąc, nie wiem z jakich powodów. Skończyło

się na tym, że do chrztu podawał mnie jego osobisty kierowca. Ale za to przywiózł dla mnie bogatą wyprawkę.

Czyli o mało co nie zostałeś politykiem? Chrześniak wicepremiera… Miałbyś życie jak w Madrycie.

Daj spokój. Polityka mnie nie kręci.

Poważnie? Przecież teraz artyści angażują się w różnego rodzaju kampanie partyjne…

Znasz takie powiedzenie: aktor-traktor? No więc aktor jest od tego, żeby grać, a nie politykować. Takie jest moje zdanie.

I moje również. Wróćmy do twojego dzieciństwa. Lubiłeś oglądać telewizję?

To się wie! Co ciekawe, byliśmy pierwszą rodziną w bloku, która miała swój telewizor. Nazywał się Wisła… To był pierwszy telewizor produkowany seryjnie w Polsce. Na licencji radzieckiej, lampowy, miał malutki ekranik – przekątna zaledwie dwanaście cali, czyli około trzydziestu centymetrów, ale dla nas to było okno na świat! I tu ciekawostka – żeby go włączyć, trzeba było podnieść drewnianą klapę. Ojciec dostał go w nagrodę z pracy. Wszyscy sąsiedzi schodzili się do nas oglądać telewizję.

Siadali wszędzie – na krzesłach, na podłodze, pod stołem… Nasza chata zamieniała się w małe kino. Teraz naszła mnie refleksja, że w tamtych czasach ludzie byli bliżej siebie. Życzliwi, pomocni. Jak trzeba było, to sąsiad pomagał sąsiadowi. Można było zostawić mieszkanie niezamknięte i nikt nic nie ukradł. A teraz? Ogrodzenia, ochroniarze, zamknięte osiedla, kraty w oknach – po prostu małe więzienia.

Miałeś ulubione filmy?

Wiadomo – *Bonanza*, *Czterej pancerni i pies*, Kloss, *Zorro*, potem na podwórku bawiliśmy się w Indian i komboi (nie mówiło się

kowboi), złodziei i policjantów, piratów, żołnierzy i tak dalej… Ale chyba wiem, do czego zmierzasz… Jak to się stało, że trafiłem do filmu?

Otóż pomógł przypadek. Obok naszego domu mieszkał reżyser Janusz Nasfeter. Często z balkonu przyglądał się nam – podwórkowym łobuziakom. Aż pewnego dnia zaprosił naszą paczkę na zdjęcia próbne (wtedy nie używano takiego słowa jak casting). To było w studiu na Puławskiej, gdzie i teraz są studia filmowe. Wcześniej rozdał nam kartki z tekstem, którego mieliśmy nauczyć się na pamięć. Wieczorem przećwiczyłem tekst z siostrą Barbarą, a następnego dnia odegrałem to przed Nasfeterem. Tak samo pozostali kumple. Potem dostaliśmy kolejny tekst i tylko piętnaście minut na zapamiętanie. Tutaj zaczęły się schody, bo niektórzy się posypali. Ja wyrecytowałem swój bez problemu. Ostatnie, najtrudniejsze zadanie, to była próba płaczu.

Trudna sprawa. Ponoć jeden z dawnych reżyserów, aby zmusić małego aktora do płaczu, szczypał do bólu takiego delikwenta…

To chyba był właśnie Nasfeter albo Jędryka. Mnie nikt nie musiał szczypać. Ja byłem najmłodszy z rodzeństwa i jak czegoś potrzebowałem, to uderzałem w płacz i dostawałem, czego chciałem. W każdym razie wypadłem całkiem nieźle.

Czyli wypłakałeś sobie rolę?

He he, tak jakby… Z całej naszej podwórkowej gromadki Janusz Nasfeter wybrał mnie i Barszczyka. Niestety, mój kumpel miał pecha: podczas zabawy dostał kamieniem w twarz i stracił oko. Zostałem tylko ja. I tak trafiłem do filmu. To była fabularna produkcja pod tytułem *Abel, twój brat*. I to w kolorze! A pamiętaj, że był rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty. To był ewenement na tamte czasy. Ponieważ taśmę sprowadzano za dewizy z zagranicy, robiło się maksymalnie dwa, trzy duble. Nie to co teraz – duble można robić bez ograniczeń – do skutku, a reżyser od razu ma podgląd na ekranie. W dodatku aktor może obejrzeć i skorygować swoją grę

natychmiast po ujęciu. Wtedy tak nie było, czekało się na wywołanie taśmy, montaż… To było inne kino. Ale *to se ne vrati*…

Abel, twój brat opowiadał tragiczną historię wrażliwego chłopca, który jest terroryzowany przez grupę łobuzów z klasy. Ty zagrałeś jego głównego prześladowcę – Henryka Balona. Pierwsza w życiu rola i od razu postać negatywna. Dlaczego?

A wyobrażasz sobie mnie w roli lalusia? Pewnie z moim charakterem i wyglądem pasowałem reżyserowi na rozrabiakę.

Ten film jest nieco zapomniany, a szkoda, bo Janusz Nasfeter pokazał w nim cały swój mistrzowski kunszt. Wstrząsająca opowieść i wciąż aktualne słowa jednego z bohaterów: „Nikt nie ma prawa krzywdzić człowieka, nikt…", „Każdy jest na tej ziemi samotny, bezbronny, więc dlaczego krzywdzi…?", „I tobie też przyjdzie cierpieć, bo nie tylko od głodu i chłodu człowiek cierpi…".

W kinie ludzie płakali…

Utożsamiałeś się z granym przez siebie bohaterem?

Wiesz, wtedy nie miałem takich dylematów. Jasne, że było to dla mnie coś nowego, trudnego, może nawet podświadomie się tego obawiałem. Dostawałem tekst, miałem się go po prostu nauczyć i potem wypowiedzieć przed kamerą. Byłem jeszcze dzieckiem, nie miałem zielonego pojęcia o aktorstwie. Całe to granie w filmie traktowałem jak przygodę. I okazję do zabawy. Podobnie jak pozostali młodzi aktorzy. W przerwach między ujęciami zbytkowaliśmy na planie, byliśmy jak żywe srebro. Ale nerwów też trochę było. Janusz Nasfeter potrafił nas ustawić do pionu. Jak przesadzaliśmy, to wrzeszczał. Z nim nie było żartów… Przed zdjęciami zdecydował, że muszę być w tym filmie rudy. No i przefarbowali mi włosy na wiewiórę! Pewnie dlatego, że taśma była kolorowa.

Marusia w *Czterech pancernych* też ponoć była przefarbowana na rudo…

Ale serial był czarno-biały!… Na początku trudno mi się było przyzwyczaić, bo nie poznawałem samego siebie. Wiara się śmiała i krzyczała za mną: „Rudy, rudy rydz!”. Byłem wściekły. Już wolałbym, żeby ogolili mnie na łyso! Te rude włosy były moim przekleństwem, bo nosiłem je jeszcze długo po zdjęciach, aż w końcu odrosły naturalne. Kręciliśmy w wakacje tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego. Plenery były we Wrocławiu, wnętrza w Wytwórni Filmów Fabularnych przy ulicy Wystawowej, koło ogrodu zoologicznego prowadzonego przez państwa Gucwińskich, którzy byli wtedy bardzo popularni, bo mieli swój program w telewizji. Przed zdjęciami przydarzyło mi się coś przykrego i bolesnego. Ni stąd, ni zowąd dostałem zapalenia okostnej. Spuchłem – nomen omen – jak balon, bolało, nie mogłem mówić. Zdecydowali się zrobić mi operację. W narkozie. Groza! Bo można się było po niej nie obudzić… Na szczęście wszystko skończyło się dobrze. Na filmie nawet widać bliznę pod brodą, do tej pory ją mam…

Podsumujmy – masz trzynaście lat, choć wyglądasz na młodszego, stajesz po raz pierwszy przed kamerą, nie mając przygotowania aktorskiego, i musisz zagrać jedną z głównych ról! Nie miałeś tremy?

Wiesz… jakoś nie. To była dla mnie zabawa. Pełny luzik. Tak samo było później przy *Wakacjach z duchami* i *Podróży za jeden uśmiech*. Nie czułem żadnej specjalnej presji, choć, jak już wspominałem, reżyser Janusz Nasfeter był bardzo ostry i wymagający. Tak naprawdę to trema pojawiła się dopiero wtedy, kiedy po dwudziestoletniej przerwie wróciłem do aktorstwa. I została do dzisiaj. Nie wiem dlaczego… Na szczęście znika, jak tylko wypowiadam pierwszą kwestię. Potem już leci z górki. Poza tym, jeżeli człowiek nie spróbuje, to nie dowie się, czy potrafi, czy nie.

Abel, twój brat już samym tytułem nawiązywał do motywów biblijnych. Po dziś dzień wzrusza. Zdobył kilka nagród na festiwalach

w Łagowie, Teheranie, Moskwie, no i słynne Poznańskie Koziołki w kategorii filmów dziecięcych. Imponujące osiągnięcie, jak na dziecięcego aktora. Byłeś dumny?

Szczerze mówiąc, nie docierało to wtedy do mnie. Ale ten film jest również dedykowany dorosłym, aby nie byli zbyt nadopiekuńczy, jak Mama Karolka Matulaka.

A krytycy w „Życiu Literackim" pisali z entuzjazmem: „Sepleniący ryży Henio jest jak z życia…". Niestety *Abel, twój brat* był dostępny tylko w kinach, więc wówczas nie zaistniałeś jeszcze w powszechnej świadomości widzów.

To był taki szlif przed późniejszymi rolami. Zazwyczaj nie oglądam sam siebie na ekranie, bo po prostu nie lubię, ale kiedy dzisiaj, po czterdziestu paru latach, patrzę na tego rudego smyka z zadartym nosem, uśmiecham się i myślę, że dałem radę. Do dzisiaj bardzo rozśmiesza mnie scena mojej walki bokserskiej z Karolkiem Matulakiem…

Zagrał go Filip Łobodziński, popularny Duduś, z którym później wybrałeś się w *Podróż za jeden uśmiech…*

Tak, wtedy po raz pierwszy skrzyżowały się nasze aktorskie drogi. Także z Edziem Dymkiem (który grał Pacucha), Romkiem Mosiorem (grał Bącałę) i Bogdanem Izdebskim (Pierzchała). To była niezła ekipa rozrabiaków. Graliśmy potem wspólnie jeszcze w kilku innych filmach.

Wracając do mnie i Filipa Łobodzińskiego. Janusz Nasfeter był niezłym psychologiem – idealnie nas dobrał, i pod względem wizualnym, i pod względem charakteru. Ale szczerze muszę przyznać, że Filip miał o wiele trudniejszą rolę, grając Karolka Matulaka. Ja byłem jego prześladowcą, on ofiarą. Ta druga postać ma o wiele trudniej… Aha, jeszcze ciekawostka, do tej pory pamiętam piosenkę, którą zaśpiewałem w scenie, kiedy odwiedzamy go w domu:

No to jadziem na Bielany! Cała paka rusza dziś.
Mańka, Feluś – ten szemrany, ruda Zośka, ja i Zdziś.
Pod te pache bierz panienkie, a wałówkie w drugą rękie,
Bo od rana na Bielanach ubaw na sto dwa!
Gdzie nam będzie weselej? Jest ferajna i zieleń,
Towarzystwo szemrane, moje kumple kochane,
W szczególności zaś Zośka i ja!

Niestety, w montażu wycięli prawie wszystko, a ja tak się starałem! He he… Ale żarty na bok.

Opowiem ci teraz coś bardzo smutnego. To było na końcu filmu. Jest tam taka imponująca zbiorowa scena, gdzie cała klasa żegna Karola Matulaka, który zmarł. Ja, Edek Dymek i reszta ferajny miała na jego pogrzebie płakać. Zrozumieli, że przez ich okrucieństwo i bezduszność Karolek wykitował. Nie wiem z jakiego powodu, ale jakoś nie mogłem się zmusić do płaczu. A przecież wcześniej, na zdjęciach próbnych, beczałem bez problemu. Wtedy reżyser wziął mnie na bok i powiedział, że moja Mama umarła.

Straszne.

(*Henio przez kilka minut pali w milczeniu papierosa*)

Wyobrażasz sobie, jak się wtedy czułem?! Łzy same mi popłynęły. Ale scena wyszła świetnie. A Mamę spotkałem całą i zdrową. Nasfeter mnie przeprosił, wytłumaczył, że nie widział innego wyjścia, by zmusić mnie do płaczu, więc użył tak bolesnego podstępu.

Jak zareagowali twoi rówieśnicy po obejrzeniu filmu? Stałeś się gwiazdą?

A gdzie tam! Wszystko było po staremu. „Sława” miała dopiero nadejść…

NIE WIERZĘ W DUCHY! – CZYLI *WAKACJE Z DUCHAMI*

„Klub Odkrywców”: Roman Mosior – Perełka (z lewej), Edward Dymek – Mandaryn i Henryk Gołębiewski – Pikador (kadr z serialu *Wakacje z duchami*)
(© POLFILM/EAST NEWS)

Heniu, czy wiesz, że na aukcji w New Jersey sprzedano dziewiętnastowieczny zestaw do zabijania wampirów? Krucyfiks, młotek, kołek osinowy, srebrne kule na wodzie święconej…

I co z tego? Wybierasz się na wampiry?

Nie na wampiry, tylko na *Wakacje z duchami*. To pierwszy z kultowych seriali, w którym zagrałeś.

I to prawie z marszu, bo zaraz po filmie *Abel, twój brat*. Moja rodzina była zaskoczona, że znowu mam stanąć przed kamerą. Tym razem reżyserem był Stanisław Jędryka. Wypatrzył mnie, Edka Dymka, Romana Mosiora w filmie *Abel twój brat* (zagraliśmy przecież razem) i obsadził nas… bez zdjęć próbnych! Był pewien, że lepszych nie znajdzie.

À propos, łatwiej wam się grało?

O wiele. Po pierwsze – mieliśmy już debiut za sobą. Po drugie – znaliśmy się z poprzedniego filmu. Było wesoło. Najbardziej nas cieszyło to, że dostaliśmy swoje role od razu! Zazwyczaj, gdy organizowano zdjęcia próbne, w Wytwórni Filmów Fabularnych i Dokumentalnych przy Chełmskiej pojawiały się tłumy. Zresztą widać to w jednym z odcinków serialu *Stawiam na Tolka Banana*, w którym Karioka chce zaimponować reszcie swojej bandy, przejętej przez Tolka, i idzie na casting do filmu. Wtedy także – podobnie jak dzisiaj – było mnóstwo kandydatów do zrobienia kariery. A my mieliśmy już swoje role w kieszeni! To było naprawdę coś.

Dostałeś więc rolę i w ten sposób stałeś się legendarnym Pikadorem.

W świetnej książce Adama Bahdaja, na której podstawie kręcono serial, mój bohater miał ksywę Paragon, ale ponieważ był już emitowany serial pt. *Paragon gola*, reżyser nazwał mnie Pikador. A Edka Dymka – Mandaryn zamiast Mandżaro. Dla nas to było bez różnicy. Nasza trójka stanowiła „klub odkrywców", który postanowił rozszyfrować zagadkę pojawiania się duchów w starym zamczysku. Przy okazji przeżywamy mnóstwo przygód. Plenery kręciliśmy na zamku Dunajec w Niedzicy nad Zalewem Czorsztyńskim i w Krościenku. Ciekawa historia z tym średniowiecznym zamkiem. Pod nim było więzienie, w którym, jak legenda głosi, więziono… Janosika! Tego samego, którego potem powieszono na haku. Na jakiś czas warownię zamku opanowali rozbójnicy i wysyłali z niego bandy, które rabowały kupców. Naprawdę fascynujące! Natomiast

wnętrza – czyli lochy, a nawet podziemne jezioro (!) – wykonano w łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych.

W życiu bym nie przypuszczał, że to dekoracja!

A widzisz. To był majstersztyk. Ale największa frajda to była z tego, że się grało ze sławnymi aktorami – Zdzisław Maklakiewicz, Ryszard Pietruski, Gustaw Lutkiewicz, Aleksandra Zawieruszanka (słynna pani porucznik – dowódca batalionu kobiecego z filmu *Rzeczpospolita Babska*), Józef Nowak, no i legendarni Janek i Olgierd z *Czterech pancernych* – czyli Janusz Gajos i Roman Wilhelmi (tu ciekawostka: w książce Janusza Przymanowskiego jego postać nosiła imię Wasyl, a nie Olgierd, ale to tak na marginesie). Dla nas, skromnych chłopaków z podwórka, to było coś jak fantastyczny sen! Gwiazdorzy, których na co dzień mogliśmy zobaczyć co najwyżej w telewizorze, teraz byli naszymi „kolegami". A co najważniejsze, nie traktowali nas jak smarkaczy, ale wesołych kompanów! Potem, w postsynchronach, Wilhelmiemu głosu użyczył Bogusław Sochnacki, pewnie dlatego, że Olgierd miał pilniejsze zajęcia.

Poza tym graliśmy ze znakomitym aktorem Witoldem Dederką, zupełnie dziś już zapomnianym. Był zapalonym fotografikiem i podróżnikiem, dlatego nosił czapkę z mnóstwem powpinanych znaczków. Robił też piękne zdjęcia i wykładał w łódzkiej szkole filmowej. Napisał nawet książkę, jak robić udane zdjęcia aparatem fotograficznym marki Druh – tak wówczas popularnym. Pan Dederko grał u nas przewodnika wycieczek po zamku (Miziaka, który chodził z laską i zabobonnie bał się duchów) i został zapamiętany z powiedzonka „Proszę ja kogo". Świetnie zagrał w scenie z Józefem Nowakiem (słynnym sierżantem z komedii *Wiosna, panie sierżancie*, nieszczęśliwie zakochanym, prostodusznym policjantem mieszkającym w malutkim miasteczku i zmagającym się z małomiasteczkową mentalnością), który był komendantem milicji i kazał mu chuchnąć. A ten jak mu chuchnął, to gliniarzowi mało czapka nie spadła!

Jednak najzabawniejszy był Zdzisław Maklakiewicz, gdyż zawsze zachowywał poważną minę i nigdy nie było wiadomo, kiedy żartuje, a kiedy mówi na serio. Przybierał majestatyczną pozę i perorował. My, smarkacze, nic z tego nie rozumieliśmy, ale starsi aktorzy pokładali się ze śmiechu…

A czy Adam Bahdaj – autor książki, na której podstawie kręcono serial, odwiedzał was na planie?

Tego nie wiem, musiałbyś zapytać samego Stanisława Jędrykę. To jest świetny reżyser, specjalista od tematyki młodzieżowej. Przed *Wakacjami z duchami* nakręcił między innymi *Do przerwy 0:1*, *Paragon gola*, a potem wiele innych.

W tamtych latach każdy chłopak chciał grać w piłkę.

Tak jak Szołtysik czy nie przymierzając Lubański. My mieliśmy na osiedlu nawet boisko! Grało się aż do wieczora. Niestety, potem postawili tam blok. Ale wracając do serialu… Opowiem ci teraz zabawną historyjkę. Od małego miałem problemy z wyraźnym wymawianiem poszczególnych wyrazów, krótko mówiąc – sepleniłem. Stanisław Jędryka postanowił coś z tym zrobić i wynajął… hipnotyzera! A dokładniej panią hipnotyzer. Na koszt filmu zorganizowano mi regularne seanse, na kozetce, podczas których mówiła monotonnym głosem: „Stajesz się senny, głowa jest coraz cięższa, lewa ręka też, prawa ręka też ciąży, zasypiasz…” i tak dalej w ten deseń, a potem odliczała: „Raz, dwa, trzy…” i kazała mi powtarzać na głos trudne fragmenty wyrazów, w stylu „szcza… szcze… szczu…”.

I wiesz, co? Pomogło! Zacząłem mówić wyraźniej. A już z dubbingiem w ogóle nie miałem problemu. Nawet nie używałem słuchawek. Zawsze bezbłędnie trafiałem swoim głosem w ruch ust na ekranie, co wcale nie jest takie łatwe. Na przykład Karioka ze *Stawiam na Tolka Banana* mówiła głosem Joanny Jędryki…

O *Tolku…* jeszcze pogadamy. Muszę ci się przyznać, że kiedy byłem małym kajtkiem, to bardzo przerażała mnie czołówka serialu *Wakacje z duchami* – straszna zjawa ukazująca się w nocy na baszcie upiornego zamku oraz muzyka skomponowana przez Piotra Marczewskiego, wprowadzająca atmosferę grozy… A jak już ujrzałem ducha Bogusława Łysego w kajdanach, z mieczem w łapie i bez głowy, to chowałem się pod stół. Miałem straszliwego cykora!

He he… Nie tylko ty. Dzisiaj te „duchy" mogą pewnie śmieszyć, zwłaszcza młode pokolenie, bo te zjawy są nieco prymitywne, a dziś wszystko załatwiłaby animacja komputerowa. Ale wówczas wszystko było nieskomplikowane. Jest w serialu taka scena, kiedy sami mamy straszyć. Perełka jako Brunhilda Brandenburska, a ja jako Bogusław Łysy. I wtedy stwierdziłem, że sam się siebie boję! A potem padła jeszcze legendarna kwestia: „Przeeebacz miii, Brunhildooo!", która stała się kultowa. Do dzisiaj jest cytowana.

Niewiele osób wie, że zbroje i miecze były plastikowe. Później dodano efekty dźwiękowe udające brzęk prawdziwej zbroi. A latarki, którymi posługiwaliśmy się w lochach zamku, mieliśmy podłączane do małych akumulatorków przytroczonych do spodni, żeby dawały mocniejsze światło. Kabelek przypięty dyskretnie do latarki przechodził pod rękawem mojego swetra. Na niektórych ujęciach można to nawet dostrzec. Ekipa żywiła się w miasteczku (dziś mówi się „catering", wszędzie te irytujące zapożyczenia), bo nie było wtedy „barowozu". Kiedy na plan przyjechała kontrolnie moja Mama, została zaangażowana jako statystka – wystąpiła w grupie turystów odwiedzających zamek. Ale niezbyt jej to się podobało. Posiedziała parę dni, w ramach urlopu, i wróciła do Warszawy.

Przy Mamie stawałem się grzeczniejszy, przyjeżdżał też brat Stasiek (starszy ode mnie o dziesięć lat), jednak zamiast mnie pilnować, skumplował się z aktorem Ryszardem Pietruskim i ciągle chodzili na piwko…

A ty nie?

Zgłupiałeś?! Miałem dopiero czternaście lat, a poza tym zatrudnili specjalnego cerbera – opiekunkę, która pilnowała, żebyśmy za bardzo nie rozrabiali. Serial kręciliśmy przez całe wakacje, więc abyśmy się nie nudzili, organizowano nam wycieczki krajoznawcze. Mówiło się, że „jedziemy na wycieczkę, bierzemy misia w teczkę".

A ten miś to nie był czasem z procentami?

Na procenty jeszcze miałem czas. A kręcenie filmu – i to jest prawda uniwersalna – to jest głównie czekanie. Na swoją scenę, na odpowiednie światło, pogodę i tak dalej. Tak naprawdę wieje nudą. Czasem czekasz nawet cały dzień i okazuje się, że jest obsuwa i z takich czy innych względów zagrasz dopiero jutro. Dlatego jedyną rozrywką na planie dla nas, dzieciaków, było robienie psikusów.

Przyznam ci się, Heniu, że za młodu byłeś moim idolem. Taki małoletni James Dean. Odważny, charakterny, honorowy, wysportowany… Po prostu kozak.

Tomek, przestań nawijać makaron na uszy.

Niech mnie dźwi ścisną! Legalnie! Zawsze chciałem mieć taki bajerancki sweter jak ty, no i taki szeroki pas z podwieszonym łańcuszkiem. Chłopaki na podwórku też. Można powiedzieć, że byłeś też w pewnym sensie kreatorem mody. Tak samo w *Podróży za jeden uśmiech* – miałeś dżiny super i sztruksową koszulę, a w *Stawiam na Tolka Banana* nosiłeś golf i pas z breloczkiem. Każdy nastolatek starał się to kopiować. To był wtedy fason! Skąd wziąłeś te ciuchy?

To był pomysł kostiumografa. No i dobrze się w nich czułem. Poza tym rolę buduje się również poprzez kostium. On dodaje stylu i pomaga lepiej się wczuć w odgrywaną przez siebie postać. A Perełkę wystylizowano na piegowatego harcerzyka w mundurku i krótkich spodenkach. Choć oczywiście piegi miał prawdziwe. I do tego kolarska czapeczka z daszkiem podwiniętym do góry. Niemałą rolę odegrał też Stanisław Jędryka. Ubrał nas tak, jak mu pasowało.

I jak widać z sukcesem. To był bardzo zabawny człowiek. Jak coś nie poszło przy ujęciu, to dwoma rękami rwał się za włosy. Żartowaliśmy, że do końca serialu zostanie całkiem łysy.

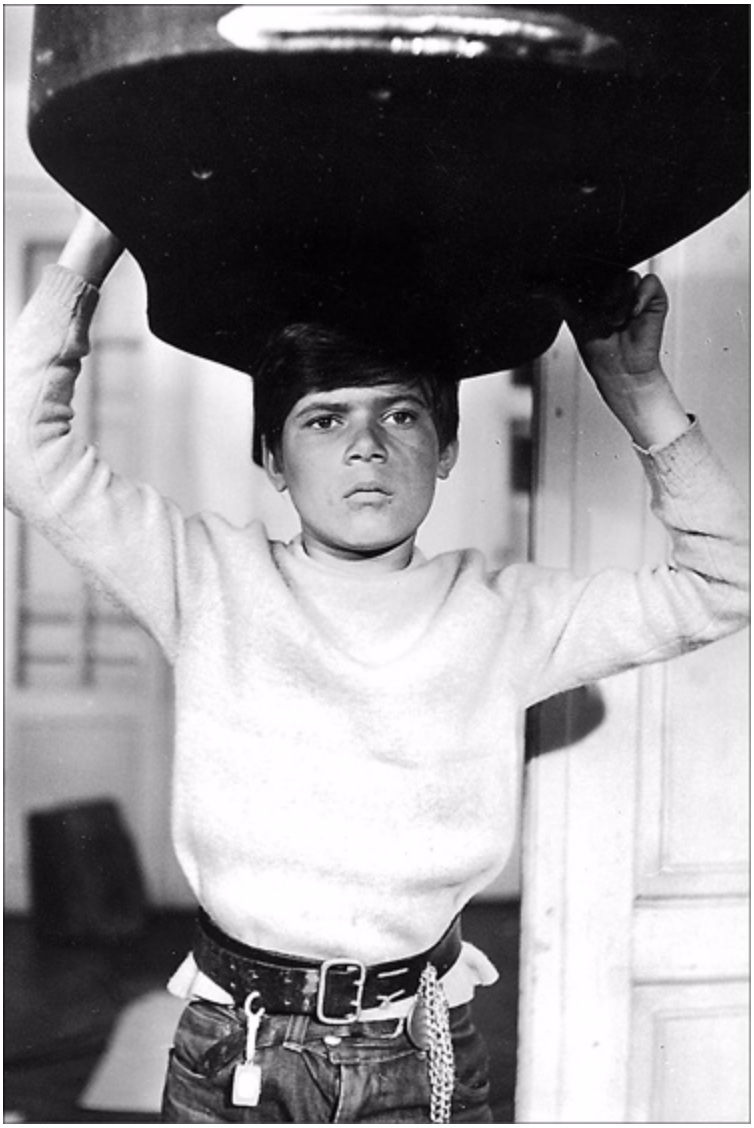

Henryk Gołębiewski – Pikador z tajemniczą wiolonczelą
(kadr z serialu *Wakacje z duchami*)
(© ZE ZBIORÓW FILMOTEKI NARODOWEJ)

Rozrabialiście na planie?

Ma się rozumieć. A już najbardziej podpuszczali nas starsi aktorzy, a nam wystarczyło powiedzieć jedno słowo i już realizowaliśmy ich

nawet najbardziej durny pomysł. Potem było pełno śmiechu. Tamte czasy wspominam jako wspaniałą zabawę, a nie pracę. Czegośmy nie wyprawiali na planie! Ale nie można było przesadzać, bo taśmy filmowej wystarczało zaledwie na dwa, trzy duble. Operator, zresztą świetny – Stanisław Loth – oszczędzał jak mógł. Kiedyś miałem bardzo niebezpieczną przygodę. Otóż o mało się nie utopiłem!

No co ty. Jak to było?

Pewnego razu, po zdjęciach w upalny dzień, poszliśmy się wykąpać w Dunajcu (jest nawet scena w serialu, kiedy płyniemy z flisakiem, a w tle widać zamczysko). Byłem ja, Joasia Duchnowska (grająca Jolę – Dziewiątkę) oraz jej brat, który przyjechał do niej w odwiedziny. Chcieliśmy się ochłodzić. Kiedy weszliśmy do wody, nagle porwał nas bystry nurt. Nie mogliśmy dopłynąć do brzegu! Zaczęliśmy krzyczeć, bo śmierć zajrzała nam w oczy. Wtedy z pomocą ruszył nam brat Joasi i ledwo wyciągnął nas na brzeg. Ale najedliśmy się strachu! Było gorąco, a my dygotaliśmy! Potem o tym zdarzeniu nic nie powiedzieliśmy ekipie…

Był też zabawny epizod. Razem z Edziem Dymkiem i Romanem Mosiorem mieszkaliśmy na kwaterze prywatnej, w takim domku, na piętrze. Kiedyś, w nocy, coś nam strzeliło do głowy i postanowiliśmy uskutecznić ryzykowną eskapadę i przekonać się na własne oczy, czy faktycznie istnieją duchy. Usunęliśmy kilka dachówek, wyśliznęliśmy się przez dziurę na stromy dach, potem przeskoczyliśmy z niego na stojące tuż obok drzewo i po nim zsunęliśmy się na ziemię. Przyzwyczailiśmy oczy do ciemności i ruszyliśmy po ciemku przed siebie. I to bez latarek! Na czuja. W końcu trafiliśmy do jakiegoś zabudowania. Obchodzimy je ostrożnie, aż tu nagle jak coś nie ryknie!!! Jakiś przeraźliwy warkot. Coś jakby piła spalinowa, ale nam wydawało się wtedy, że to wilkołak czy jakaś inna bestia. Aleśmy spieprzali! Zdyszani wpadliśmy z powrotem na kwaterę, tym razem przez drzwi, po schodach na górę do naszego pokoju, i schowaliśmy się pod łóżka… Przespaliśmy pod nimi do rana. A przy śniadaniu ani pary z ust! Więcej duchów już nie szukaliśmy. Wystarczyła nam ta jedna przygoda… Najgorzej było w dni deszczowe. Cała ekipa

czekała, aż przestanie padać, nudząc się niemiłosiernie. Jedni grali w karty, inni drzemali albo opowiadali kawały.

A młodszym czytelnikom przypomnę, że wtedy nie było ani komputerów, ani tabletów, ani telefonów komórkowych i innych współczesnych gadżetów. Jak opowiadam o tym młodszym aktorom, to nie chce im się wierzyć. Jak to nie było komórek?! To jak ze sobą rozmawialiście? A ja tłumaczę: po prostu się wspólnie spotykało albo pisaliśmy listy. Powiedz, Tomek, kto dzisiaj pisze listy? Teraz łatwiej wysłać mejla lub esemesa. Nie chcę się powtarzać, ale przez te internety, komórki, twittery ludzie się od siebie oddalili, choć miały przecież ich zbliżyć. Aktualnie młodzież siedzi godzinami przed komputerem albo ględzi przez komórkę, zamiast spotkać się „w realu", jak to określają. No i ten Facebook. Co prawda sam z niego korzystam, ale przeraża mnie szybkość, z jaką osoba anonimowa staje się bliską, a bliska – anonimową.

Żartem mówiąc, dzisiejsza młodzież zamiast *Wakacji z duchami* chętniej obejrzałaby serial *Wakacje z dupami*.

Dobra myśl, może ktoś nakręci jakiś pastisz…

Wakacje z duchami były filmem czarno-białym, w przeciwieństwie do *Abel, twój brat*. Dlaczego?

Bo nie było funduszy na drogą taśmę kolorową, sprowadzaną z zagranicy za ciężkie dewizy. Tak samo było przy *Podróży za jeden uśmiech* i *Stawiam na Tolka Banana*. Oba nakręcono czarno-białe.

Aktualnie jest moda na cyfrowe kolorowanie dawnych filmów. Co o tym sądzisz?

Kiepski pomysł. Moim zdaniem dawne czarno-białe filmy mają swój niepowtarzalny klimat i urok. Po co to psuć? Druga sprawa – efekty komputerowe. Wówczas tego nie było, wszystkie wybuchy były dziełem pirotechnika. A było ich sporo. Na przykład jak udawałem ducha, to musiałem rzucić woreczek idealnie w to

miejsce, gdzie zainstalowana była petarda. Wtedy dopiero następowała eksplozja. A wyglądało, jakbym to ja osobiście ją rzucił. Używano też suchego lodu do efektów z dymem.

Bardzo zaprzyjaźniłem się z kaskaderami i pirotechnikami. To byli równi goście. Niesamowicie odważni, bo kaskader nie może być cykorem. A czasem cholerni ryzykanci. Opowiadali mi różne swoje przygody. To dzięki nim nauczyłem się czołgania, padów, przewrotów i innych ewolucji. Teraz jest to nie do pomyślenia! Aktora przy najmniejszej dupereli zastępuje dubler – kaskader.

Ciekawa była sprawa z tymi kaskaderami. Czasem lubili wypić (oczywiście poza planem…). Czasem nie mieli forsy na wódeczkę, ale mieli niezawodny sposób, żeby ją zdobyć. A było to tak. Stawali przy ulicy lub drodze i czekali na najbliższy zbliżający się samochód. Wtedy jeden z nich wpadał efektownie pod nadjeżdżające auto i udawał poturbowanego. Od razu pojawiał się drugi, który był „świadkiem" wypadku. Przestraszony kierowca bez słowa sprzeciwu bulił „na lekarza" i szybko odjeżdżał, zadowolony, że nie poniesie konsekwencji za spowodowany przez siebie „wypadek". No i chłopaki mieli za co wypić. A „poszkodowany" wstawał z gleby jak gdyby nigdy nic. Można powiedzieć, że to był ich autorski patent. Byli fenomenalnie gibcy i silni. To oni pokazali mi chwyty judo, gdy miałem stoczyć walkę z Jolą Dziewiątką.

Którą to walkę notabene przegrałeś.

Bo tak było w scenariuszu! Poza tym ćwiczyliśmy tę walkę, a dokładnie jeden rzut, dość długo. I nie chciałem Joasi Duchnowskiej skrzywdzić, bo to była miła dziewczyna, wysportowana. Bez problemu przerzuciła Perełkę przez plecy, ze mną miała bardzo trudny rzut – upadając na plecy, pociągnęła mnie tak, że przeleciałem nad nią, wywijając salto w powietrzu. Później zagrałem z nią jeszcze w *Podróży za jeden uśmiech* i *Stawiam na Tolka Banana*.

Z tego wynika, że reżyser Jędryka przywiązywał się do „swoich" aktorów.

Faktycznie, miał swoją „stajnię”. Ufał nam, znał nasze możliwości i wiedział, że zagramy na odpowiednim poziomie. I chyba nigdy się nie zawiódł. Oczywiście prowadził nas, tłumaczył sens sceny, jak każdy reżyser. I miał dobre podejście.

Jeszcze wróćmy na moment do Joasi Duchnowskiej. Ustaliłem, ze nazywa się teraz Todisco i mieszka w Australii.

Czyli bardzo daleko los ją powiódł. A mieszkała niedaleko mnie, chyba na Waryńskiego.

Zadarty nos, zadziorne spojrzenie – Henio, rozrabiaka z Mokotowa
(kadr z serialu *Wakacje z duchami*)
(© POLFILM/EAST NEWS)

Którego aktora lubiłeś najbardziej? Mam na myśli ekipę dorosłych.

Chyba Zdzisława Maklakiewicza – czyli człowieka w plastikowej zbroi – i Ryszarda Pietruskiego, który grał Pikasiaka – podejrzanego malarza.

Dużo ciekawych rzeczy opowiadał nam Janusz Gajos, czyli Janek z *Czterech pancernych*. Na przykład o tym, że były dwa Szariki, to

znaczy wilczury, które grały na zmianę psa Szarika. Albo o tym, że czołg RUDY 102 do scen odgrywanych we wnętrzu został specjalnie z boku wieży rozcięty za pomocą palnika, aby kamera miała swobodny dostęp.

Janek, który w naszych *Wakacjach z duchami* grał Antoniusza, opowiadał nam również o koszmarnym wypadku, który go spotkał na planie – podczas przerwy w zdjęciach na poligonie zdrzemnął się w jakiejś bruździe i został przypadkowo przejechany przez ciężarówkę! Miał połamane kości i nie mógł grać przez parę tygodni. Dlatego wtedy zaczęli kręcić sceny w szpitalu, w którym cała załoga (oprócz Olgierda) leczy rany. A potem zastąpił go dubler.

Z kolei Olgierd – czyli Roman Wilhelmi – ostrzegał nas przed zbytnią popularnością: ponoć na spotkaniu plenerowym w Łodzi z bohaterami serialu *Czterej pancerni i pies* mieli przejechać czołgiem przez główną ulicę – Piotrkowską. Serial był nieprawdopodobnie popularny, więc kiedy ludzie się o tym dowiedzieli, nadciągnął olbrzymi tłum, który zablokował ulicę i omal nie zmiażdżył aktorów. A ile strachu się najedli! O paradzie nie było mowy, a całą „załogę" ewakuowały wozy strażackie.

I jeszcze jedna niesamowicie ciekawa historia, którą usłyszeliśmy. Otóż pojawił się rewelacyjny, moim zdaniem, pomysł, żeby kapitan Kloss wystąpił w *Czterech pancernych*, a oni w *Stawce większej niż życie*. Oczywiście tylko w paru odcinkach. Takie zgrabne, nieoczekiwane powiązanie wątków. Przecież to byłaby bomba! Niestety, nic z tego nie wyszło. Słuchaliśmy tych historii z otwartymi ustami.

Wyobrażam sobie. Czyli dorośli aktorzy jak zwykle was polubili…

Z racji młodego wieku zawsze mieliśmy fory. Na planie pozwalali nam na wiele, chyba że reżyser nas usadził. Jędryka miał inną metodę pracy niż Janusz Nasfeter, ale był lubiany. Do mnie nie miał wielu uwag. Zawsze bezbłędnie umiałem ustawić się do kamery, pojmowałem ruch wewnątrzkadrowy – czyli umiałem poruszać się od planu bliskiego do dalekiego (i odwrotnie), jednocześnie podając

swoją kwestię i jeszcze wykonując zadane czynności. A uwierz mi, to naprawdę niełatwe.

Jednak najważniejsze było to, że pamiętałem tekst! Jasne, może czasami się sypnąłem, ale zazwyczaj było to przekomiczne i właśnie ten dubel wchodził do filmu. Współcześni niezawodowi aktorzy nie pamiętają tekstu, wypowiadają go nienaturalnie i stoją jak kołki. A ja miałem ten szósty zmysł i nigdy nie peszyły mnie kamera, światło czy ekipa. Po prostu o nich zapominałem. Jeśli trzeba było być Pikadorem z *Wakacji z duchami*, to stawałem się Pikadorem, jeśli Poldkiem z *Podróży za jeden uśmiech*, to nim byłem. Jak kameleon. Tak samo wcielałem się w inne moje postacie – Cegiełkę czy Ediego…

A co się działo w tym czasie z twoją edukacją?

No cóż… Prawdę mówiąc, trochę się opuściłem. Wiadomo – przede wszystkim brak czasu – jak nie zdjęcia, to postsynchrony albo „dokrętki". Ale sprytne kierownictwo produkcji, żebyśmy się za bardzo nie rozzuchwalili, wynajęło dla nas nauczyciela (tak samo było przy filmie *Abel, twój brat*). No i tym sposobem dostawaliśmy prywatne lekcje podczas zdjęć. Chociaż, szczerze mówiąc, nie bardzo się do nich przykładaliśmy – przecież tyle ciekawych rzeczy działo się dookoła. Trudno było się skupić. Ze wszystkich przedmiotów najbardziej lubiłem matmę. Do dzisiaj bez problemu potrafię w pamięci policzyć, ile to jest jeden razy dwa razy trzy razy cztery razy pięć. Mam swój niezawodny patent i nie potrzebuję żadnego kalkulatora.

Wiem coś o tym, bo kiedyś mnie zaskoczyłeś szybkością liczenia. Wracając do serialu. Osobiście bardzo lubię scenę z pierwszego odcinka, kiedy wcinacie u gospodyni – pani Lichoniowej (grała ją Wanda Łuczycka) „kosmiczne pierogi". Zawsze leci mi wtedy ślinka. Faktycznie były takie smaczne, czy tylko udawaliście?

„Kosmiczne" to najwłaściwsze określenie. W dodatku z jagodami. Pycha.

„Kosmiczne pierogi”: Edward Dymek – Mandaryn (z lewej), Kazimierz Fabisiak – leśniczy Lichoń, Wanda Łuczycka – pani Lichoniowa, Henryk Gołębiewski – Pikador i Roman Mosior – Perełka *(kadr z serialu Wakacje z duchami)*
(© POLFILM/EAST NEWS)

Masz swoje ulubione sceny z serialu?

Jest takich parę… Na przykład, na początku pierwszego odcinka, Mandaryn i Perełka ubierają mnie w średniowieczną zbroję, zakładają komiczny hełm ze szpicą i zamykają przyłbicę, a potem wieją. Zostaję sam – totalnie ślepy, i obijam się o ściany jak pijany. Istny slapstick. Nadchodzą: konserwator sztuki profesor (Zdzisław Mrożewski) i szef GS-u (Bolesław Płotnicki), a ja nieruchomieję tuż przy nich, udając pustą zbroję. Konserwator profesor kategorycznie nie chce się zgodzić na dewastację zabytku i pompatycznie wzywa pomocy: „Niech się odezwą duchy tego zamku!”.

Wtedy ja nie wytrzymuję i wrzeszczę z bólu, bo hełm ciśnie mnie w głowę. Oczywiście hełm, jak i cała zbroja były z plastiku. A ja krzyczę: „Ciasno mi w głowę! Zdejmij czapkę!”.

Druga fajna scena – to wtedy, jak we trzech postanowiliśmy sami straszyć na zamku, żeby na własne oczy wybadać faktyczną sytuację. W tym celu wspólnie z Mandarynem przebraliśmy Perełkę za ducha i żeby przetestować, czy jest dostatecznie przerażający, wołamy panią Trociową (niezapomniana Teofila Koronkiewicz). Ta biedna kobieta na widok dziwadła w prześcieradłach wrzeszczy i mdleje ze strachu. Więc my rzucamy się na pomoc. Duch – czyli Perełka – cuci ją, a ona odzyskuje przytomność, ale widząc nad sobą to straszydło, ponownie mdleje. Można boki zrywać!

Jeszcze inna śmieszna scena – biegniemy z Mandarynem i kopiemy puszkę, jak to chłopaki. Nagle ja trafiam prosto w okno… komendanta milicji (granego przez Józefa Nowaka). Oczywiście bierze mnie na dywanik, przepytuje z groźną miną, a ja się tłumaczę: „Przepraszam, panie komendancie… tak wypadło… Legalnie!…". W takich okolicznościach wypowiedziałem kolejne słynne słowo, powtarzane później przez młodzież całej Polski. Ja użyłem go zaledwie w kilku scenach, ale i tak wryło się ludziom w pamięć.

Mnie się podobało, jak latałeś po podziemiach, udając Bogusława Łysego, i ciągle zahaczałeś hełmem o strop. Albo jak prezes GS-u skarżył się, „że na zamku pojawiły się duchy i wszyscy robotnicy uciekli!" (jednego z nich – a konkretnie Majstra – grał słynny Pawlak z *Samych swoich* i *Nie ma mocnych*, czyli Władysław Kowalski).

Władysław Kowalski to był przesympatyczny pan, zawsze wesolutki i dowcipny. Przypomniała mi się jeszcze jedna fajna scena, nie pamiętam, w którym odcinku. Działo się to na wieczornej potańcówce pod gołym niebem. Podczas tej imprezy Gustaw Lutkiewicz (fotograf Hubert) i Roman Wilhelmi (Grzegorz Otowicz) rozmawiali o czymś przy stoliku. A my – „detektywi" – za wszelką cenę chcieliśmy dowiedzieć się, o czym nawijają, ale w taki sposób, żeby nas nie zauważyli, bo już raz im podpadliśmy. Więc kombinujemy, co tu robić? Przecież nie staniemy się niewidzialni…

Wtedy Pikador, czyli ja – najrezolutniejszy z całej trójki – wpada na pomysł, aby podkraść się pod przykryciem wiklinowego kosza, podwędzonego piekarzowi. Pomiędzy tańczącymi parami lawirowałem pod tym koszem. A solistka śpiewała akurat bardzo stary, niegdyś popularny przebój:

Noce takie są upalne
I słowiki spać nie dają.
A przez okno do mej izby
Jakieś strachy zaglądają…

I nagle zauważyła pełznący kosz, pod którym byłem ukryty, więc ze strachu zemdlała na scenie. Było sporo jeszcze innych zabawnych historii, ale nie wszystkie pamiętam, w końcu minęło już czterdzieści pięć lat…

Dla mnie *Wakacje z duchami* to prawdziwa kapsuła czasu. Zawsze wzruszają mnie takie sceny, gdy któraś z bohaterek prasuje rzeczy wiekowym żelazkiem „na duszę", ubija masło w małej kierzni, Mandaryn pierze na tarze, a wy wyżymacie z Perełką pranie… Albo jak Mandaryn wiezie Perełkę na ramie wielkiego welocypedu i w końcu się wywalają. Modny wówczas składak, którym jeździ Dziewiątka… Wszystko było takie proste, swojskie, naturalne.

Albo kiedy dźwigam drewniany cebrzyk z mlekiem i stwierdzam, że za karę musiałem wydoić Zazulę.

Właśnie. I nie zapomnę pięknego kabrioletu marki Mercedes, którym jeździł Roman Wilhelmi, a w którego bagażniku schował się Perełka, bo ty się nie mieściłeś…

He he… Racja. To dopiero była maszyna! Wszyscy z ekipy się zachwycali… Ale tak w rzeczywistości to ja bym się do tego bagażnika zmieścił, bo byłem wygimnastykowany jak fakir. Tyle że w scenariuszu stało, że ma być tak i tak. Więc wlazł malutki Perełka.

A powiedz, jak to było z tą fantastyczną ścieżką muzyczną serialu, skomponowaną przez Piotra Marczewskiego? Budziła grozę i przerażenie.

Szczerze mówiąc, w czasie zdjęć jeszcze jej nie znaliśmy, najprawdopodobniej była wtedy dopiero komponowana.

Dopowiem jeszcze, że na zamku w Niedzicy odbywają się spotkania fanów serialu – Lato z *Wakacjami z duchami*, są konkursy, quizy, potańcówki z muzyką z lat siedemdziesiątych, projekcje wszystkich odcinków… Spływ tratwami z flisakami. Jestem zapraszany na tę sympatyczną imprezę. W nocy na zamku rozlega się muzyka z czołówki serialu, a następnie pojawia się duch i potężnym głosem woła: „Przeeebaaacz miii, Brunhildooo!!!", całość zakończona pokazem fajerwerków. Naprawdę ta inscenizacja robi wrażenie. Przyjeżdża mnóstwo turystów. Stare pokolenia wracają do sentymentalnych młodzieńczych lat, młode odkrywają coś więcej niż Facebook i Twitter. Ostatnio, jak byłem w Niedzicy, to wieczorem do lokalu, w którym mnie goszczono, wparowała kapela góralska. Jak zaczęli przygrywać… A ja tańcować. Oni śpiewali zwrotkę, czyli zapodawali tekst, a reszta gości to powtarzała. Musiałem zagrać na tubie… na liściu… na fujarce z jednym otworem… W przyszłym roku organizatorzy zamierzają zaprosić na tę imprezę również Perełkę, który podobno mieszka w Niemczech. Mandaryn, niestety, już nie żyje…

Wakacje z duchami, emitowane w telewizji, stały się prawdziwym hitem. Weszły na stałe do kanonu seriali młodzieżowych. Odczułeś to jakoś na sobie?…

Tym razem już tak. Zaczęto mnie rozpoznawać na ulicy i wołano za mną: „Pikador!". Albo: „Legalnie!". W sumie było to nawet przyjemne. Rodzina była zadowolona, a nawet dumna, że tak dobrze, zabawnie i przekonująco zagrałem…

Natomiast w szkole i na podwórku nic się nie zmieniło. Pozostałem sobą. Nie wywyższałem się, nie gwiazdorzyłem, jak to teraz robią celebryci. Dla mnie był to po prostu ciekawy epizod

w życiu czternastolatka. Żadnych wywiadów, autografów, konferencji prasowych, spotkań autorskich. Gdyby to były dzisiejsze czasy, to byłoby inaczej – nie mógłbym się opędzić od propozycji.

A jak wówczas płacili?

Całkiem nieźle, ale ja byłem niepełnoletni, chodziłem jeszcze do szkoły i wszystkie zarobione pieniądze brała Mama. W sumie za *Wakacje z duchami* zarobiłem niezłą sumkę. Mama kupiła pralkę i założyła mi książeczkę mieszkaniową. A reszta poszła na dom. I słusznie.

PODRÓŻ ZA JEDEN UŚMIECH, CZYLI DUET DOSKONAŁY

Filip Łobodziński – Duduś (z lewej) i Henryk Gołębiewski – Pikador
(kadr z serialu *Podróż za jeden uśmiech*)
(© POLFILM/EAST NEWS)

Już wkrótce na horyzoncie pojawił się nowy kultowy serial – *Podróż za jeden uśmiech…*

O mały włos bym w nim nie zagrał, gdyż Janusz Nasfeter w tym samym czasie chciał mnie zatrudnić do kolejnego swojego filmu – *Motyle*. Jednak Stanisław Jędryka był szybszy. Kiedy przyszedł do nas Nasfeter i poprosił Mamę o zgodę na mój występ, odpowiedziała mu, że już jest dogadana z Jędryką i niestety syn zaangażowany został do serialu *Podróż za jeden uśmiech*. Janusz Nasfeter zagotował się wtedy i wykrzyknął: „To ja odkryłem Henia! On należy do mnie!". Na co moja Mama grzecznie odpowiedziała: „Przepraszam pana, ale to jest mój syn i on należy do mnie". Poza tym, skoro była już umówiona z kimś innym, to nie chciała łamać słowa. No i Nasfeter nic nie wskórał. Potem przez rok się do nas nie odzywał, taki był wkurzony. Aż w końcu mu przeszło. Poniekąd go rozumiem – przecież faktycznie to on nas odkrył i zabolało go to, że inny reżyser podbiera mu ulubionych aktorów.

Moim zdaniem najwięcej braw powinien zebrać Adam Bahdaj, najbardziej poczytny polski autor książek dla młodzieży. Zresztą i dzisiaj wznawiane są jego powieści. Jego książki to prawie gotowe scenariusze.

Faktycznie. Miał wielki talent i rozumiał psychikę dziecka. Nie mówiąc o wyobraźni… Ponoć pomysł na książkę podsunął mu jego syn, który jako nastolatek wybrał się w taką właśnie podróż, a potem mu o niej opowiedział.

I tak narodził się fenomenalny duet chłopaków o odmiennych temperamentach – Poldek Wanatowicz i Duduś Fąferski. Przypuszczaliście wtedy, że przejdziecie do historii?

Nawet przez myśl nam to nie przeszło. Znaliśmy się co prawda już z filmu *Abel, twój brat*, ale faktycznie różniliśmy się charakterami.

Niestety, po emisji serialu w telewizji Filip Łobodziński, czyli Duduś, był odbierany jak ktoś, kto nic nie potrafi. A to kompletna nieprawda. Człowieka widzą przez postać, którą gra. Jeśli grasz fajtłapę, to myślą, że taki jesteś w rzeczywistości. Nic bardziej mylnego. Filip był zupełnie normalnym chłopakiem, może czasem

trochę bujał w obłokach, pisał wiersze i inne takie… A ja byłem mokotowskim charakterniakiem.

I w sumie tak zostało do dziś – jeśli spojrzysz na jego wykształcenie, osiągnięcia (tłumaczy literaturę z języka hiszpańskiego, pięknie śpiewa i gra na gitarze, udziela się jako dziennikarz), to złapiesz się z podziwu za głowę. A ja? Morowy chłopak z Mokotowa z wykształceniem ślusarskim i mocnymi pięściami.

Czy były zdjęcia próbne?

Skąd. Reżyser znał mnie już z poprzedniego serialu, a Filip grał ze mną w *Abel, twój brat*. Poza tym, już wcześniej, udzielał się w postsynchronach, podkładając głos do zagranicznych filmów. Można powiedzieć, że byliśmy już zawodowcami… A na planie towarzyszyła nam plejada sławnych aktorów – Alina Janowska, Jan Machulski, Zygmunt Kęstowicz, Leszek Herdegen, Hanna Skarżanka, Irena Karel, Janusz Kłosiński i wielu, wielu innych, gdyż obsada była naprawdę imponująca. Pojawili się też starzy znajomi z *Wakacji z duchami*: Ryszard Pietruski, Bolesław Płotnicki, Teofila Koronkiewicz, Jerzy Turek, Aleksandra Zawieruszanka.

Niestety, wielu z tych aktorów już odeszło. Kiedy czasem oglądam serial, to łza mi się w oku kręci… Stanisław Jędryka przywiązywał się do swoich młodych aktorów, dlatego na planie pojawili się też moi rówieśnicy z *Wakacji z duchami* – Edek Dymek i Joasia Duchnowska, a także Bogdan Izdebski z filmu *Abel, twój brat*. Co prawda wystąpili tylko w epizodach, ale za to bardzo sugestywnych. Joasia zagrała romantyczną dziewczynkę – Martę z kolonii, do której przyłączyliśmy się nielegalnie razem z Dudusiem. Jako Poldek wpadłem jej w oko i zaczęła mnie podrywać. Potem wiozłem ją kajakiem po jeziorze. Prawie jak scena z *Romea i Julii*. W pewnym momencie zapytała mnie, czy mam sentymentalną naturę, na co ja po namyśle odpowiedziałem, że byłem raz sentymentalny…

…jak bolał cię ząb i nie chciałeś iść do dentysty.

No właśnie. Było dużo śmiechu, bo czasem, niby przypadkiem, ochlapywałem Joasię wodą z wioseł. No i chybotałem kajakiem, żeby ją przestraszyć. Ale to była dzielna dziewczyna. A z kolei Edek Dymek zagrał sepleniącego łobuziaka o ksywie Papuas, który wraz ze swoim kumplem Stefanem Pająkiem (w którego wcielił się Bogdan Izdebski) – nawiał z domu. Mieli, jak to marzyciele, plan dotarcia na Wyspy Kanaryjskie i zaproponowali nam wspólną podróż. Mój kuzyn – przemądrzały Duduś – zaczął się z nich wyśmiewać i o mało co nie dostał w nos. Scena nagrywana była na pomoście żeglarskim. Bez namysłu stanąłem w obronie Dudusia. Zwarłem się z Papuasem i jego kamratem i wrzuciłem ich obu do wody. Ta scena weszła nawet do czołówki. Ale, co dziwne – tylko do czołówki, bo w serialu i wersji kinowej nie ma po niej śladu. Papuas i Pająk najzwyczajniej odchodzą.

Ile razy ich wrzucałeś? To znaczy ile było dubli?

Parę razy. Potem trzeba było szybko suszyć i prasować ubrania, żebym mógł ich ponownie wepchnąć do wody.

Nie mieli żalu? Ponoć woda była dość zimna.

Coś ty! To były morowe chłopaki. Podczas ich pobytu nasze rozrabianie osiągnęło apogeum. Jak już mówiłem, Bogdana Izdebskiego znałem przecież jeszcze z *Abla…*. Miał niski, charakterystyczny, niepowtarzalny głos. Kilka lat później zagraliśmy razem jeszcze w filmie *Nie zaznasz spokoju*, ale to tak na marginesie. Wracając do *Podróży…* Jak wyjechali z Edkiem, to cała ekipa odetchnęła, bo od razu zrobiło się spokojniej.

Z Dudusiem nie mogłeś dać czadu?

Z nim też, ale nie do tego stopnia, bo często ktoś go pilnował – mama, babcia albo tata. Zmieniali się od czasu do czasu. Ale i tak nieźle się bawiliśmy. Kiedy patrzę wstecz, wydaje mi się, że w tym filmie obydwaj bardzo dojrzeliśmy. W końcu była to przecież prawdziwa podróż. Dwa miesiące zdjęć non stop, ciągłe

przenoszenie się z miejsca na miejsce, poznawanie coraz to nowych ludzi… Byliśmy jak cygański tabor. Nigdzie nie zagrzaliśmy dłużej miejsca. Wystartowaliśmy przecież w Krakowie, a skończyliśmy aż na Helu, chociaż zdjęcia były kręcone w innej kolejności, nie pamiętam już jakiej.

To była niesamowita frajda, ale też i szkoła życia. Kręciliśmy przede wszystkim w plenerach, w wielu miejscach Polski – Kartuzach, Chełmnie, Krakowie, Kazimierzu nad Wisłą, Gdańsku, Sopocie, na Helu… Dla nas – piętnastolatków – to była przygoda życia! Bywało i tak, że niemal musieliśmy nasz zdezelowany autobus – enerdowski robur – popychać pod górę, bo nie dawał rady podjechać, a ekipa była przecież spora.

Jak zwykle najbardziej zaprzyjaźniłem się z kaskaderami. To dzięki ich szkoleniu nabyłem sporych umiejętności. Jest taka scena w serialu, w której wraz z grupą autostopowiczów łapiemy dostawczego żuka, wskakujemy wszyscy na pakę, ale nieszczęsna waliza Dudusia (czyli „przeklęty grat rodziny Fąferskich") pozostaje zapomniana na drodze. Wtedy ja, w trakcie jazdy, wyskakuję z auta, robię w powietrzu przewrotkę przez ramię i ląduję na asfalcie! Wszyscy oniemieli.

Reżyser Jędryka, jak to zobaczył, to z przerażenia rwał włosy z głowy. Był przekonany, że się połamałem. A ja po prostu wstałem, otrzepałem się i, jak gdyby nigdy nic, zapytałem, czy robimy następny dubel. Oczywiście nie był już potrzebny. Ale tą ewolucją zdobyłem u kaskaderów wielki szacunek. Zaczęli mnie traktować jak swojego.

Drugą ryzykowną scenę miałem, kiedy wbiegam wprost pod nadjeżdżającą warszawę, a samochód z piskiem opon zatrzymuje się dosłownie o centymetry przede mną! Przez moment myślałem, że nie wyhamuje i mnie walnie.

Z trudnych scen pamiętam jeszcze schodzenie po prześcieradle z pierwszego piętra budynku kolonii, do której się przyłączyliśmy z Dudusiem (on również zszedł, tak samo jak ja, ale miał trudniej, bo grał w garniturze). Sprawność fizyczna pozostała mi do dzisiaj.

Bez problemu mogę zrobić pompkę na jednej ręce czy założyć nogę za głowę jak fakir.

Ponoć podczas kręcenia serialu dogoniłeś pociąg…

Zgadza się. W jednym z odcinków podróżujemy z Dudusiem taką starą dwu- czy trzywagonową „bonanzą” ciągniętą przez parowóz. W scenopisie stało, że mam wyskoczyć po wodę dla starszej pani (niezapomniana Teofila Koronkiewicz), napełnić butelkę przy ręcznej pompie i w te pędy wrócić do pociągu. Jednak lokomotywa rusza, Duduś stoi na tylnej platformie i panikuje, a ja próbuję bezskutecznie dogonić oddalający się pociąg. Byłem jednak tak szybki, że na pełnym gazie dogoniłem ostatni wagon (a spróbuj pobiec po torach szynowych i podkładach, nie zaliczając gleby!). No i pociąg trzeba było cofnąć i scenę powtórzyć. Tym razem biegłem wolniej i wszystko poszło jak trzeba.

Filip Łobodziński – Duduś (z lewej), Henryk Gołębiewski – Poldek i waliza – „przeklęty grat rodziny Fąferskich” (kadr z serialu *Podróż za jeden uśmiech*)
(© STUDIO FILMOWE KADR, MATERIAŁ FILMOTEKI NARODOWEJ)

Opowiedz teraz o tej słynnej walizce Dudusia, która z jego ojcem obleciała pół świata. Ponoć „przeklęty grat rodziny Fąferskich” był wypełniony piłeczkami?

Jakimi piłeczkami?! Na pewno wymyślił to jakiś pismak. W walizce były po prostu zmięte gazety. I nic więcej. A my musieliśmy udawać, że jest potwornie ciężka. (Duduś i jego babcia siadali na walizce, żeby się zamknęła). Czego to dziennikarze nie wymyślą! Kiedyś

nawet czytałem, że tuż po serialu naprawdę wybrałem się w podróż autostopem nad morze, razem z Barszczykiem i Kubą – moimi kumplami. A samochody zatrzymywały się i kierowcy pytali, dokąd chcemy za „ten uśmiech" dojechać. Prawdą jest jedynie to, że faktycznie jeździliśmy nad morze, w tajemnicy przed rodzicami, ale… pociągiem. Wykąpaliśmy się w morzu i następnym pociągiem wracaliśmy. Na gapę. Raz jedyny nie pojechałem i tym sposobem uniknąłem problemów, bo akurat wtedy moich kolegów złapała milicja.

Kiedy zapytałem Dudusia, czyli Filipa Łobodzińskiego, o zawartość walizki, odpowiedział, że były w niej dwie nadmuchiwane piłki plażowe.

Może w końcu pękły? Ja pamiętam gazety.

Czy słynna walizka Dudusia zachowała się do dzisiaj?

Co ty z tą walizką? Nie masz w co zapakować piłeczek pingpongowych? Nie mam pojęcia, co się z nią stało.

Bo gdyby zachowała się do dzisiaj, to na aukcji osiągnęłaby horrendalną cenę. Ale to zupełnie inna para kaloszy. Plotka krąży, że podczas kręcenia serialu (a był to rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty drugi) wymyśliłeś telefon komórkowy…

Ale to było już w książce, więc wymyślił go Adam Bahdaj. Faktycznie, w jednej ze scen, kiedy wędrujemy szosą, pytam Dudusia: „Stary, czy ty nie masz czasem w kieszeni telefonu bez drutu?". Na co Duduś odpowiada: „Tylko nie fantazjuj, błagam!"… W tamtych czasach nawet zwykły domowy telefon był rarytasem. Korzystało się przede wszystkim z budek telefonicznych, w których zawieszony był pancerny telefon na wrzucane złotówki, zresztą przeważnie miał urwaną słuchawkę… Przypominam sobie śmieszną scenę z ciemnoskórym studentem, który zaskakuje mnie przy namiocie i mówi: „Mnaba cię zjeść!"– na jego widok, ze strachu chwytam patelnię i cofam się do jeziora. Bo wówczas Murzyn

w Polsce był rzadkością. I wtedy okazuje się, że wszystkie dania, które Duduś niby przyrządzał, w rzeczywistości były dziełem Mnaby. I jego świetne kwestie – „Gdzie jest moja przyjaciela Dudusia?" albo „Dudusia to jest mała fujara" – na co ja odpowiadam: „Dudusia to nie mała fujara, to duża fujara!".

Albo scena z ciocią Ulą – królową autostopu (Aliną Janowską), kiedy robimy razem poranną gimnastykę – było cholernie zimno, a ja w samych kąpielówkach! Trząsłem się jak osika. Podobnie było w scenie z autostopowiczami, kiedy myjemy się w jeziorze i komenderuje nami przesympatyczny Jerzy Cnota (który przezywał Dudusia Lordem Bendenbury):

Myjemy uszy dla spokoju duszy!

Myjemy nos – z włosem i pod włos!

Myjemy szyję – niech scześnie, kto nie myje!

Myjemy ręce – ręce i nic więcej!

Potem śpiącego jak kamień Dudusia puszczamy na dmuchanym materacu na jezioro. W samej piżamie. W końcu wpada do wody. Też, biedak, przemarzł.

I teraz naszła mnie refleksja. Kiedyś można było przejechać bezpiecznie autostopem całą Polskę. Były nawet specjalne książeczki autostopowicza, w których zamieszczano kupony z wpisaną liczbą kilometrów, jakie się przebyło. Taki kupon zostawiało się kierowcy, który zabrał autostopowicza. Potem te kupony kierowcy odsyłali do biura podróży i otrzymywali nagrody. Autostop był wtedy bardzo popularny i – co najważniejsze – bezpieczny! Zbierała się wiara z plecakami i gitarą, no i w Polskę idziemy! Nieważne dokąd, byle przed siebie! Kierowcy zatrzymywali się, podwozili, dowcipkowali… A teraz? Kto ci się zatrzyma? Możesz stać przy szosie jak słup przez cały dzień. Kierowcy boją się brać na łebka. Zresztą ryzyko leży po obu stronach, bo przecież można trafić na jakiegoś kierowcę psychola. Jak te czasy się zmieniły! Ale na to nie ma siły…

A jak było z tą sceną, kiedy jedziesz na świni?

Kupa śmiechu, z przewagą kupy… Ścigałem tego prosiaka po jarmarku, aż wreszcie wskoczyłem na niego jak kowboj. W ogóle miałem dużo scen ze zwierzakami – ganiałem gęsi, podróżowałem z dwiema krasulami (razem z Filipem musieliśmy wsiąść do dostawczaka, odciągnąć dwie krowy i wystawić zamiast nich głowy na zewnątrz). Ta scenka weszła nawet do czołówki serialu. Poza tym koza, która nieoczekiwanie nas budzi, gdy śpimy w stogu siana. No i jeszcze odyniec, który tak wystraszył Dudusia, że ten wlazł na drzewo, a potem nie umiał zleźć. Co jeszcze? Fajna scena, kiedy jedziemy wozem wiozącym tego właśnie świniaka do skupu żywca. Powozi gospodyni – Janina Chojnacka. Ja bajeruję ją, że ten elegancki kawaler – Duduś – jest rodowitym Anglikiem. Zdumiona gospodyni zapytuje, ile w Anglii kosztuje kilo żywca. Więc ja nawijam do domniemanego Anglika po angielsku: *What do you think about the* ŚWINIAK?

Ale chyba najwięcej śmiechu na planie wzbudziła scena, w której idę z jagodami, a Jerzy Turek – kierowca ciężarówki chłodni – recytuje:

Chcesz już iść?…

Jeszcze ranek nie tak blisko.

Słowik to, a nie skowronek się zrywa!

Nagle zauważa mnie i krzyczy: „Kawalerze! Znasz Szekspira?!”, na co ja z prostotą odpowiadam: „Nie, ja z Krakowa!”. Cała ekipa pokładała się ze śmiechu. Jednak nie wiem, czy weszła do filmu.

Natomiast najbardziej upiorna scena rozegrała się w nietypowym, wielkim meblowozie przewożącym trumny. Kierowcę grał Bogusław Sochnacki. Najtrudniej miał Filip, bo musiał do jednej trumny wejść, położyć się i jeszcze zamknąć za sobą wieko! W dodatku w tym swoim cmentarnym garniturku rzeczywiście przypominał umarlaka. Ja ukryłem się za wiekiem, na stojąco. Obaj mieliśmy nietęgie miny, przyznaję, przeszedł mnie dreszcz… Ale jakoś to przeżyliśmy.

A mnie bardzo śmieszy scena, w której Duduś, zamówiwszy posiłek w knajpce pod chmurką, dostaje talerz, w którym znajduje się jakiś owad. Powołując się na obowiązujące przepisy, Duduś żąda wymiany zamówionego jedzenia. I (wobec sprzeciwu) zaczyna kłócić się z kelnerką (Krystyna Borowicz), że ten robal w talerzu to rohatyniec a nie jelonek dębowy, jak upiera się kelnerka.

Filip miał niesamowity talent komediowy, może nawet większy niż ja. Obydwaj sceny komediowe graliśmy śmiertelnie poważnie i dlatego wychodziły zabawnie. Nawiasem mówiąc – podpatrzyliśmy ten styl gry u Zdzisława Maklakiewicza. Poza tym ja grałem niemal samego siebie, a Filip musiał wcielić się w irytującego, przemądrzałego fajtłapę, którym w istocie nie był! To naprawdę wymaga talentu.

W pierwszym odcinku serialu, kiedy ty się pakujesz do podróży, twoja ciocia (Jolanta Zykun) w nostalgicznym nastroju słucha *Niepewności* Adama Mickiewicza w wykonaniu Marka Grechuty. Faktycznie odtwarzaliście ten utwór, czy dopiero później go dodano?

Grany był podczas wszystkich dubli. Fajnie się tego słuchało, to był wówczas szlagier. Dziewczyny go uwielbiały. A narzeczony mojej cioci – „słynny obrotowy Franek Szajba" (Tomasz Kasprzykowski) podjeżdża efektownym białym kabrioletem. Stanisław Jędryka miał do nich słabość. Kabriolet pojawia się przecież w *Wakacjach z duchami* (jeździ nim Roman Wilhelmi), w *Podróży za jeden uśmiech* wystąpiły aż trzy: ten należący do Franka Szajby, drugi – którym jadą scenarzyści, wymyślając scenariusz filmu kryminalnego (a ja omyłkowo biorę ich za gangsterów i podnoszę alarm), no i trzeci – ten należący do profesora Omielskiego, słynnego biochemika z Warszawy (zagrał go Edmund Fetting, świetny aktor, który, przypomnę, zaśpiewał słynną balladę w serialu *Czterej pancerni i pies*). Podejrzliwy Duduś bierze go za ukrywającego się wśród wydm przestępcę. Kolejny kabriolet pojawia się w serialu *Stawiam na Tolka Banana* – poruszają się nim złodzieje

podszywający się pod filmowców, a nieświadoma niebezpieczeństwa Karioka jedzie razem z nimi.

Ale przeskoczę teraz do ostatniego odcinka, kiedy ratuję tonącą w morzu dziewczynę. Zdradzę, że ten moment, kiedy wbiegam do wody, nakręciliśmy w Bałtyku, ale już samą scenę topienia się – na basenie w Katowicach. Potem się to zmontowało i wyszło bardzo naturalnie. Zresztą wszystkie sceny nad morzem były dość trudne, bo to był środek lata i plaża pełna gapiów. Podobnie było przy kręceniu pokazu mody na molo, który prowadził Tadeusz Pluciński. Nie wszyscy wiedzą, że ten wątek, w którym szukamy słomkowego drogocennego kapelusza, Adam Bahdaj zaczerpnął ze swojej innej książki – *Kapelusz za sto tysięcy*…

Teraz jeszcze smutna sprawa – losy Edzia Dymka. To z nim zaprzyjaźniłem się najbardziej. Podczas zdjęć zawsze mieszkaliśmy w tym samym pokoju. Razem zbytkowaliśmy. Kiedyś dostał nawet ode mnie zagraniczną koparkę w prezencie. Zawsze o tym wspominał z rozrzewnieniem.

Niestety, potem zniknął z kina, tak jak ty. Ponoć mieszkał we Wrocławiu na Brochowie, w jakiejś ruderze bez światła i kanalizacji.

„Proza życia to przyjaźni kat". Nasze drogi rozeszły się, żal chłopaka…

Krążyły plotki, że zastrzelił się z karabinu w jednostce wojskowej, z której wielokrotnie uciekał.

Bzdura, już jako dorosły odwiedził mnie na Mokotowie. Podobno bardzo chciał spotkać się ze mną przed śmiercią, ale nie zdążył. Niech mu ziemia lekką będzie.

Henio Gołębiewski – Pikador (z lewej) i Edzio Dymek – Papuas
(kadr z serialu *Wakacje z duchami*)
(© ZE ZBIORÓW FILMOTEKI NARODOWEJ)

Amen. Ale żeby wyjść z ponurego nastroju, znowu wrócę do pierwszego odcinka. Po raz kolejny wypowiedziałeś tam kultowy tekst: „Boże, spuść bombę na tę trąbę!”.

He he, tak, to była moja reakcja na to, jak Duduś zgubił pieniądze na naszą podróż. Plus efektowne zderzenie z facetem dźwigającym paczki, a następnie zaliczenie gleby. Jeszcze wracając do sceny, gdy moja ciocia siedzi w swojej „świątyni dumania”, a ja nieudolnie wiążę krawat. Wchodzi mój tato, którego grał nieżyjący już Jan Machulski, i pyta o moje stopnie, na co ja odpowiadam, że są symetryczne – na środku piątka, a po bokach same trójе. Ojciec zaciekawiony: „Z czego ta piątka?”. „Ze śpiewu”… „I tobie jeszcze się chciało śpiewać?!” Ekipa znowu w śmiech. Po latach, gdy już byłem dorosły, spotkałem Jana Machulskiego i na wejściu mówię: „No, jak tam żyjesz, ojciec?”. Roześmiał się i przywitał ze mną serdecznie. To był fajny gość. I świetny aktor.

Racja, poznałem go, jak studiowałem w łódzkiej filmówce, był wtedy dziekanem wydziału aktorskiego, studenci go uwielbiali. Ale to tak na marginesie.

Przypomniałem sobie jeszcze jedno ciekawe zdarzenie. To było podczas kręcenia sceny na stacji benzynowej. Ni stąd, ni zowąd, zupełnie przypadkiem, podjechała zagraniczna gablota. Wysiadła z niej przepiękna dziewczyna, jak się okazało – Czeszka. A z nią jakiś ważny wówczas gość.

Jan Machulski wiąże krawat Henrykowi Gołębiewskiemu – Poldkowi (kadr z serialu *Podróż za jeden uśmiech*)

(© STUDIO FILMOWE KADR, MATERIAŁ FILMOTEKI NARODOWEJ)

Podpowiem ci – to był Andrzej Jaroszewicz, syn ówczesnego premiera, słynny rajdowiec. Duduś mi opowiadał.

Aha. W każdym razie ta gablota wraz z piękną Czeszką wystąpiła w serialu.

Rzeczywiście to była niezła laska, pamiętam tę scenę. Wróćmy do serialu. Powstała również jego skrócona wersja.

Zgadza się, wersja kinowa, ale w niej nie zmieściło się sporo ciekawych scen. Dlatego serial jest lepszy. Na przykład w pierwszym odcinku jedziemy z Dudusiem gazikiem (prowadzi go Leszek Herdegen – aktor o niesamowitym głosie – to on śpiewał wzruszającą balladę *W stepie szerokim* do *Przygód pana Michała*) i zatrzymuje nas spanikowana mama z dzieckiem. Okazuje się, że ten szkrab, bawiąc się w wojsko, jako hełm założył sobie na głowę garnek i nie mógł zdjąć! Trzeba było go zawieźć na pogotowie. Boże, jak nas to śmieszyło! Albo gdy zbieraliśmy z autostopowiczami grzyby, nazwałem Dudusia – „Sromotnik bezwstydny". Komedia! No i jeszcze jak wpada mi mydło do kotła z zupą zacierkową, a ja próbuję wyłowić je za pomocą podbieraka na ryby…

W filmie padły jeszcze dwa kultowe grepsy, które wypowiedziałeś: „Niech mnie dźwi ścisną!" (piszę fonetycznie – właśnie „dźwi", a nie „drzwi") i: „Człowieku! Nie masz pojęcia o wyobrażeniu!".

No i nie sposób nie wspomnieć o fenomenalnej muzyce do czołówki, skomponowanej przez Jerzego Matuszkiewicza.

To wielki artysta. Skomponował muzykę do mnóstwa filmów i seriali, wspomnę chociażby *Stawkę większą niż życie*, *Janosika* czy *Jak rozpętałem drugą wojnę światową*. Jeszcze jedna ciekawostka. Otóż w *Podróży za jeden uśmiech* nawiązaliśmy symbolicznie do serialu *Wakacje z duchami*. Chodzi o przekomiczną scenę w ośrodku „Kmita", gdzie odbywają się wczasy w siodle. Ja – Poldek – zostaję przypadkowo zamknięty na strychu. W końcu spuszczają mnie na

linie (między innymi Ryszard Pietruski) przez komin. I wtedy ja się drę: „Przeeebacz miii, Brunhildooo!”.

Po takich hitach jak *Wakacje z duchami* i *Podróż za jeden uśmiech* byłeś już prawdziwą gwiazdą, znaną w całej Polsce. Pewnie nie mogłeś opędzić się od dziewczyn.

Wprost przeciwnie. Kiedy jakaś panna wpadła mi w oko i chciałem ją poderwać, byłem zbywany argumentem, „że taki gwiazdor jak ty ma pewnie pełno dziewczyn, więc nie zamierzam dołączać do twojej gromadki”. Widzisz, Tomek, wtedy były inne obyczaje, dziewczyny się szanowały. Dzisiaj znany aktor może przebierać w adoratorkach jak w ulęgałkach, same pakują mu się do łóżka. Takie czasy. Zresztą ja nigdy nie byłem kobieciarzem. Chociaż bajer mam niezły.

Ponoć był pomysł nakręcenia dalszego ciągu *Podróży za jeden uśmiech*.

Co jakiś czas taki pomysł odżywa. Ale nic z tego nie wychodzi. A przecież fajnie byłoby się spotkać na planie po latach. I wyruszyć w nową podróż. Na pewno kina byłyby pełne, a w telewizji wielka oglądalność. No cóż, może jeszcze się doczekamy…

Ale o tem potem, bo właśnie zbliża się Tolek Banan…

CEGIEŁKA

Tolek Banan i jego ferajna: Jacek Zejdler – Tolek Banan (z lewej), Sergiusz Lach – Filipek, Agata Siecińska – Karioka, Henryk Gołębiewski – Cegiełka, Andrzej Kowalewicz – Cygan i Filip Łobodziński – Julek (kadr z serialu *Stawiam na Tolka Banana*)

(© POLFILM/EAST NEWS)

Stawiam na Tolka Banana to trzeci kultowy serial, w którym się pojawiłeś. Traktował o grupie trudnej młodzieży, którą na dobrą drogę chce sprowadzić charyzmatyczny przywódca – Tolek Banan.

Scenariusz również powstał na podstawie świetnej powieści Adama Bahdaja. Jak do tego serialu trafiłeś?

Tak samo jak do *Podróży za jeden uśmiech* i *Wakacji z duchami*. Stanisław Jędryka doskonale znał już moje możliwości i umiejętności, więc nie miał wątpliwości… ale mi się zrymowało! Pasowałem charakterologicznie do roli Cegiełki, łobuziaka (pozostającego pod nadzorem kuratora), syna nałogowego alkoholika. Zresztą do tej pory większość reżyserów dobiera aktorów „po warunkach". Czyli jak facet ma twarz bandziora – to przeważnie takiego gra, jeżeli amanta – to gra amanta. Rzadko kiedy grają „na kontrze", czyli wbrew aparycji i warunkom fizycznym.

Kręciliśmy w Warszawie, w większości na Pradze, niejako z marszu, bo to było rok po *Podróży za jeden uśmiech*. W serialu można zobaczyć Warszawę, której już nie ma… Na planie znowu spotkałem się z Dudusiem, czyli Filipem Łobodzińskim. Bardzo się ucieszyliśmy, w końcu znaliśmy się już jak łyse konie… No, może niezupełnie łyse, bo po dziś dzień i on, i ja mamy bujne fryzury.

Prawda. A jak trafili do serialu pozostali aktorzy?

O ile dobrze pamiętam, Filipek, czyli Sergiusz Lach, był z castingu. Cygan (Andrzej Kowalewicz) i Tolek Banan (Jacek Zejdler) – tego nie wiem. Karioka chyba też z castingu, chociaż słyszałem wersję, że wyczajono ją latem nad morzem. Tak czy owak, Jędryka po raz kolejny skompletował fajną paczkę. Każdy ma swoją niepowtarzalną osobowość, wady i zalety… Cegiełka wali cegiełką, Filipek musi żuć gumę (bo mu Karioka każe) i ciągle narzeka, że mu „się żęby szkleiły", Cygan gra na skrzypcach do kotleta i zbiera pieniądze dla opiekującego się nim ślepca, Julek, jak przystało na chłopca z dobrego domu, gra w tenisa, Karioka nie znosi sprzeciwu i rządzi twardą ręką, a Tolek Banan – zna judo, jest odważny i charakterny…

No właśnie, tak jak w tytułowej piosence:

Stare miał dżinsy, starą koszulę,

W dziurawych kamaszach szedł
Z odwagą w sercu, z dumą na twarzy,
Czy dobrze było, czy źle…

Fantastyczny tekścior Adama Bahdaja… i muzyka Jerzego Matuszkiewicza…

Dawniej mówiło się szlagier. Śpiewały go podwórka w całej Polsce, śpiewało się go na wakacjach przy ognisku… I od razu wyprzedzę twoje pytanie. Tak, to my autentycznie śpiewaliśmy tę balladę!

Kadr z serialu *Stawiam na Tolka Banana*
(© POLFILM/EAST NEWS)

Właśnie tego chciałem się dowiedzieć. Dzięki. Reżyser Stanisław Jędryka ponownie zebrał ekipę wspaniałych aktorów – Romana Wilhelmiego, Teresę Lipowską, Władysława Hańczę, Bogdana Łazukę, Tadeusza Plucińskiego, Arkadiusza Bazaka, Stefana

Friedmanna, Krzysztofa Stroińskiego, Zofię Czerwińską i wielu, wielu innych.

A wiesz dlaczego? Bo każdy chciał u niego zagrać. Przeważnie były to epizody, ale właśnie dobrze zagranym epizodem możesz zapaść widzowi w pamięć. Każdy aktor to potwierdzi.

Zatrzymajmy się na moment przy twojej roli. Moim zdaniem Cegiełka to postać tragiczna, stojąca na rozdrożu. Mogłeś stoczyć się tak jak twój filmowy ojciec – i pójść w bandziorkę i alkohol, albo przeciwnie, jak to się mówi, wyjść na ludzi. Uważam, że zagrałeś niezwykle dojrzale i przekonująco, a szczególnie wstrząsające sceny to…

Tam, gdzie krzyczę do ojca: „Złodziej!", a on rzuca we mnie kamieniami, no nie? Pamiętam tę scenę jak dziś. Może dlatego, że poznałem wtedy legendarnego Jana Himilsbacha. Grał w tej scenie kompana mojego ojca – pili razem wódkę na trawce pod mostem Poniatowskiego.

Jaki był Himilsbach?

Szorstki… a jednocześnie jakiś ciepły. Nieprzewidywalny, lubił improwizować, podpuszczać… Tak dziwnie patrzył na ciebie – ni to kpiarsko, ni to poważnie. I ten jego chropowaty głos! Nie do podrobienia. Jak pił, to mówił: „Ja do organizmu wprowadzam bajkowy nastrój".

Chcę jeszcze zapytać cię o drugą wstrząsającą scenę – tę z twoją matką…

Cóż ja ci mogę powiedzieć, Tomek? Grałem z Lidią Korsakówną, ponoć tak przekonująco, że niejednemu stanęły łzy w oczach. Ot, i tyle…

Opowiedz mi, jak było na planie.

Podobnie jak *Wakacje z duchami* i *Podróż za jeden uśmiech*, ten serial również kręciliśmy przez całe wakacje. Różnica była tylko taka, że nie opuszczaliśmy Warszawy. Codziennie po zdjęciach taksówka rozwoziła wszystkich do domów. A następnego dnia, od rana, znowu przyjeżdżała i zabierała nas na plan. Rutyna. Praktycznie byliśmy zajęci od rana do wieczora, z wyjątkiem sobót i niedziel, które były wolne. Tekstu uczyłem się z dnia na dzień. Zresztą nie zawsze musiałem być obecny, ponieważ każdy odcinek poświęcony był innemu bohaterowi i w wielu scenach moja postać się nie pojawiała. Nie psociliśmy już tak bardzo na planie, bo byliśmy starsi – ja miałem prawie szesnaście lat, choć wyglądałem na młodszego. Filip Łobodziński, czyli Julek, mimo że ponad dwa lata młodszy, był wyższy ode mnie.

Klondike, czyli nasza baza – stara fabryka, mieściła się na Pradze. Co ciekawe, tuż po zakończeniu zdjęć totalnie ją zburzyli. Były też sceny na dawnym Stadionie Dziesięciolecia (bez zasuwanego dachu, a i tak się grało), nad Wisłą… Najstarszy w naszej paczce był Tolek Banan, czyli Jacek Zejdler. Był wtedy studentem szkoły teatralnej. W postsynchronach głosu użyczył mu Andrzej Seweryn, ale nie pytaj dlaczego, bo nie wiem. Tak samo było z głosem Karioki – podkładała go Joanna Jędryka. Też nie wiem dlaczego…

Z tego, co słyszałem, Karioka, czyli Agata Siecińska, złamała wtedy nogę i nie bardzo mogła się poruszać wte i wewte, żeby docierać na postsynchrony.

Tego nie pamiętam. Dla mnie była wtedy trochę zagadkowa, czasem taka zamyślona, jakby znajdowała się w innym miejscu, a nie tu i teraz. Romantyczka. Miała śmieszny pieprzyk na brodzie, który ją denerwował, a moim zdaniem dodawał uroku. Po *Tolku…* zagraliśmy jeszcze w jednym filmie – *Koniec wakacji*. Miała niesamowicie zgrabne nogi. Wszyscy się zachwycali. Po szkole średniej zaczęła studia w Akademii Sztuk Pięknych, aż w końcu wyjechała do Paryża i mieszka tam do dziś. Tam również skończyła kolejne studia. Maluje i sprzedaje obrazy. Bardzo utalentowana. Cygan (Andrzej Kowalewicz) pochodził z Pragi, Filipek (Sergiusz

Lach) z Ochoty. Już jako dorosły facet zaangażował się w działalność opozycyjną, a potem wyemigrował do Szwecji i podobno mieszka tam do dzisiaj.

Tutaj ciekawostka. Ten oryginalny kubraczek, w którym gra Cygan – pożyczyła mu go moja Mama. Bardzo mu się podobał.
I autentycznie Cygan pięknie grał na skrzypcach. Kiedyś opowiadał nam, że w czasie zdjęć w jego szkole zarządzono ogólne strzyżenie – wtedy długie włosy były zabronione. Tylko on jedyny ocalał, bo grając Cygana, musiał nosić długie włosy. Resztę wiary ogolili na krótko. Tolek Banan, czyli Jacek Zejdler, zginął parę lat później.

Plotka mówi, że utopił się, pływając żaglówką na Mazurach…

To nieprawda. Wiem, jak było naprawdę, ale zostawię to dla siebie…

Filip Łobodziński (z lewej), Henryk Gołębiewski, Jacek Zejdler
(kadr z serialu *Stawiam na Tolka Banana*)
(© POLFILM/EAST NEWS)

Rozumiem. A co robiłeś po zdjęciach?

W tygodniu nic, bo wracałem wieczorem zmęczony, kolacja i lulu. Ale w sobotę już było wesolutko. Zaczęły się papieroski – Sporty pakowane wtedy jeszcze w dziesiątkach, i winko Kordiałek z kumplami na Polach Mokotowskich. Potańcówki w klubie na Łowickiej. Wtedy też zacząłem gitować. Wiem, wiem, to twój ulubiony temat, dlatego nic więcej teraz nie powiem. To w następnym rozdziale. Git?

Git.

Przypomniało mi się zabawne zdarzenie. Kiedyś, po zdjęciach, reżyser Stanisław Jędryka zabrał mnie na kolację do SPATiF-u. Lokal, jak wiadomo, pełen ówczesnych gwiazd – aktorów i aktorek. Zamówił nam coś do jedzenia, wino i dwa kieliszki. Ukradkiem nalał do mojego oranżady, do swojego wina i… wzniósł toast. Wyobrażasz sobie reakcję towarzycha? Skandal!!! Reżyser rozpija młodocianego! Podniósł się raban, ale Jędryka szybko wygadał, na czym polegał żart. Moim zdaniem za szybko, bo mógłbym zagrać pijanego…

Którego, notabene, zagrałeś w słynnej scenie ze Zdzisławem Maklakiewiczem.

Może nie tyle pijanego, ile pijącego. Zresztą całą scenę wymyślił właśnie Maklakiewicz. A było tak: Cegiełka – czyli ja – zostaje niepostrzeżenie zamknięty w mieszkaniu szemranego Aksamitnego Heńka, którego grał Zdzisław Maklakiewicz. Próbuje się z niego wydostać, ale na próżno, bo w oknach kraty. Totalna klapa. Ale widząc suto zastawiony stół, robi się głodny i zaczyna pałaszować. Przy okazji – po chwili wahania – nalewa sobie wina ze stojącej obok butelki i wznosi toast… No, jaki?

Jak to jaki? Piramidalnie, formalnie, diametralnie!

Dokładnie. Później, najedzony i podchmielony, zasypia, aż tu nagle wraca Aksamitny Heniek. Robi wielkie oczy i budzi chłopaka. No i zaczyna się jazda…

Pozwól, że odtworzę fragment tego legendarnego dialogu:

AKSAMITNY HENIEK: Ty! Co tu, formalnie, robisz?!

CEGIEŁKA (zaspany): Ja? Przecież… pan mnie zamknął.

AKSAMITNY HENIEK (zaskoczony): Jak to? Przecież ty wyszedłeś, a ja zostałem!

CEGIEŁKA: Nie, przepraszam pana bardzo, ale ja zostałem, a pan wyszedł.

AKSAMITNY HENIEK: Przepraszam pana bardzo, to pan wyszedł, a ja zostałem!

CEGIEŁKA: Nie, ja zostałem, a pan wyszedł.

AKSAMITNY HENIEK (już zupełnie skołowany): Pan wyszedł, a ja zostałem?!

I tak dalej w ten deseń. To chyba najbardziej komiczna scena, w jakiej zagrałeś.

Pewnie tak. I to zagrana na pełnej powadze! Cegiełka bez zmrużenia oka wciska kit staremu warszawskiemu cwaniakowi. Ekipa ryła ze śmiechu. Z Maklakiewiczem fajnie się grało, znaliśmy się przecież z *Wakacji z duchami*.

No właśnie. Podobnie jak w *Wakacjach z duchami i Podróży za jeden uśmiech*, tak i teraz wypowiedziałeś kolejne słynne zdanie, które stało się kultowe. Mówiłeś wtedy do Karioki: „Żal mi ciebie, ale ja stawiam na Tolka Banana!”.

Faktycznie, moje powiedzonka ze wszystkich trzech seriali weszły do ogólnego obiegu, zwłaszcza wśród młodzieży. Niektórzy używają ich do dziś. Ale zapomniałeś o jeszcze jednym słynnym grepsie, tym razem nie moim, tylko Filipka.

Muka! To zagadkowe słowo wymyślił syn Adama Bahdaja, Marek, którego miałem przyjemność osobiście poznać. Co ono według ciebie oznacza?

A bo ja wiem? Ważne, że klawo brzmi. Poza tym zależy od kontekstu, w jakim zostaje wypowiedziane. Może oznaczać, że jest „klawo", albo „spadaj", albo powitanie. Trzeba było dopytać Marka Bahdaja. Przyznam ci się, że po *Tolku…* miałem już lekko przechlapane, bo czasem na ulicy zaczepiali mnie: „Ty, Cegiełka, taki cwaniaczek byłeś? To spróbuj się z nami!". A ja na to: „Wyluzujcie chłopaki, to nie ja grałem, to mój brat bliźniak!". Zawsze umiałem obrócić wszystko w żart. Ale jak trzeba było się bić – nie pękałem.

Jeśli chodzi o *Stawiam na Tolka Banana*, to po wielu latach Stanisław Jędryka zrobił wzruszający wspomnieniowy film dokumentalny pod tytułem *Tolek Banan i inni* – wystąpiliśmy wszyscy oprócz nieżyjącego Jacka Zejdlera. Każdy z nas opowiada historię swojego życia, o tym, jak potoczyły się nasze dalsze losy. Na koniec zbieramy się nad jego grobem… Smutno…

Ale żeby nie kończyć w minorowym nastroju, opowiem ci coś optymistycznego. Parę lat temu, razem z żoną, zostaliśmy zaproszeni nad morze przez mistrzynię boksu Iwonę Guzowską, między innymi na strzelanie do rzutków. Wieczorem poszliśmy się zabawić do dyskoteki. Weszliśmy na piętro. I wtedy zespół zaintonował muzę ze *Stawiam na Tolka Banana*. A cała sala zaczęła śpiewać „Stare miał dżinsy, starą koszulę…". Nie wyobrażasz sobie, jak byłem wzruszony!

Ja jak słucham tej waszej ballady, to do dzisiaj dostaję gęsiej skórki. Rewelka! Po *Tolku Bananie* dostałeś propozycję zagrania w międzynarodowej superprodukcji, wojennej epopei *Żołnierze wolności* (w oryginale *Sołdaty swobody*). Jak to było?

Któregoś dnia zjawił się u nas w domu asystent od reżysera Jurija Ozierowa i zaproponował mi rolę, którą od razu przyjąłem. Dlaczego by nie? Zawsze to nowe doświadczenie. No i zagrałem młodego powstańca warszawskiego wychodzącego z kanałów. Walczę dzielnie z Niemcami i zostaję ranny. Wtedy przychodzi mi z pomocą radziecki żołnierz, bierze mnie na ręce i wynosi spod budynku, który dosłownie chwilę później wylatuje w powietrze. Żebyś ty widział, jak myśmy spylali! Cała hala poszła w drobny mak – a było to w Uściu

nad Łabą (ówczesna Czechosłowacja, teraz w Czechach), na terenie dawnych nieczynnych kopalni, które można było poświęcić dla filmu. Było tam mnóstwo radzieckiego wojska, które brało udział w zdjęciach. Podczas zdjęć jednemu z wojaków obcięło rękę – przejeżdżający czołg wcisnął w ziemię kawał blachy, a ta zadziałała jak kosa. U nas byłaby afera, a tam – najzwyczajniej wymienili wojaka.

W innej scenie musiałem wleźć z erkaemem do studni i zacząć się ostrzeliwać. Stary, jak ja zacząłem walić! (co prawda ślepakami). Rezonans był tak potężny, że mury wokół mnie dosłownie pękały i o mało mnie nie przysypały.

Inny ciekawy fakt – mimo że miałem zakontraktowane zaledwie trzy dni zdjęciowe, reżyser tak mnie polubił, że siedziałem sobie na planie przez cały miesiąc! Wciąż pobierając diety! A najzabawniejsze było to, że kilka miesięcy później zaprosił mnie na postsynchrony do Moskwy – chociaż miałem do wypowiedzenia zaledwie kilka słów. Przecież mógł to nagrać ktokolwiek. Ale to musiałem być koniecznie ja! I znowu goszczono mnie przez cały miesiąc! Tak mnie polubili.

Heniu, ciebie nie można nie lubić. Ty jesteś jak maskotka – żyjąca legenda polskiego kina.

Ja ci dam maskotkę! Jak ci przylutuję, to się kopytami nakryjesz! (*Obaj śmiejemy się, bo takie gadki, to między nami normalka*). No więc miałem tych parę rubli diet (a dokładnie dwanaście i pół na dzień); kiedyś do hotelu, w którym mieszkałem, przyjechały radzieckie siatkarki. Dziewczyny ładne, zgrabne, cymes… Grzech było przepuścić taką okazję. No więc zagadaliśmy do nich, wiesz figo fago, kawa marago, a tu ściana! Zero kontaktu, jakbyśmy byli trędowaci. Okazało się, że nie wolno im było rozmawiać z żadnym z cudzoziemców. Jaki się zrobił młyn! Przyjechała milicja, bezpieka… Potem w swoim pokoju znalazłem pod dywanem podsłuch. Taka płytka na cztery śrubki połączona z żyrandolem. I cały czas odnosiłem dziwne wrażenie, że jestem obserwowany. Chociaż przecież żaden ze mnie opozycjonista.

W tym samym roku wystąpiłem jeszcze w słynnym, oglądanym przez całą Polskę serialu awanturniczo-przygodowym *Czarne chmury*. Jako syn wieśniaka Maćko miałem scenę z pułkownikiem Dowgirdem (Leonard Pietraszak) i wachmistrzem Kacprem Pilchem (Ryszard Pietruski), a także z Magdą (Anna Seniuk). Grałem w komicznej rozczochranej peruce i łachmanach.

Do dziś pamiętam swoją kwestię: „Gdy mnie złapali (rajtarzy), tom powiedział, że tato z furą siana do klasztoru powiózł". A w następnej scenie płakałem. Ryszard Pietruski na mój widok od razu się ucieszył, bo przecież graliśmy razem w *Wakacjach z duchami*. Pytał o mojego brata Staśka, z którym wówczas nieźle balował. Zaczęliśmy wspominać tamte czasy z Niedzicy… Fajnie było.

Któregoś dnia coś mi strzeliło do głowy i postanowiłem spróbować jazdy konnej. No to kaskaderzy wsadzili mnie na konia, a ten jak nie wyrwie do przodu! Poniósł mnie. Ze strachu nie wiedziałem, co robić, na szczęście dogoniła mnie dziewczyna kaskaderka i osadziła konia. Uff, jaka to była jazda! Więcej na konia się nie pakowałem.

Parę lat później zaliczyłem kolejny fajny, choć króciutki epizod – w nie mniej znanym serialu *Daleko od szosy*. Zagrałem jednego z kolegów głównego bohatera Leszka Góreckiego (Krzysztof Stroiński). Pamiętam, że nawet dokleili mi baczki…

No to pora przejść do nowego etapu twojej filmowej kariery – kina gitowskiego.

DLA MNIE GIT!

Henryk Gołębiewski jako Kuba, git-człowiek, i Joanna Pacuła jako Bożenka Kaczmarek (kadr z filmu *Nie zaznasz spokoju*)

(© STUDIO FILMOWE KADR, MATERIAŁ FILMOTEKI NARODOWEJ)

Heniu, co oznacza dla ciebie słowo git?

Tomek, nie męcz mnie, to było dawno temu.

No to ja zacznę. Git albo git-człowiek, inaczej mówiąc, po prostu człowiek, kierował się pewnym kodeksem, którego zasady pozostawały tajemnicą tylko pomiędzy ludźmi.

Nie przeczę. Co prawda nazywali nas chuliganami czy bumelantami, ale tak naprawdę byliśmy wtedy elitą. Silni, odważni, zuchwali, nigdy nie używaliśmy sterydów czy dopalaczy, tak jak dzisiejsze mutanty. Rozpoznawaliśmy się dzięki wyglądowi, dziarom, nawijce, w razie potrzeby stawaliśmy na parkiet. Kodeks git-ludzi zawierał wiele nakazów i zakazów, być może teraz wydających się bezsensownymi, ale wówczas była to nasza biblia, dzięki której zachowywaliśmy solidarność grupową. Muszę się przyznać, że wtedy rzuciłem definitywnie szkołę. Ale za to zrobiłem papiery kaskaderskie!

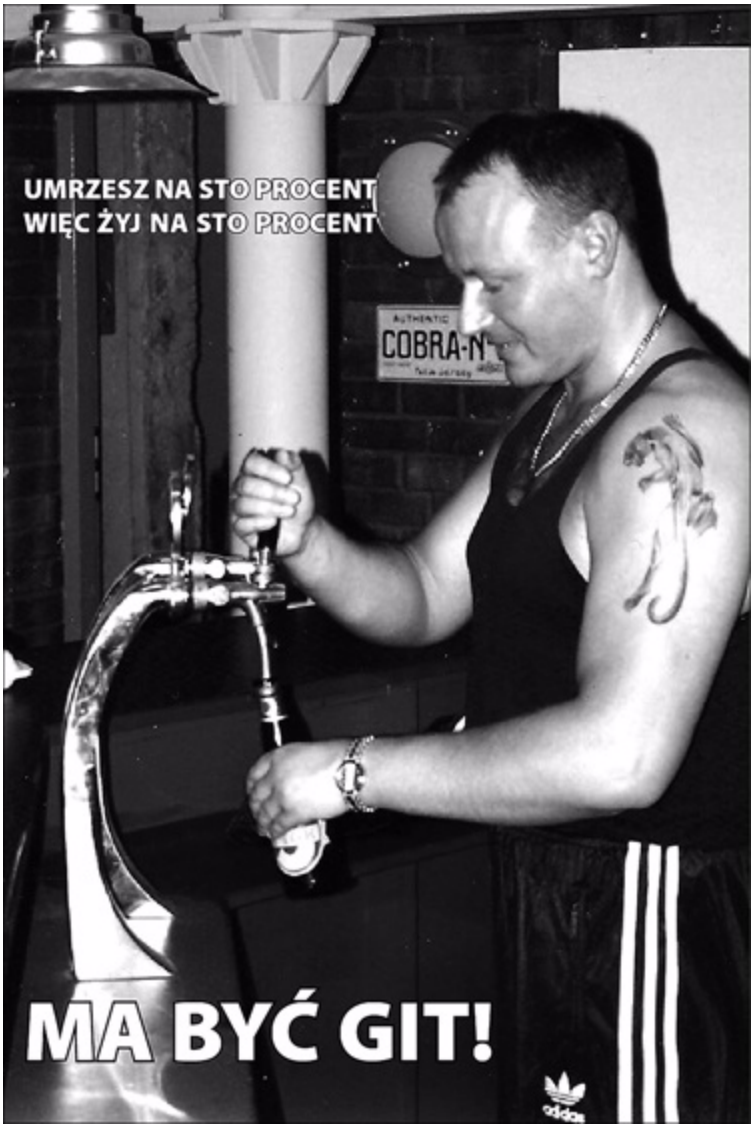

Tomek Solarewicz, współautor książki, na planie filmowym w roli git-człowieka (zdjęcie z archiwum prywatnego)

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku zagrałeś w kultowym gitowskim filmie – *Nie zaznasz spokoju* w reżyserii Mieczysława Waśkowskiego. Dla mnie jest to wstrząsający, ale bardzo prawdziwy dokument tamtych czasów. Znam je z autopsji. Czy nie jest przerysowany?

Bo ja wiem? Jest po prostu mocny. Do dialogów był wynajęty specjalny „konsultant” w grypserze. I wiesz co? Nie miał ze mną

szans. Znałem wszystkie odzywki i zwyczaje gitowskie i wiedziałem więcej od niego. Był formalnie podłamany! Film członków tej subkultury chciał pokazać po części w złym świetle, jako osoby bez sumienia i uczuć. Ale to pewnie ze względu na cenzurę, która decydowała o dziele. Oczywiście, że byliśmy brutalni, bezwzględni, czasem okrutni, ale nie zabijaliśmy (chyba że z zemsty lub zazdrości), poza tym git nigdy nie zaczepił frajera, który paradował w towarzystwie panny. Straciłby wtedy honor i spadł do dołka. Zawsze okazywaliśmy szacunek starszym osobom. Nie okazywaliśmy strachu – nawet wobec wielu przeciwników. Poza tym dbaliśmy o formę – kondycję, sposób walki.

Oczywiście dokonywaliśmy samookaleczeń, zawieraliśmy braterstwo krwi. Cięło się przedramiona, klatę i inne miejsca. Ale powtarzam: to było dawno temu. Nijak ma się do dzisiejszego dnia. Teraz nie obowiązują żadne zasady.

Henio w czasach gitowskich (zdjęcie z archiwum domowego)

Mój ojciec w latach siedemdziesiątych wieszał jakiś łach na drzwiach i trenował uderzenie głową.

Tak samo jak Grzesiuk, autor *Boso ale w ostrogach* i *Pięć lat kacetu*… Gitownia zbierała się między innymi w mordowni przy Świętokrzyskiej. Piło się na stojaka. Słuchało opowieści tych, co niedawno wyklepali, ale też i zgredów. Nawet jeśli to był bałach. Człowiek się luzował. Zapominał o problemach dnia codziennego. Ci, którzy mieli mocniejszą głowę, zamawiali „lornetę" (dwie setki) albo „partyzanta" – czyli kieliszek gołdy zanurzony w kuflu piwa.

No i obowiązkowa „meduza", bo bez zakąski nie podawali.

Z tym to było różnie, krzywo i podłużnie. Na przykład jak się szło na balety, to wódeczkę chowało się w sztany – czyli dolną część spodni. W tylnej kieszeni obowiązkowo grzebyk.

No i kosa zawsze przy sobie, ale nie powiem gdzie, bo i tak wiesz. Git-ludzie musieli się dobrze zabawić, pobić z konkurencją albo milicją. Taki był nasz styl życia. Po prostu wyraz młodzieńczego buntu. Wracając do filmu Waśkowskiego… Jest tam scena na szczycie Pałacu Kultury, gdzie o mało nie spadasz z kilkudziesięciu pięter… Kaskader?

Eee tam. Kaskaderzy nauczyli mnie wielu myków i za to jestem im dozgonnie wdzięczny. Scenę, o której wspomniałeś, odegrałem osobiście, ale miałem cykora, bo tylko wariat się nie boi. Żal mi tylko, że moja rola Kuby została tak okrojona. Stać mnie było na więcej. Mam nadzieję, że to naprawisz, Tomek.

Ma się rozumieć. Scenariusz dla ciebie już napisałem.

Z ciekawostek, to cały film grałem we własnych ciuchach. Ta jasna katana należała autentycznie do mnie. Inna ciekawostka – któregoś dnia poszedłem w nocy po procenty na metę. Ciemno, choć oko wykol. Nagle staje przede mną prawdziwy olbrzym woniejący alkoholem. Okej, myślę, będzie ze mną kiepsko. Nawet w kilku nie dalibyśmy mu rady. A on zaczyna w ten deseń: „Nie widziałeś mojej białoruśki?". I kładzie mi swoją wielką łapę na barku. Nogi się pode mną ugięły, bo taka była ciężka. Oczyma wyobraźni

już widziałem, jak mnie rozniesie w drobny mak. I co się okazało? Facet szukał swojej… koparki. Nazywał ją „białoruśka”. Najzwyczajniej zapił i zupełnie zapomniał, gdzie ją zaparkował.

Ale nie zawsze było tak wesolutko. Kiedyś, między mną a kolegą wynikł zatarg. Git-ludzie załatwiali krzywości tylko w jeden sposób. „Chodź na colę!”. Czyli bijatyka jeden na jednego.

U nas to się mówiło rozkazująco: „Stawaj na parkiet!”.

No i zaczęliśmy się tłuc. Udało mi się go trafić w szczękę i koleś padł nieprzytomny. Już myślałem, że pozamiatane, bo git gita nigdy pod obcas nie wziął. Ale gościu doszedł do siebie, zerwał się i wysłał mi taką plombę, że rozwalił mi łuk brwiowy. Zwyczajem gitowskim podaliśmy sobie ręce i było między nami w porządku.

Innym znowu razem biłem się z następnym kolesiem. Trafiłem go prosto w nos i zemdlał. Trochę się przestraszyłem. Ale wrócił do siebie. Parę dni później słyszę walenie do drzwi. To ten sam koleś, któremu spuściłem manto. Pewnie chce się zemścić, myślę. A ja w domu sam, bo rodzice wyjechali na wczasy na Mazury, a bracia się wyprowadzili. Ale co robić? Nie pękam, otwieram. I co widzę? Koleś ma ze sobą litr wódki i wesoło nawija: „Heniek, dzięki, że mi wyprostowałeś nos!”. Patrzę na niego jak na wariata. A on naprawdę był mi wdzięczny, bo faktycznie po moim ciosie kulfon mu się naprostował.

Git. Wróćmy do filmu. Zagrałeś w nim razem z Joanną Pacułą, która potem wyjechała do Stanów i zrobiła karierę w Hollywood. Jak ją zapamiętałeś?

Wesoła, radosna dziewczyna, śliczna, studiowała wtedy na drugim roku szkoły aktorskiej. Jest taka wstrząsająca scena w wioślarni, kiedy muszę ją przytrzymać, bo chce uciec. Mam silne łapy i potem martwiłem się, czy nie ścisnąłem jej za mocno i nie miała siniaków. Jednak się nie skarżyła. Aśka miała swoje towarzystwo, z nami, git-ludźmi, się nie zadawała. Kręciła swoje sceny i adios.

Krzysiek Janczar – główny bohater filmu – też wkrótce wyleciał do Stanów. Zagrał w *Polowaniu na Czerwony Październik* z Seanem Connerym. Jaki był?

Znakomity w roli Bicza, bardzo naturalny i przekonujący. Jego sposób podawania tekstu, intonacja, ruchy były naprawdę wspaniałą kopią gitowskiego zachowania. Dostał nawet za tę rolę nagrodę na festiwalu w Łagowie. W ogóle Waśkowski zebrał niezłą ekipę. Spotkałem się na planie z dawnym kumplem Bogdanem Izdebskim, który zagrał gita o pseudonimie Lord. Aktualnie mieszka w Kanadzie, ma swój kramik z hot-dogami niedaleko domu studenckiego. Kiedyś odwiedził mnie na Dąbrowskiego, z gitarą i w wielkim sombrero na głowie. Fajnie było. W dodatku powiedziałem mu, że powinien koniecznie zajrzeć do Związku Artystów Scen Polskich, bo pewnie ma tantiemy do odebrania. I faktycznie, zebrała się z tego niezła sumka. Bardzo się ucieszył takim nieoczekiwanym dopływem gotówki.

W obsadzie był jeszcze Tomasz Borkowy (Długi), bawiący się żyletką w ustach, później znany jako Andrzej Talar w popularnym serialu Jana Łomnickiego *Dom*, a poza tym świetna Emilia Krakowska, a także Lidia Korsakówna, która, jak pamiętasz, w serialu *Stawiam na Tolka Banana* zagrała moją matkę. Plus Gustaw Lutkiewicz, Witold Pyrkosz. Krótko mówiąc, obsada niesamowita.

A słynna scena z samookaleczeniem Nietoperza – brata Bicza? Jak to nakręciliście? Bardzo sugestywna i przekonująca.

To było tak… W rękojeści noża umieszczona była pompka z czerwoną cieczą. Kiedy Nietoperz udawał, że się tnie, uruchamiał pompkę i ciecz wyciekała z noża, wyglądając jak prawdziwa krew. Dla mnie jest to jedna z najlepszych scen filmu. Rekwizytor spisał się na medal. A reżyser Waśkowski był bardzo zadowolony. Natomiast dużo śmiechu było przy scenie, gdzie pijemy z gwinta wino przy trzepaku. Wystąpiliśmy: Bogdan Izdebski, jego dziewczyna, siostra i ja. Wtedy wpadłem na pomysł, żeby dziewczynom (zamiast wody z sokiem) podać prawdziwego jabola. Wypiły, oczy wyszły im na

wierzch, ale dzielnie dotrwały do końca sceny. W następnym dublu zrobiły się tak wyluzowane, że były nie do opanowania.

Z filmów gitowskich zagrałeś jeszcze w kilku mniej znanych, a nawet zapomnianych: *Koniec wakacji, Zanim nadejdzie dzień* w reżyserii Ryszarda Rydzewskiego (wcieliłeś się w postać gitowca w milicyjnej izbie dziecka, grałeś ze swoimi kumplami – Romkiem Mosiorem i Bogdanem Izdebskim, a także z Krzychem Janczarem, z którym parę lat później wystąpiliście w *Nie zaznasz spokoju), Ten okrutny, nikczemny chłopak* (znowu razem z Romkiem Mosiorem i Bogdanem Izdebskim – film traktował o trudnej młodzieży). Który najbardziej utkwił ci w pamięci?

Chyba *Koniec wakacji* – w reżyserii Stanisława Jędryki, który tym razem obsadził mnie w negatywnej roli. Może dlatego, że ponownie spotkaliśmy się na planie z Agatą Siecińską – Karioką ze *Stawiam na Tolka Banana*. Grałem członka bandy, której musi przeciwstawić się główny bohater – grany przez Marka Sikorę. Film kręciliśmy na Śląsku. Szkoda, że te filmy są zapomniane. Były naprawdę mocne.

W milicyjnej izbie dziecka: Zdzisław Kozień – porucznik Stelmach, wychowawca (z lewej), Henryk Gołębiewski – git-człowiek i Anna Nehrebecka – Barbara Sieradzka, wychowawczyni (kadr z filmu *Zanim nadejdzie dzień*)
(© FILMOTEKA NARODOWA)

Czy role twardych ludzi wpłynęły jakoś na twój charakter?

Wprost przeciwnie. To ja użyczyłem im części mojego charakteru. Ale powtarzam: to było dawno. Kiedy jesteś młody, to jesteś bardziej wyrywny. Z wiekiem zaczynasz rozumieć, że jest coś ważniejszego niż git. Tym czymś jest rodzina. Nie sztuka spędzić resztę życia pod celą.

Też tak myślę. Jak widzę tych młodych naspidowanych chłopaków, to wiem, że połowę ich rozwalą, a połowę zamkną na długie lata. Szkoda młodości. Szkoda życia. Szkoda każdego dnia…

Git!

DO WOJA MARSZ, DO WOJA!

Heniek (drugi z prawej) na przepustce (zdjęcie z archiwum domowego)

Jak trafiłeś do woja?

Jak każdy. No, może nie każdy, bo niektórzy świrowali na „żółte papiery". Młodszemu pokoleniu przypomnę, że kiedyś każdego chłopaka obejmował obowiązek zasadniczej służby – rok, dwa lub trzy lata – te ostatnie najdłuższe, to w marynarce wojennej.

Wyobrażasz sobie taką sytuację – masz dziewiętnaście lat i nagle przychodzi powołanie do wojska. Przed tobą dwa lata wyjęte z życiorysu! To był szok. Jesteś młody, masz dziewczynę, lubisz zabalować, pogitować, a tu nagle – świat ci się wali. Nie mam nic przeciwko służbie wojskowej, wprost przeciwnie – mój Ojciec zawsze

mówił, że każdy facet powinien zaliczyć wojsko, bo inaczej nie jest prawdziwym mężczyzną. Ja miałem pięciu braci i wszyscy, łącznie ze mną, odbyli „zaszczytny obowiązek służby wojskowej". Każdy facet powinien umieć posługiwać się bronią, żeby w razie zagrożenia móc bronić siebie, swojej rodziny i ojczyzny. To nie podlega dyskusji. A dzisiejsi młodziacy znają broń tylko z filmów. Na widok czołgu albo „bewupa" zesraliby się ze strachu.

Dla tych, którzy nie wiedzą, objaśnię – „bewupe" to był bojowy wóz piechoty (BWP), a w rosyjskim języku BMP, czyli *bojewaja maszina piechotinca* (a w slangu żołnierskim *bojewaja mogiła piechotinca*). W zależności od kategorii wojskowej, jaką otrzymywało się na komisji poborowej, oraz wykształcenia delikwent kierowany był do odpowiedniego rodzaju wojsk (niscy do lotnictwa – bo w kokpicie mało miejsca, albo do okrętów podwodnych – bo tam też ciasno), pozostali do wojsk pancernych, zmechanizowanych, powietrznodesantowych (czyli komandosów). Najgorzej (a może najlepiej), jak dostałeś kategorię E…

„Ewentualnie jako pocisk". Tak się wtedy mówiło. Ale zacznę od początku. Na komisji poborowej postanowiłem – jak to ja – zrobić jaja. Oczywiście poznali mnie, bo widzieli w filmach, ale ich reakcja była bardzo chłodna, żołnierska. Jak mnie już zmierzyli, zważyli, opukali, osłuchali stetoskopem, stanąłem przed trepami. Kiedy jeden z oficerów kazał mi zdjąć majtki (bo przed komisją stawało się w samych gaciach, a potem obowiązkowo trzeba było je zdjąć), odpowiedziałem prowokacyjnie: „Ale ja się wstydzę". Oficer stanowczo ponowił rozkaz: „Zdjąć natychmiast majtki!", na co ja znowu: „Wstydzę się", ten się wściekł i ryknął: „Zdejmuj majtki, gówniarzu!". Na to ja: „Skoro pan nalega…". Żebyś widział, co się działo! Facet zrobił się czerwony jak burak, a komisja w brecht. Ubaw mieli po pachy.

Bywali też tacy agregaci, którzy przed komisją zagryzali język i pluli krwią, udając gruźlików. Albo połykali proszek i piana leciała im z ust, jakby mieli wściekliznę. Różne wymyślali numery. Ale to temat na osobną książkę albo film.

I faktycznie wzięli cię do woja? Aż mi się nie chce wierzyć. Przecież byłeś wtedy gwiazdą filmu i telewizji! Cała Polska znała cię z ekranu. Mogłeś się wymigać.

To nie w moim stylu. Nie uważałem i nadal nie uważam się za kogoś lepszego od innych.

Amen. Nie pytam, gdzie i w jakiej jednostce służyłeś, bo te informacje są nikomu niepotrzebne. Ciekawi mnie, jak wyglądał twój odjazd do woja. Tak samo jak mój?

A jak wyglądał twój?

Byłem totalnie nawalony.

Czyli tradycyjnie, po staropolsku. Ja piłem cały dzień. Przecież trzeba było się godnie pożegnać z życiem w cywilu. Potem odwoził mnie szwagier Waldek, olbrzymi facet. Pociągiem. W pociągu też ostro kiraliśmy. Zresztą nie tylko my, bo po wagonach poupychanych było mnóstwo młodych chłopaków, którzy rozjeżdżali się do swoich jednostek. Śpiewy, krzyki, płacz… Istny cyrk.

Na stacji docelowej czekały już wojskowe nyski i zbierali takich jak ja poborowych będących w stanie nieważkości. I nie tylko takich. Nie pamiętam tego, ale ponoć, już jadąc z żandarmerią w nysce (nyska – polska furgonetka: dostawcza, milicyjna, wojskowa), obaliłem z gwinta całego jabola. Nad ranem, jak się obudziłem, to nie wiedziałem, gdzie jestem! Olbrzymi kac, wrzaski kaprali, strzyżenie, fasowanie munduru, po prostu myślałem, że zejdę z tego świata. Istny dom wariatów! Ale sądzę, że nie tylko ja tak miałem. Większość z nas, poborowych, odebranych przez nyski była prawie niekumata. Każdy sobie opowiadał, jak trafił do jednostki, i każdy miał tę samą opowieść – zalany w trupa, odprowadzany przez zapłakaną dziewczynę albo narzeczoną, albo jedną i drugą naraz, he he…

Siostra Henia – Basia i szwagier – Waldek (zdjęcie z archiwum domowego)

Jak traktowali cię inni żołnierze i kaprale?

Nie było problemów. Jeden tylko taki się na mnie uparł i jak tylko mógł, szukał zaczepki. A to potrącił ramieniem, a to coś tam krzywo zagdakał… Wiedziałem, że prędzej czy później dojdzie między nami do konfrontacji. No i w końcu dostał bęcki. W efekcie do końca służby chodził potulny jak baranek.

Ciekawą przygodę miałem z generałem Oliwą. Był w jury konkursu kabaretów wojskowych. Kiedy mnie zobaczył, zrobił wielkie oczy, zawołał na bok i zapytał, co tu robię. Stanąłem na baczność i zameldowałem, że odbywam zasadniczą służbę wojskową. Nie chciał uwierzyć. Ty, Cegiełka, w wojsku?! Dopiero jak sprawdził w dokumentach, uwierzył, że mówię prawdę i to zgodnie z regulaminem. Nie mieściło mu się w głowie, że chłopak znany z tylu seriali poszedł w kamasze. Z tego powodu darzył mnie sympatią i szacunkiem. Tak samo jak koledzy z kompanii. Nie wywyższałem się, byłem równy, można było na mnie liczyć.

Ale przydarzyła mi się też wnerwiająca przygoda. Kiedyś zajumali mi plecak. No więc staję do apelu bez plecaka. Oficer na to

wkurzony – co to za porządki?! Chłopaki z kompanii w try miga załatwili – czyli „skroili” – dwa plecaki. No i miałem od razu dwa! Od tej pory niczego więcej już mi nie podebrano.

Unitarka była klasyczna – nauka regulaminów, strzelanie, rzut granatem. Ze strzelania byłem bardzo dobry, zresztą do tej pory mam celne oko. Najpierw grzałem z PM-63 (broń czołgistów i wojsk powietrznodesantowych, inaczej zwana RAK-iem), potem z kałacha (AK-47), na koniec musiałem walić z cekaemu (km-pk). Jakie to żelastwo było ciężkie! Ale w nagrodę za wyniki strzeleckie dostałem kilkudniowy urlop. Poza tym dwukrotnie byłem awansowany do stopnia starszego szeregowego (żartowało się wtedy, że ciężko nosić dwie bele na pagonach) i dwa razy byłem degradowany za wolniachę.

Czyli samowolne oddalenie się od jednostki.

Tak jest. Ale nie dziw się. W jednostce była dobrze zamaskowana dziura w ogrodzeniu i tamtędy śmigaliśmy na miasto. Cywilki mieliśmy schowane w głośnikach. Tacy byliśmy spryciarze. Bo muszę nadmienić, że udzielałem się w artystycznym zespole wojskowym pod nazwą „O co chodzi?”. Jeździliśmy po jednostkach w całej Polsce i odstawialiśmy kabarety, skecze, piosenki. Zawsze przyjmowano nas z entuzjazmem. Pewnie dlatego, że wojsko miało wtedy dwie godziny luzu… Mieliśmy nawet pojechać na festiwal piosenki żołnierskiej do Kołobrzegu, ale w eliminacjach zajęliśmy drugie miejsce i nic z tego nie wyszło. A szkoda, bo mieliśmy naprawdę fajny, wesoły program.

W czasie służby otrzymałem również propozycję powrotu do filmu, ale dowództwo z niewiadomych dla mnie przyczyn nie wyraziło na to zgody. Był też oczywiście poligon. Huk, dym, maski przeciwgazowe włóż! Czołgaj się! I inne takie. Na komendę „do kałuży padnij!” omijałem kałużę, aż wreszcie padłem i udawałem, że pływam.

Chwile grozy przeżyłem, jak wracałem z wolniachy. A była wtedy ciemna noc. Ja cichutko przełażę przez tę słynną dziurę

w ogrodzeniu, aż tu nagle dostaję snopem latarki w twarz. I okrzyk: „Stóóój! Służba wartowniczaaa! Kto idzieee?!”. Jakby wtedy któremuś z nich puściły nerwy, to wygarnąłby serię i byłoby po mnie. Na szczęście były to chłopaki z mojej kompanii i rozpoznali mnie. A chodziło o to, że rezerwiści podiwanili coś z magazynu i w jednostce ogłoszony był stan wyższej gotowości. Ale strachu się najadłem, to fakt.

Henio (klęczy pierwszy z prawej) z kolegami z kompanii
(zdjęcie z archiwum domowego)

A jak było z przysięgą?

Nietypowo. W przeddzień przysięgi dostałem wysokiej gorączki i po prostu zemdlałem. Wylądowałem w izolatce, a potem w szpitalu wojskowym. Nikt nie wiedział, co mi jest. Tymczasem na przysięgę przyjechali rodzice i jeden z braci, a z nimi wałóweczka, wódeczka… A tu syna nie ma. Konsternacja. Co się stało? Wyszedłem dopiero po tygodniu. Podejrzewam, że to był początek raka, z którym walczę do dziś. A przysięgę złożyłem indywidualnie przed dowódcą pułku, w jego gabinecie.

Nie starałeś się o wcześniejsze zwolnienie?

No co ty, wojsko to nie pudło, trzeba odbębnić co do grosza. Czołganiem przez pełzanie! Chyba że ci granat urwie głowę. Zwłaszcza aktualnie pobór jest potrzebny, nawet okresowe szkolenia. Ktoś musi bronić tego kraju. Przecież wypomadowane pajace z telewizji tego nie zrobią, bo zesrają się przy pierwszym wystrzale. Nas było sześciu braci i każdy odbył służbę wojskową. Kostek wylądował nawet w Orzyszu, w kompanii karnej, bo kozaczył. Czesiek dosłużył się kaprala, był pół roku w szkółce podoficerskiej…

À propos. Twój brat Czesiek opowiadał mi ciekawą historię z woja. Kiedyś urwali się na wolniachę, żeby nazbierać grzybów, bo ich jednostka położona była gdzieś w lesie. Idą, idą i nagle spotykają jakiegoś faceta z koszykiem pełnym dorodnych grzybów. No więc pytają: „Panie, gdzie tu są grzyby?”. Na to tamten patrzy na nich jak na nienormalnych i odpowiada: „Jak to gdzie? W lesie!”. I poszedł sobie. A oni w śmiech. Potem, jak wrócili do jednostki, widzą tego samego facia, tylko że w mundurze… generała! Krew im zmroziło. Parę dni ancla pewne! I co się stało? Generał grzybiarz poznał ich, ale w ogóle nie zareagował. Po prostu im odpuścił.

W porządku generał. Ciekawe, czy Czesiek opowiadał ci, jak musiał pięćdziesiąt kilometrów dygać za karę, bo im dwóch chłopaków uciekło z jednostki? I to ciężarówką! Wieczorem przy apelu okazało się, że ich nie ma. Alarm! Wymarsz. Znaleźli w końcu jedynie… spalony samochód. No i pięć dych marszu za karę! Ale po cichu zrobili ściepę do hełmu i jeden z wojaków wysmyknął się do wsi, a potem dogonił ich z całym plecakiem alpag. Od razu było raźniej. A na przysięgę zawieźliśmy Cześkowi gorzałę w… słoiku. Ojciec tak wykombinował, żeby synuś mógł ją przemycić na kompanię i miał lekarstwo na kaca.

I to jest prawdziwy Ojciec! Nie wiem, czy słyszałeś, że według dawnego prawa rodzice, którzy posłali do wojska co najmniej trzech synów, obowiązkowo z urzędu odznaczani byli srebrnym medalem „Za Zasługi dla Obronności Kraju”, jeśli czterech synów i więcej – złotym medalem. Czy twoi zostali odznaczeni?

Nic mi o tym nie wiadomo. Pamiętam jednak, że regularnie co miesiąc przysyłali mi kasę, bo sam żołd na papierosy i winko nie wystarczał. Wspomagali mnie w ten sposób przez cały czas służby. Chwała im za to. Poza tym dokarmiali nas kucharze z garkuchni, z którymi trzymaliśmy sztamę.

Popijaliście?

A kto w wojsku nie pił? Zwłaszcza jak jeździliśmy po jednostkach z występami naszego kabaretu. Mieliśmy też takiego sympatycznego majora. Kiedyś zdarzyło się, że robiliśmy u niego remont. Jakieś tam malowanie, gipsowanie czy tapetowanie. Dla nas to była bułka z masłem. No i spisaliśmy się na medal, major był zachwycony. W dowód wdzięczności dostaliśmy cały gąsiorek wina. Nie muszę ci bałachować, że natychmiast został opróżniony. A najlepszy numer wycięliśmy, jak przyszedł z dowództwa rozkaz o absolutnej abstynencji w jednostce. Zaczęły się kontrole, patrole i tym podobne duperele i… nic. Szweje jak chodzili nawaleni, tak chodzili dalej. Trepy zachodziły w głowę, jak to możliwe?! Aż w końcu wydało się, że spirytus trzymaliśmy w… chłodnicach ciężarówek. Takie numery to tylko my mogliśmy wymyślić.

Przy okazji procentów. Ja od wielu lat zmagam się z nałogiem, ty też, zresztą wspieramy się wzajemnie. Ja nawet kwiaty w domu podlewam piwem. Rosną jak chwasty. Jak to u ciebie się zaczęło?

Normalnie, na początku powolutku, potem coraz mocniej, mocniej i mocniej, jak rozpędzona kula śnieżna. Najpierw wydaje ci się, że masz wszystko pod kontrolą, a potem okazuje się, że jesteś na dnie. Ważne, żeby podnieść się z kolan i walczyć.

Nie będę tu przynudzał ani moralizował, ale każdy musi nieść swój krzyż i każdy jest odpowiedzialny za swoje uczynki. Ja miewałem w swoim życiu wzloty i upadki, a właściwie można powiedzieć, że poruszałem się zygzakiem. Wzloty – to moje wczesne filmy – *Abel, twój brat*, *Wakacje z duchami*, *Podróż za jeden uśmiech*, później *Edi*, narodziny córki… Upadki – alkohol i hazard.

A swoją drogą jak facet wpada łbem w sałatkę – to zaraz pijak – a jak kobieta – to nakłada maseczkę. Teraz przypomniała mi się śmieszna historia. Wracaliśmy z kumplem z jakiegoś występu w jednostce i poznaliśmy w pociągu dwie dziewczyny. My – przystojne chłopaki – wyjściowe mundury, sznury, odznaki „Wzorowy Żołnierz”… Od słowa do słowa zaczęła się rozmowa. Grzech było nie skorzystać, tym bardziej że my wyposzczeni. Efekt był taki, że wylądowaliśmy we czwórkę w jakiejś kotłowni. Jakim cudem? Nie wiem. Ale nie w tym rzecz. Ja obrabiałem jedną, kumpel drugą. Oczywiście w asyście kilku butelek jabola…

Nad ranem budzimy się i… przerażenie w oczach. Dosłownie. Moja – kulawa, jego – szczerbata. A takie były piękne! Stare powiedzenie mówi, że babeczka pięknieje w miarę wypitego alkoholu. I my właśnie tego doświadczyliśmy. A żeby było jeszcze śmieszniej, nad ranem przyszedł palacz z tej kotłowni, łypnął na nas okiem, machnął ręką i skomentował: „Kotłujcie je dalej, chłopaki!”.

Dobrze wychowany gość. Pamiętasz jakieś wojskowe dowcipy?

Oj, były ich setki… O szwejach, kapralach, trepach, broni, taktyce… Parę ci mogę zacytować.

Komisja poborowa. Chłopak ledwo odczytuje z tablicy największą literę. Lekarz decyduje: „Zdolny do walki z czołgami".

„Panie kapitanie, przyniosłem wniosek o przepustkę!" – „To wstaw do lodówki".

Odbywa się szkolenie przeciwgazowe, kapral daje komendę:
„Maski założyć!"
„Maski zdjąć!"
„Maski założyć!"
„Maski zdjąć! Kowalski, dlaczego nie zdjąłeś maski?!"
„Zdjąłem, obywatelu kapralu".
„Ale morda..."

„Kiedy żołnierz może używać broni?"
„Kiedy Bronia skończy szesnaście lat".

„Panie generale, melduję, że zwiad zakończył się sukcesem! Mój czołg odkrył zamaskowane działo wroga".
„Gratuluję, ale dlaczego wracacie z meldunkiem pieszo?"
„Bo działo odkryło także mój czołg".

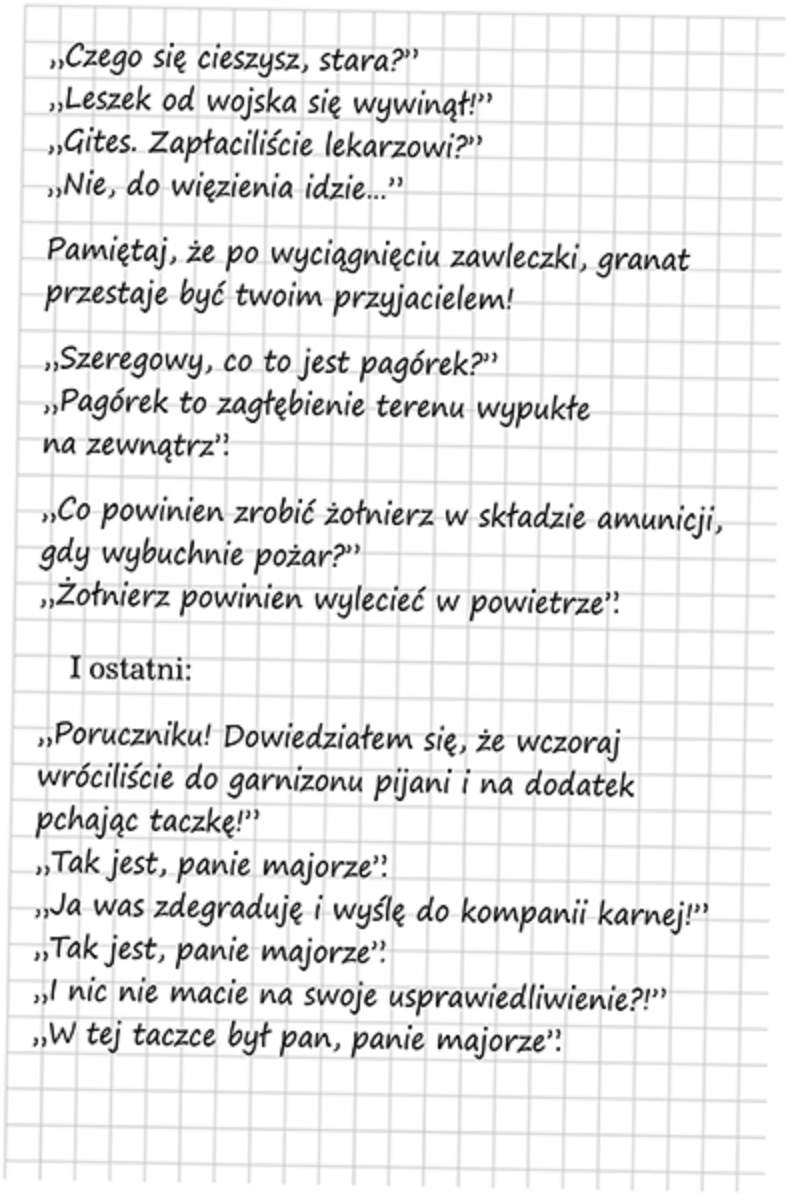

„Czego się cieszysz, stara?"
„Leszek od wojska się wywinął!"
„Gites. Zapłaciliście lekarzowi?"
„Nie, do więzienia idzie..."

Pamiętaj, że po wyciągnięciu zawleczki, granat przestaje być twoim przyjacielem!

„Szeregowy, co to jest pagórek?"
„Pagórek to zagłębienie terenu wypukłe na zewnątrz".

„Co powinien zrobić żołnierz w składzie amunicji, gdy wybuchnie pożar?"
„Żołnierz powinien wylecieć w powietrze".

I ostatni:

„Poruczniku! Dowiedziałem się, że wczoraj wróciliście do garnizonu pijani i na dodatek pchając taczkę!"
„Tak jest, panie majorze".
„Ja was zdegraduję i wyślę do kompanii karnej!"
„Tak jest, panie majorze".
„I nic nie macie na swoje usprawiedliwienie?!"
„W tej taczce był pan, panie majorze".

No, tośmy się pośmiali. Jak wyglądał twój powrót do rezerwy?

Na jeszcze większej bani niż przyjazd. W dodatku zamiast do domu pojechałam do Sandomierza z kumplem Krzyśkiem. Tam się cztery dni gościliśmy.

No to na koniec zaśpiewajmy piosenkę rezerwy!

(*śpiewają*):
Godzina piąta, minut trzydzieści
Trąbka pobudkę zagrała.
Grupa rezerwy szła do cywila,
Niejedna panna płakała.

Niejednej pannie żal się zrobiło
I serce z bólu zadrżało,
Że jej kochanek szedł do cywila,
A jej się dziecko zostało.

Nazajutrz rano przyszły do sztabu
Pytać o adres miłego.
Szef sztabu na to im odpowiada:
U nas nie było takiego…

7

DWADZIEŚCIA LAT NA MARGINESIE ŻYCIA

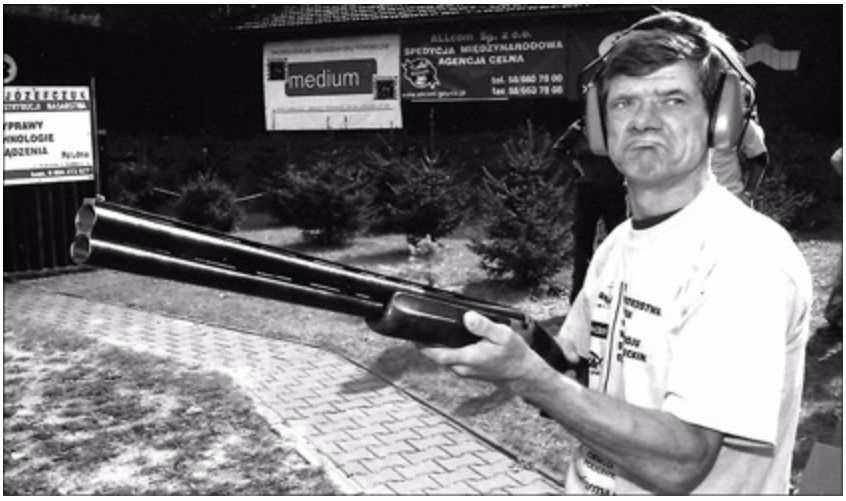

Henio na strzelaniu do rzutków (zdjęcie z archiwum domowego)

Dlaczego zaraz „na marginesie”?

Tak mi się jakoś ułożyło. Mam zmienić?

Niech zostanie. Ale te dwadzieścia lat nie było marginesem. Tym, co przeżyłem, można by obdzielić dziesięć scenariuszy.

Przepraszam, jeśli cię uraziłem… Ale po tak fantastycznej młodzieżowej karierze nagle zapadłeś się pod ziemię. Dlaczego?

Bo nie miałem parcia na szkło, jak to dzisiaj określają. Nie było agencji aktorskich, menedżerów, agentów, tak jak dzisiaj. A ja nie łaziłem po wytwórni filmów na Chełmskiej, nie łasiłem się, nie zabiegałem.

Nie ciągnęło cię do szkoły aktorskiej? Przecież przyjęliby cię z otwartymi ramionami.

Prawdę mówiąc, w ogóle nie chciało mi się uczyć. Wolałem inne rozrywki – dziewczyny, winko, gitowanie. Wystarczyła mi zawodówka ślusarska. Poza tym i tak mówią o mnie „złota rączka". Gdyby wszyscy mieli maturę i poszli na studia, to kto by w tym kraju malował, remontował, sprzątał? Prezydent Wałęsa też jest tylko po zawodówce.

Kończysz wojsko i co dalej?

Do roboty. Do Instalu. W brygadzie remontowej mojego Ojca. Jako szklarz, stolarz, malarz, ślusarz narzędziowy… Czego ja nie robiłem! Mieliśmy fajną ekipę. Pamiętam wiele śmiesznych sytuacji. Jeden kolega – Stefcio – miał lęk wysokości. I lubił zabalować. Któregoś dnia rano przychodzi do roboty – oko podbite, pół zęba nie ma! Spowiada się, że w nocy miał jakąś nawalankę w knajpie. Ale nie to jest najzabawniejsze. Ni stąd, ni z owąd pojawia się kierowniczka budowy. I nagle po Stefciu ślad zniknął, jakby rozpłynął się w powietrzu. Szukamy go wszędzie, nawołujemy, może wpadł do jakiegoś dołu albo schował się w betoniarce? W końcu kierowniczka odjeżdża. I wtedy słyszymy błagalny głos: „Koledzy, pomóżcie…". Zadzieramy głowy, a tam w górze, na rusztowaniu siedzi przerażony Stefcio – wleźć potrafił, ale zejść już nie – tak się bał kierowniczki, że wyczuje od niego alkohol i wyrzuci dyscyplinarnie. Jakoś go zdjęliśmy. I ten agregat został brygadzistą! Kiedyś lepikujemy dach, a Stefcio odchodzi na bok, patrzy na swoje kamasze i oznajmia: „Chłopaki, buty oklejone lepikiem są o wiele cięższe".

Inna historia: kiedy pracowałem w Instalu, jako najmłodszego wysyłali mnie po procenty. I była umowa: jeśli zmieściłem się w określonym czasie, dostawałem porcyjkę. Tak zmotywowany przeskakiwałem płot, pędziłem do monopolowego, a potem ledwo dysząc, z wywalonym językiem, wracałem do brygady. I nawet rekord pobiłem! Po jakimś czasie, kiedy uznano, że „praktyka" jest

zaliczona pozytywnie, wzięli młodszego, ale ten, zamiast szybciusieńko przygalopować z trunkami, tak się zaprawił, że nie było go półtorej albo dwie godziny. Wrócił z pustymi rękami i bez pieniędzy. Ale byliśmy wkurzeni!

Wyobrażam sobie…

Następna opowieść, tym razem o szabrowaniu. Na zakład przyjeżdżała ciężarówka z płytami, mijała portiernię, zawracała i z ukrycia chłopaki przerzucali przez mur cały towar na drugi wóz. A następnie wyjeżdżała pusta, portier się nie zorientował. Tak się kombinowało.

Potem, z Instalu, wyjechałem do NRD na kontrakt, gdzie pracowałem w takiej grupie remontowo-budowlanej w Weisswasser, robota była ciężka, bo kucie tak zwanych strun (drutów) nie należy do łatwych. Trzeba było mieć siłę i kondycję. Razem z nami pracowali również inni kontraktowcy z demoludów. Zakwaterowano nas w mieszkaniach ze wspólną kuchnią. O ile pamiętam, było tylko śniadanie, resztę trzeba było załatwić we własnym zakresie. Po robocie chodziło się na piwko albo sznapsa i jakąś zagrychę.

Od początku krzywo na nas patrzyli Kubańczycy, którzy też z nami pracowali. Któregoś wieczoru wpada do nas kolega, cały zakrwawiony, bo dostał łomot od Kubańczyków. No to my wyskakujemy, rwiemy takie łańcuchy, które wisiały dawniej przy ulicach między słupkami, i z tą bronią ruszamy na nich. Żebyś ty widział, jak oni spieprzali. Jak sarenki! Ulicą nadjechał jakiś trabant czy wartburg, a kierowca, kiedy zobaczył, co się dzieje, ze strachu wrzucił wsteczny i wycofał się z piskiem opon.

Albo coś takiego. W tamtych czasach w Polsce obowiązywała prohibicja do godziny trzynastej. Strasznie to nam doskwierało. A w NRD hulaj dusza, Boga nie ma! W przerwie śniadaniowej idziemy z kumplem do spożywczaka, kupujemy buteleczkę i kawałek pasztetowej na zagrychę. Siadamy gdzieś na ławeczce i rozpoczynamy konsumpcję. Pasztet nawet niezły, popijamy go z gwinta alkoholem i… nagle oczy stają nam dęba! To był jakiś

okropny owocowy likier, który w połączeniu z pasztetową dał mieszankę wybuchową. Do dzisiaj mnie mdli, jak o tym opowiadam.

Ale muszę przyznać, że w Niemieckiej Republice Demokratycznej obowiązywała inna kultura picia. Niemiaszki nie uchlewali się tak jak my. Zawsze wiedzieli, kiedy powiedzieć „pas". A po alkoholu byli rozbawieni, rozśpiewani, a nie tak jak my szukający okazji do zaczepki.

I tak zostało do dzisiaj. My, Słowianie, jesteśmy bardziej wyrywni. Ale teraz zmienię temat. Jak ja jeździłem na handel do NRD, to najlepiej szły wiklinowe koszyki, kryształy, dżinsy…

Każdy z nas to wtedy woził. A z powrotem – czekolady, buciki dziecięce, buty Salamandra, słodycze… Pamiętam, kiedyś wracałem do Polski. Celnik wlazł do przedziału, uważnie przyjrzał się każdemu pasażerowi. Ja siedziałem grzecznie, zatopiony w lekturze jakiegoś kryminału. Obok mnie stał neseserek i koszyk, który na szczęście niepostrzeżenie nogą wsunąłem pod siedzenie. I zaczyna się przesłuchanko – co się wiezie, ile tego i takie tam… Coś mnie tknęło i przyznałem, że wiozę dwanaście pudełek czekoladek. Pasażerowie zrobili wielkie oczy, bo takie ilości były wówczas zabronione. Groziło to konfiskatą i mandatem. Okazało się, że miałem dobre przeczucie – celnik docenił to, że powiedziałem prawdę, a u innych zrobił kipisz, wykrył kontrabandę i skonfiskował. Niestety, cała sytuacja nie skończyła się happy endem.

Podczas dalszej podróży ktoś zaczął grać na harmonii. Zadowolony z tego, że nie zabrali mi towaru, usnąłem. I to był mój błąd. Po pociągu chodzili złodzieje i „kroili" śpiących podróżnych. Tak samo było ze mną. Po jakimś czasie budzę się w pustym przedziale, gdzieś na bocznicy. Towaru nie ma, pieniędzy nie ma, jedynie paszport mi zostawili (chwała Bogu!). No i w ten sposób przyjechałem do domu z pustymi rękami.

Ja stosowałem taki patent, że przedział zamykałem od wewnątrz łańcuchem z kłódką, które zawsze ze sobą woziłem. Wtedy można było spać spokojnie.

Sprytnie.

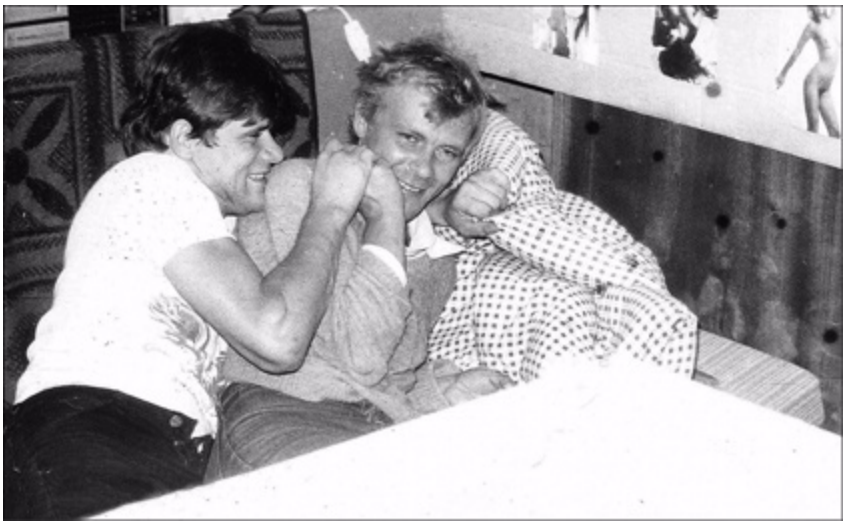

Henio i Tomek, autorzy książki w NRD, 1980 r. (zdjęcie z archiwum domowego)

Jak wspominasz swoją pracę na kontrakcie w NRD? Tak ogólnie.

Całkiem fajnie. Niezłe zarobki, handelek, dobre piwko, żarcie, imprezki. Jedyne, co mnie zraziło, to rewizje podczas naszej nieobecności. Nie wiem, czego oni szukali. Czekoladowych Mikołajów? Aha, jeszcze jedna wesoła przygoda. Jak pamiętasz, pracowałem w Weisswasser. Kiedyś wybraliśmy się z kumplami na gościnne występy do jakiegoś odległego miasta. Przyznaję, nieźle zabalowaliśmy, bo Niemki na nas leciały. Ale kiedy mieliśmy wracać, a było to w nocy, to zastaliśmy zamknięty dworzec! Ostatni pociąg dopiero co odjechał. I co teraz robić? No i wpadliśmy na diabelski pomysł, żeby wracać do Weisswasser… na piechotę i to kolejowymi torami!!!

To coś w stylu, jak Bogdan Łazuka w słynnym filmie *Nie lubię poniedziałku*.

Tylko że on szedł w dzień! A my w ciemnościach, po torach, w każdej chwili mógł nas rozjechać jakiś towarowy czy osobowy! No i jakimś cudem trafiliśmy bezbłędnie do domu! Przecież są wszystkie te zwrotnice, rozjazdy… Chyba Pan Bóg nas prowadził. Szliśmy sześć

godzin, skuleni, zmarznięci, rozglądaliśmy się, czy po drodze nie ma jakiej stodoły ze słomą, żeby się kimnąć, ale się nie trafiła…

Jak potoczyły się twoje losy po powrocie z kontraktu?

Najpierw przerwa na odwiedziny u wszystkich znajomych, potem szukanie roboty. W końcu trafiłem do Energetyki, tam pracowałem przy prodiksach (to takie płyty gipsowe) i przy szalunkach. Kopałem też rowy na kable. Pomimo iż bałem się prądu, zobaczyli, że jestem kumaty, i wzięli mnie do pracy przy wysokim napięciu. Byłem pomocnikiem montera – łączenie kabli, mufy. Też przy impregnacie.

Ponoć elektryka prąd nie tyka.

A tynkarza wysokość nie przeraża.

A co z filmem? Nie próbowałeś wrócić?

Powiem ci szczerze, Tomek, że o filmie zupełnie zapomniałem. Traktowałem to jako wesoły, ale zamknięty etap życia. Poza tym nie otrzymywałem żadnych propozycji. Kiedyś nie było agencji aktorskich, trzeba było samemu wydeptywać ścieżki. A mnie się nie chciało. Pieniądze niezłe zarabiałem, balowałem, zwłaszcza w hotelu MDM. I było git.

Pamiętam jedną z awantur w MDM-ie. Któregoś wieczoru gościłem się z moim szwagrem Koku i resztą ferajny przy stoliku, gdy nagle podszedł do nas jakiś obcy facet i koniecznie chciał się przysiąść. Nie znamy gościa, więc grzecznie mówimy, żeby smarował narty. Ten się zagotował i… znienacka uderzył szwagra. Wtedy do akcji wkroczył nasz funfel zapaśnik i jak nie przyfanzoli temu obcemu! Zrobiło się zamieszanie, tym większe, że tym namolnym gościem okazał się emerytowany major milicji. Ale przypał! Noc na dołku pewna. A może i dłużej. Na szczęście sytuacja się wyklarowała – major milicji wypowiedział zaklęcie: „Jesteście w porządku, chłopaki”. I wydawało się, że wszystko uszło nam na sucho. Na pozór…

Straciwszy ochotę na imprezowanie, zabieram się i wychodzę z lokalu. A tu już czeka blacharnia! No i zawijają mnie na dołek na Wilczą! Oj, kiepsko będzie – myślę. Pałki pójdą w ruch.

I wtedy nieoczekiwanie przychodzi pomoc – ni stąd, ni z owąd pojawia się mój drugi szwagier – oficer milicji. Zabiera mnie do swojego gabinetu, z szuflady wyjmuje flaszkę i kieliszki. Rozlewa. Wypijamy. „A teraz ulatniaj się!" Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. Wyszedłem przez nikogo niezatrzymywany, jakby mnie tu nie było. Szwagier Waldek był w porzo.

To dosyć kontrowersyjna opinia wypowiadana przez git-człowieka…

Nie wszyscy milicjanci byli mściwi.

Też tak sądzę. Mój świętej pamięci pamięci ojciec, git, często lubił zajrzeć do Karmazyna razem z ferajną. Kiedyś moja mama (bardzo o niego zazdrosna) wysłała mnie, żebym dyskretnie za nim podążał i obserwował, co robi. Ojciec pogwizdując, z rękami w kieszeni, przeszedł się po okolicy, zamienił parę słów z ziomkami, któremuś dał w zęby, no i w końcu wbił do Karmazyna. Jako dziesięciolatek nie miałem prawa przekroczyć progu tej mordowni. Ale przynajmniej chciałem zobaczyć, co tam się dzieje. Szyby zaparowane, nic nie widać, tylko słychać gwar rozmów, a potem jakieś krzyki i łomot. Nachuchałem na szybę i luknąłem do środka. Oto co zobaczyłem.

Przy szynkwasie stoi dzielnicowy, w mundurze, czapka zdjęta, w ręku kufel pieniącego się piwa. Kilka metrów dalej mój ojciec tłucze się z konkurencyjną bandą. Fruwają stoliki, krew się leje, a dzielnicowy ze stoickim spokojem kontynuuje spożywanie piwka. Po prostu się nie wtrącał. Pozwalał, żeby dwie konkurencyjne bandy (watahy) gitowców załatwili krzywości między sobą. Będzie miał mniej roboty. Ta opowieść to à propos, że nie wszyscy milicjanci byli godni pogardy.

Aleś się rozgadał.

Sorry.

Skoro jesteśmy przy temacie milicji, opowiem ci swoją historię. Dawniej co roku obchodzono święto Pierwszego Maja. Pochody, jarmarki i inne smarki. Z nudów zajechałem na plac przed Pałacem Kultury. Wszędzie tłumy, papierowe chorągiewki z gołąbkiem pokoju, baloniki, wata cukrowa, kurde, nie ma gdzie szpilki wcisnąć. Nagle na horyzoncie pojawia się dwóch milicjantów… Odwracam wzrok i usiłuję przemknąć się niepostrzeżenie. Kicha. Wylukali mnie. I zaczynają przedziwną nawijkę typu: „Panie Heniu, oglądaliśmy wszystkie pana seriale, czy możemy zaprosić na kieliszeczek?". Zdębiałem! Blacharnia zaprasza mnie na wódkę?! Tego jeszcze w kinie nie grali.

Ale w sumie, to czemu nie? Nawet jeśli to jakaś prowokacja, to muszę stawić jej czoło. Idziemy więc razem (ja pomiędzy nimi), przechodnie zaczynają mruczeć w mojej obronie. Ja uspokajam ich gestem ręki. W końcu schodzimy do jakichś podziemi, pod Pałacem Kultury. Idąc korytarzami, mijamy aresztowanych manifestantów, pijaczków, gitów. Ale ci dwaj mundurowi, co mnie prowadzą, zachowują się przyzwoicie. Zaczyna do mnie docierać, że faktycznie chcą się ze mną napić, a nie zawinąć. I w tym momencie następuje zwrot akcji. Z naprzeciwka idzie jakiś gliniarz i patrzy na nas. Myśli, że jestem aresztowany. Mijając mnie, wyjmuje milicyjną pałkę i jak mi nie przywali w plecy! Ledwo ustałem na nogach. Tamci dwaj od razu do niego, że jestem tu gościem, a nie zatrzymanym! Z miejsca odeszła mi ochota na kielonka. Od tej pory unikam takich „zaproszeń".

Gdzie wtedy pracowałeś?

Gdzie się dało. Na przykład w firmie malującej różnego rodzaju pomieszczenia. Zazwyczaj z bratem Kostkiem. Tylko że był to specjalny rytuał. Przychodziło się na fuchę, Kostek ochlapywał się farbą i znikał na piwko. Ja zostawałem, przygotowywałem emulsję z wapnem, potem podłączało się pompkę i malowało. A Kostek w tym czasie popijał browarka pod kioskiem. Taki nygus. Kiedy wracał, ochlapywał się jeszcze bardziej farbą, ja robiłem sobie przerwę na szluga i, wyobraź sobie, że zawsze wpadał wtedy

kierownik. Ja wychodziłem na lesera (ćmik w zębach), a Kostek na pracusia – bo był cały umazany farbą. Zawsze mnie to bawi. Choć, niestety, do dzisiaj z sześciu braci zostało tylko dwóch – ja i Czesiek.

Czesiek ponoć był kiedyś ostry zawodnik. Jak to się stało, że chodzi o kulach?

Spadł z drabiny przy malowaniu.

Czesiek, brat Henia (zdjęcie z archiwum domowego)

Bardzo lubię Cześka, bo jest szczery, nie ma w nim fałszu. No i można się z nim napić. Czasem to on mnie prowadził, jak byłem zawiany. A powinno być przecież odwrotnie, bo przecież to on chodzi o kulach…

A ja ciebie nie prowadziłem?!

Ty mnie niosłeś! Stukilowego faceta. Nigdy mnie nie zawiodłeś. Zawsze podałeś pomocną dłoń. Jak ja się tobie odwdzięczę?

Przestań pić.

Uffff… No to po kielonku! Czesiek opowiadał mi, że Bury, kolejny z waszych braci, miał jakiś niezły patent na darmowe winko…

Wiem, o czym mówisz. Bury często zakładał się, przeważnie z takimi co go nie znali, że wypije naraz dwie alpagi i to prosto z butelki. I wiesz co? Zawsze wygrywał. Rozdziawiał japę i z dwóch butelek jednocześnie wlewał sobie w gardło! Jak w zlewozmywak. A zdumiony frajer, z którym się założył, musiał zabulić za obie alpagi.

Szacun! À propos alpag, czyli bełtów, czyli jaboli, czyli tanich win. Kiedy studiowałem w łódzkiej filmówce, mieszkałem w akademiku na Piotrkowskiej. Forsy dużo się nie miało, więc kupowałem kilka bełtów, wlewałem do gara i robiłem grzańca. Oczywiście do tego cynamon, goździki, cukier waniliowy, parę łyżek miodu… Ale nie w tym rzecz. Jednocześnie do tego wywaru wrzucałem… spaghetti. To wszystko razem gotowałem. I tym sposobem mieliśmy i napitkę, i zagrychę w jednym.

Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać.

Mam nadzieję, że to był komplement, he he… Jak pamiętasz wprowadzenie stanu wojennego?

Hmm… Gościłem się wtedy na imieninach mojej siostry Wieśki. Nie bardzo wiedzieliśmy, o co chodzi… Ale potem w zakładzie, gdzie pracowałem, brama okazała się zamknięta. Godziny milicyjnej raczej się nie przestrzegało. Znało się wszystkie podwórka, piwnice i kanały, i zawsze można było znaleźć bezpieczne przejście lub schronienie.

Najgorsze były kartki – na papierosy, alkohol, mięso, buty (!) I alkohol – obrzydliwa vistula – czyli tak zwana czysta kotłowanina. Jak miałeś szczęście, to trafiłeś na bałtyk, który był mniej odrażający. Parę ciekawych przygód przeżyłem. Którejś nocy jechałem taryfą, a trwała przecież godzina milicyjna. Wysiadam i od razu dopada mnie patrol. No to klapa, myślę, wylądуję na dołku. Ale dowódca, kapral, poznał mnie z moich filmów i cichutko szepcze do

mnie coś w tym stylu: „Cegiełka, nie idź tamtędy, bo tam jest drugi patrol i na mur beton cię zawiną, skręć tutaj i przekimaj się na jakiejś klatce schodowej”. I tak też zrobiłem. W porządku był ten kapral.

Innym znowu razem tu u mnie, na Dąbrowskiego, natykam się w czasie godziny milicyjnej na patrol. Idą prosto na mnie. Co tu robić? Wiać? Nie, myślę, zagram va banque. Z duszą na ramieniu, ale pewnym krokiem idę ku nim i wymijam. A oni nic. Tylko między sobą komentują: „O, jaki pewniaczek, pewnie z resortu”… I znowu mi się upiekło. Ale nie zawsze było tak kolorowo.

Teraz opowiem ci historię à propos nawalanki z milicją. Dostałem od nich straszne bęcki. A było tak. Chodziło się wtedy na balety do Lolka. Kierownik, który go prowadził, coś do mnie miał. Nie zaprzeczam, trochę rozrabiałem. Któregoś wieczoru wyszedłem z Lolka i z braku laku zacząłem słynną gitowską zabawę. Podrzucało się wysoko pustą butelkę, aby trafić w nią inną butelką. Zawsze trafiałem, tylko rozpryśnięte szkło strasznie hałasowało. Wtedy można było wrócić i zamówić następną kolejkę, bo ręka pewna. I tak parę razy w tę i z powrotem. W końcu właściciel nie wytrzymał i wezwał blacharnię. W tym momencie byłem już w środku lokalu. Nagle wpada paru mundurowych, biorą mnie za szmaty i wyciągają na zewnątrz. Pałki idą w ruch! Mocno wtedy dostałem. Oj, mocno. Ale pamiętajcie, że nie zawsze człowiek wygrywa. Ważne, żeby się nie skiepścił i nie okazywał strachu, nawet jeśli miałby przeciw sobie dwudziestu frajerów. Poza tym jeśli czasem dostaniesz bęcki, to tylko dodaje ci charakteru.

Heniu, ja też wiele razy oberwałem, nigdy się nie skiepściłem, chociaż pocięty nożami leżałem w kałuży krwi. Każdy człowiek musi nieść swój krzyż… Ale to na boku. Ponoć kiedyś, wracając z impry, gdzieś zaginąłeś i cała ferajna była przerażona, że wskoczyłeś z mostu do Wisły.

Szacun dla nich, jednak było inaczej. Musiałem się odpryskać, więc odłączyłem się od bandy. Gdzieś zniknęli. Dowlokłem się do

przystanku, wsiadłem w sto dwa na Podskarbińską z Emilii Plater. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak dotarłem do siebie, ale następnego dnia o dziewiątej byłem normalnie w robocie. Popatrzyli na mnie, jakby zobaczyli ducha. „Heniu, ty żyjesz!!!" I kamień im z serca spadł. Bo faktycznie myśleli, że skoczyłem z mostu.

Inną z kolei robotę miałem w Konstancinie. Razem z Kulfonem malowałem ściany. Zostawaliśmy na noc i wtedy flaszka pękała. Nie było innej opcji. Kiedyś właściciel wyczuł to i pilnował nas przez cały dzień. Przezornie rezerwową flaszkę schowaliśmy do niszy w wykutej ścianie. Ale facet pilnował nas do końca i… ze łzami w oczach musieliśmy ją zamurować! Wyobrażasz sobie? Za kilkaset lat ktoś odmuruje tę niszę i znajdzie skarb… Pół litra żytniej!

Albo taka zabawna historia. Wracamy z kumplem z balangi, ostro zaprawieni. Dochodzimy do jego domu. „Jesteś u siebie, to ja zmykam" – mówię. Ruszam na chatę. Przy którymś z bloków, pijany i zmęczony, poczułem, że nogi mam jak z waty i… zemdlałem. Rano budzę się w obcym mieszkaniu! Rozglądam się, nic nie poznaję, gdzie ja, kurwa, jestem?! Natychmiast oprzytomniałem. Jakaś kobieta podaje mi kubek z rosołem i pyta, jak się czuję. Szok! Obca babka zlitowała się i wzięła z ulicy mnie – nieznajomego, do własnego domu. Inaczej pewnie bym zamarzł.

Samarytanka.

Przypomniała mi się jeszcze wycieczka krajoznawcza. Kiedyś z kumplem zapaśnikiem postanowiliśmy przejść się po mieście i zaliczać piwko w każdej napotkanej knajpce. Masakra. Byłem dość popularny i każdy chciał się ze mną napić. Do dziś nie wiem, jak to przeżyłem. A potem dochodziłem do siebie przez trzy dni.

No to raczej była to wycieczka piwoznawcza…

Dawniej żartowałem, że mam osiemnaście fachów, a dziewiętnasty to bieda. Miałem też takie kawalerskie powiedzonko:

Nie ma to jak kawalerski stan.

Kładziesz się spać jak świnia,

A wstajesz jak pan!

A chodzi o to, że często kładłem się spać w ubraniu i w tym samym ubraniu wstawałem.

Często pokazujesz mi sztuczki karciane. Jak gramy w tysiąca, to zawsze wygrywasz. Byłeś jak Wielki Szu?

Tego i owego się nauczyłem… Choć wolę automaty. Szybsza gra i większa adrenalina. Oprócz tego bilardzik, ping-pong i gra na komputerze. Strasznie wciąga, tak że człowiek traci poczucie czasu.

I pieniądze.

No dobra, niech ci będzie! Opowiem. Przepuściłem kupę kasy na automatach. Mechanizm jest prosty. Jak człowiek wygrywa, to zamiast powiedzieć sobie „stop!”, zabrać forsę i wrócić do domu, to wydaje mu się, że może wygrać jeszcze więcej. I oczywiście przegrywa wygraną i jeszcze drugie tyle. Z kolei jak człowiek przegrywa, to wraca do kasyna, bo liczy, że się odegra. I tak w koło Macieju. Prawda jest bardzo gorzka – zawsze wygrywa kasyno. Ale ciężko się z nią pogodzić…

Janek (z lewej) – najstarszy brat Henia – na ślubie (zdjęcie z archiwum domowego)

Teraz poważniej. Przeżyłeś po kolei cztery tragedie: śmierć brata, Mamy, kolejnego brata i Ojca…

To był najgorszy etap mojego życia. Wracamy z pogrzebu mojego drugiego brata, a tu nam nagle oznajmiają: „Matka ci zmarła". My z Ojcem w szoku! Ojciec o mało nie zemdlał. Nieszczęście za nieszczęściem! Wtedy mocno popłynąłem, bo kto by się nie załamał? Dziś już wiem, że alkohol nie rozwiązuje problemów. Rozwiązuje małżeństwa, przyjaźnie, niszczy człowieka. Obiecuje niebo, a daje piekło. Mimo to ciągle kusi…

Z dziesiątki rodzeństwa zostało was pięcioro: siostry Basia, Danka, Wieśka, brat Czesiek i ty.

I oby jak najdłużej.

8

MIRA

Wiem, że cię to boli, mój druhu, ale muszę zapytać o Mirę. Nie znałem jej, ale była dla ciebie…

Najważniejsza. Różnie tam z nią bywało, jak to z kobietami. To samo mam teraz z Marzenną. Ale, jak to mówią – ostatnie słowo powinno należeć do mężczyzny. A brzmi ono: „Tak jest, kochanie!”.

O Mirze nie chciałbym ci zbyt dużo opowiadać. Ale zacznę od tego momentu, kiedy się poznaliśmy. Było to na przystanku taksówek, już jak wyszedłem z wojska. Wtedy, tu na Dąbrowskiego, był postój taryf. Gdzieś mi się spieszyło. Ona czekała przede mną. Pomyślałem, że zabierzemy się razem. No i pytam uprzejmie: „A pani w którą stronę?”. Na co Mira: „W przeciwną!”.

Mówi się trudno. Po jakimś czasie z osłupieniem spotkałem ją… we własnym domu! Załatwiała coś z moim Ojcem. Przedstawiliśmy się sobie. No i od słowa do słowa zaczęła się rozmowa. Później Mira odwiedzała nas coraz częściej, aż zrodziło się uczucie. Miała czteroletniego synka Marka. W końcu postanowiliśmy zamieszkać razem, w jej mieszkaniu rotacyjnym na Bemowie. Oj, tam się działo! Najpierw zapoznaliśmy się z sąsiadami. Przychodzi dwóch i przedstawiają się: „Jestem Baran”, „Jestem Kozioł”. A ja na to: „Jestem Gołąb”.

O mało nie doszło między nami do bójki, bo każdy myślał, że jeden z drugiego drwi. Ale w końcu sprawa się wyjaśniła bez rękoczynów. Inna śmieszna sytuacja. Wracam z pracy i widzę brata Kostka, był trochę pod wpływem. Wypiliśmy dwusetkę, ale było mało. Poszedłem do sklepu, żeby coś dokupić. Wracam. Okazuje się,

że nie mogę wejść do mieszkania. Walę i walę w te drzwi i nic. A że mieszkaliśmy na ostatnim piętrze, wdrapuję się na dach, zawisam na piorunochronie (który w każdej chwili mógł się urwać i zaliczyłbym lot z dziesiątego piętra) i zaglądam przez okno do środka. A tam, na tapczaniku Kostek śpi w najlepsze. Co tu robić? Jak Mira wróci z pracy, to przecież będzie afera. I wtedy mnie olśniło. Dałem z kopa w drzwi, rozwaliłem zamki i już byłem w środku. Tylko co dalej? Przecież to demolka. Na szczęście tuż obok były drzwi do zsypu. Szybko wymierzyłem i jedne, i drugie. Pasują! Zdjąłem z zawiasów, zamieniłem zamki i nasze drzwi zamieniłem z tymi od zsypu. Jak Mira wróciła, to nawet się nie spostrzegła. A Kostek chrapał dalej.

Ty to masz pomysły! I refleks. Ile Mira miała lat?

Była rok starsza ode mnie. Pracowała przy montażu płytek tranzystorowych. Potem, z Bemowa, przeprowadziliśmy się na Gocław – Mira miała książeczkę mieszkaniową. Dostała dwa pokoje z kuchnią. Mira była piękną kobietą, zawsze gustownie ubraną. Była bardzo uzdolniona plastycznie. Malowała portrety i pejzaże, wykonywała biżuterię – kolczyki, wisiorki z modeliny, pierścionki. Niektóre woziłem na handel do NRD. Te świecidełka szły jak woda. Wykonywałem dla niej również blejtramy do jej obrazów.

Marka traktowałem jak własnego syna. Za pomocą zestawu „Małego Majsterkowicza” wyrychtowałem mu mebelki i meble do kuchni. Wychowałem go na porządnego człowieka. Teraz jest już dorosły i skończył studia. Nadal utrzymujemy kontakty. Jeszcze jak był nastolatkiem, uwielbiał wykręcać obcym numery. Na przykład: na podwórku stało auto, taki stary, zardzewiały rzęch, już dawno nie na chodzie. Marek wsiadał do niego majestatycznie i jak ktoś obcy podjeżdżał samochodem, ostrzegał: „Tylko nie zarysuj mi pan wozu”. A facet głupiał, bo nie wiedział, o co tu biega, jak ma zarysować coś, co się totalnie rozpada?

Przypomniałem sobie jeszcze, że mieliśmy małego pieska. Wabił się Gomi. To była fajna psinka – umiał tańczyć na dwóch łapach, a kiedy dawałem hasło: „poduszka”, wskakiwał na łóżko i kładł się

na poduszkę, a ja głowę na niego, oczywiście nie całym ciężarem. Sprawiał nam dużo radochy. Niestety, po jakimś czasie ukradli go nam. Rozpacz była straszna.

Wkrótce dostałem propozycję wyjazdu do Związku Radzieckiego (to były czasy upadającej komuny). Kolega wiedział, że znam się na robocie, i zabrał mnie ze sobą. Mieliśmy pracować w kilkuosobowych brygadach remontowych. Na lewo. Przede wszystkim w Moskwie, ale również na prowincji. Malowaliśmy cerkwie, kuliśmy ściany, pełen zakres robót. Kwaterowaliśmy w wynajętych mieszkaniach, zawsze jeden z nas zostawał i sprzątał, gotował, prał, po to, żeby reszta po pracy miała czysto i gorący posiłek. Ustaliliśmy sobie po prostu dyżury. Harowaliśmy po dziesięć godzin dziennie, ale płacili nam niezgorzej i to w dolarach (!), czyli, jak to mówiliśmy, w baksach.

Kiedy remontowaliśmy cerkiew, to odwiedzał nas ten cały patriarcha z brodą, czapą i wielkim krzyżem na piersi. Wszyscy zakonnicy ustawiali się w szeregu i potulnie, w milczeniu czekali na niego. My, z ciekawości, obserwowaliśmy tę scenę. A ten majestatyczny starzec najpierw przywitał się z nami, bardzo uprzejmie, a dopiero później ze swoimi podwładnymi. To jego pełne szacunku zachowanie tak nas ujęło, że wyremontowaliśmy cerkiew na medal. I nie wzięliśmy żadnej premii, choć nam wciskano. Postąpiliśmy honorowo i z szacunkiem dla tego bat'ki. Remontowaliśmy też mieszkania. Kiedyś jeden z naszych przy malowaniu zaczął sobie gwizdać. Dostał ochrzan od gospodarzy, że „w domu się nie gwiżdże, bo wtedy pieniędzy nie ma". Taka mądrość ludowa. W innym mieszkaniu, przy remoncie, odsuwamy szafę, a tam… olbrzymi rulon rubli owinięty sznurkiem! Skarb – myślimy. Faktycznie, fortuna, ale dawniej, wtedy był to zwój starych, nieważnych już rubli. Szkoda.

Do Polski jeździło się pociągiem raz w miesiącu, żeby przywieźć pieniądze dla rodziny i Miry. Jeśli nie mogłeś jechać, bo akurat była pilna robota, to przekazywałeś forsę koledze, który akurat jechał, i on oddawał je rodzinie. Przeważnie było to dwieście baksów, drugie dwieście zostawiałem sobie, żeby było za co żyć. Czasem jechaliśmy samochodem, żeby w Polsce kupić panele. A jak

wracaliśmy, już w Rosji – potężna szeroka jak pas lotniczy autostrada, zupełnie pusta! To kumpel nogi na kierownicę i krzyżówkę rozwiązywał!

Woziłeś coś na handel?

Każdy woził do Polski złoto i dolary. Ale przy kontrolach celnych wielu z naszych wpadało. Mój kolega na przykład wymyślił taki patent, że przed kontrolą wpychał złoto, czy co tam miał, do otwartej puszki z tuszonką i udawał, że je. Zawsze mu ten numer wychodził, bo celnikowi nawet do głowy nie przyszło, że można tak zakombinować.

Miałeś jakieś nieprzewidziane przygody?

Ja to zawsze miewam przygody. Taki charakter. Któregoś dnia, w Moskwie, wracaliśmy z roboty, już mocno zaprawieni. Ale to mało. Założyliśmy się o flaszkę, kto pierwszy będzie w domu. Każdy prysnął w swoją stronę. A ja, mknąc zygzakiem, napatoczyłem się na patrol milicji. Dupen klapen taboreten! U nich z pijanymi się nie patyczkowali! Od razu zawieźli mnie do izby wytrzeźwień (pamiętam, że jechaliśmy potwornie długo), zabrali paszport, wszystkie pieniądze – a miałem czterysta baksów, trochę rubelków – kazali się rozebrać, tak że zostałem tylko w gaciach i skarpetach, nie dali nawet żadnej płachty. No i wepchnęli mnie do sali, w której było koło dziesięciu koi, ale nie wszystkie zajęte. Było dwóch Ukraińców, to jakoś się z nimi dogadałem. Zgasili światło, ja w kimę. Nagle słyszę walenie do drzwi. Oddziałowy, wielki kafar, otwiera. Okazuje się że jeden z gości to był „urka”…

Czyli zatwardziały przestępca.

Dokładnie. No i ten „urka”, zupełnie zalany, zaczyna się ciskać. Puszcza wiąchę i grozi. A na to oddziałowy jak mu nie przywali z piąchy, tak że ten fiknął kozła. Parę godzin później zachciało mi się do toalety – wiadomo, wypity alkohol zadziałał. Ale miałem stracha, że jak zapukam, to też dostanę po ryju. Nie było wyjścia. Buch,

buch w drzwi i od razu cofnąłem się kilka kroków, żeby nie oberwać. Oddziałowy otwiera. „*Czto*?!" „*Tualiet bitte*". Ruski pomieszał mi się z niemieckim. No nic. Oddziałowy prowadzi mnie do jakiegoś zaciemnionego pomieszczenia. Ogarnia mnie straszliwy smród. Nagle chlup! Skarpetami wlazłem w jakąś ciecz (wiadomo jaką). Wreszcie moje oczy przyzwyczajają się do ciemności. Gołe odrapane ściany, mały zlewik i zamiast klozetu dziura w podłodze. Takiego syfu w życiu nie widziałem. Zrobiłem swoje, opłukałem pod kranem skarpetki i wróciłem do sali. Po chwili przyprowadzili następnego napranego zawodnika. Rozejrzał się po sali, z miejsca walnął się na kojo i natychmiast usnął…

Czyli stały bywalec lokalu.

Właśnie. Minęła noc. Nad ranem przyszedł oddziałowy i kazał nam wysprzątać salę. A ten „urka" (cały wydziargany) od razu do mnie, że ja mam to zrobić. I do mnie z łapami. Myślał, że jestem Rosjaninem. A ja już wytrzeźwiałem. Od razu przez biodro go, na glebę, piącha przed nos. „Kurwa, ja jestem Polak!" Spotulniał, pozbierał się i posprzątał salę. W dodatku jeszcze mu kazałem wyprać moje skarpetki.

Potem oddali mi ubranie, paszport, pieniądze (tylko dwieście baksów, resztę wzięli dla siebie, wiadomo, jedna zmiana sto i druga zmiana sto). Ale dobre i to. Wychodzę na dwór, a tu jakieś totalne zadupie, żadnych zabudowań, jedynie kiosk z piwem. Gdzie ja jestem? Kurwa! Suszy mnie jak cholera, więc idę do tego kiosku. Przy nim stoi zgarbiony facet, trzęsie się w delirce. Przedstawiam się, że jestem Polakiem i dopiero wypuścili mnie z wytrzeźwiałki. Odpowiada ze zrozumieniem i współczuciem. Kupiłem jemu i sobie piwo, papierosy. Wytłumaczył mi, jak dojechać, i o dziwo, jednym autobusem, bez przesiadek zajechałem pod sam dom! O ile pamiętam, ta dzielnica nazywała się Babijewo czy jakoś tak.

A tam groza! Wszyscy siedzą na walizkach! Do roboty w ogóle nie poszli. Bo nie wiedzieli, co się ze mną stało, ponadto w nocy wpadła milicja z kałachami. Jednak wszystko rozeszło się po kościach.

Pomylili nas z inną brygadą. Chłopaki zapytali, gdzie ja przepadłem na całą noc. No to zabałachowałem, że poznałem dziewczynę, zostałem u niej na noc, a ta oskubała mnie na dwieście baksów.

Bardzo wiarygodna wersja. Uwierzyli?

Co mieli nie uwierzyć. Jak zjechałem do Polski na dobre, znowu zostałem bez pracy. Dopiero Jurek Gudejko podał mi pomocną dłoń i zaproponował powrót do filmu.

Do tego jeszcze dojdziemy.

Jednak już teraz muszę o tym wspomnieć, gdyż łączy się z tym wątek Miry. Kiedy dostałem rolę w *Edim*, Mira bardzo się cieszyła. Niestety, podczas kręcenia filmu zaniemogła. Dostała silnych bólów brzucha. Wróciłem ze zdjęć w Łodzi do Warszawy i zawiozłem ją do szpitala. W ogóle nie chcieli jej przyjąć. Bóle się nasilały. Pojechałem więc drugi raz, razem z jej synem Markiem. Ten zrobił taką awanturę, że przyjęli ją od razu. Ja wróciłem do Łodzi, aby kontynuować zdjęcia do *Ediego*.

Wkrótce dostałem wiadomość, że Mira zmarła…

Koszmar! Nie mogłem w to uwierzyć! Jak to możliwe?! Taka młoda dziewczyna! Dlaczego?! Nagle cały świat mi się zawalił. Pewnie bym się kompletnie załamał, gdyby nie ekipa filmowa. Nie dawali mi czasu na myślenie, kazali mi pracować, inaczej pogrążyłbym się w rozpaczy, zacząłbym znowu pić i rzucił wszystko w cholerę. Przypomniałem sobie jej słowa: „Martwmy się o żywych, o zmarłych pamiętajmy”.

Na jej pogrzeb przyjechałem prosto z planu z Łodzi. O mało bym się nie spóźnił. Wziąłem taryfę i kazałem jechać do kościoła, gdzie było nabożeństwo pogrzebowe. A tu olbrzymi korek! Na to ja do taksówkarza: „Nie mogę się spóźnić, jedź pan chodnikiem, w razie czego płacę mandat”. I zdążyłem! W taksówce przebrałem się w garnitur. Pogrzebu nie pamiętam. Jakby wyparowała ze mnie dusza. A po pogrzebie z powrotem na plan. Żeby nie myśleć, żeby

się nie załamać, żeby nie wrócić do alkoholu. No bo pomyśl, Tomek, w ostatnim czasie miałem pogrzeb za pogrzebem. Niedawno umarł mi brat, zaraz potem Mama, wkrótce Mircia, a miesiąc później do ziemi idzie następny brat. Dostałem od życia po plecach. Widać to po mojej twarzy. To mapa prawdziwego człowieka. Cierpiałem, ale tego nie okazywałem. Według starej gitowskiej zasady: „Twardym trzeba być, nie miętkim".

Mira pochowana została na cmentarzu Południowym. Byliśmy ze sobą osiemnaście lat, z małymi przerwami. Dwie bratnie dusze. Mieliśmy takie wspólne marzenie: domek nad jeziorem, najlepiej niedaleko lasu, ona maluje, ja gram w filmach, a w wolnym czasie łowię ryby, majsterkuję, chodzę na grzyby. Nie wyszło.

Heniu, wierzysz w Boga?

Oczywiście. Ale nieczęsto bywam w kościele. Chyba że czuję jakąś potrzebę, żeby porozmawiać z Bogiem. Ale bez pośredników.

Ja tak samo. Bóg i tak nas słyszy. I wie, co nas boli. Kiedyś zmagałem się z Nim, pytając o tajemnicę powodzenia ludzi niegodziwych, a niedolę ludzi szlachetnych. Do tej pory tego nie rozumiem. Ale wierzyć trzeba. Bo inaczej tracisz moralne drogowskazy.

Coś ty, kaznodzieja?

Wprost przeciwnie. Mój świętej pamięci ojciec miał takie gitowskie powiedzonko: „Za każdy dobry uczynek zostaniesz… ukarany!".

Coś w tym jest. Bo przecież każdy dobry uczynek powinien być nagrodzony, po prostu wrócić do ciebie. A tak nie jest. Poza tym ponoć „Bóg doświadcza tych, których miłuje".

Ale dosyć tych teologicznych dyskusji. Niemniej jednak los nadal nie był dla ciebie łaskawy. Okazało się, że masz raka.

To było parę lat później, byłem już wtedy z Marzenną, moją aktualną małżonką. Zaczęło się od tego, że trudno mi się oddychało przez nos. Myślałem, że to zwykłe polipy. Zlekceważyłem. Potem nieoczekiwanie dostałem krwotoku. Pojechałem do lekarza i natychmiast skierowano mnie na onkologię. Okazało się, że mam raka. Jak się o tym dowiedziałem, to jakbym dostał obuchem. To koniec. A tymczasem żona była w ciąży. Kto ją utrzyma? Ją i nienarodzone jeszcze dziecko?

Dopiero później naszła mnie refleksja, że przecież jeszcze nie umarłem. Może wymknę się z łap śmierci. Poza tym miałem dla kogo żyć. I zupełnie zmieniłem sposób myślenia. Najboleśniejsze było pobieranie próbki z nosa, bo tam zalągł się rak. Szczypcami, na żywca, wyciągali mi kawałek mięsa. Marzenna jak to zobaczyła, to zemdlała. Potem była operacja. Lekarze rozcięli mi skalpelem twarz od skrzydełka nosa aż po nasadę brwi i cały ten płat skóry odkryli. Następnie z oczodołu powycinali wszystkie rakowe miejsca i zaszyli mnie na powrót.

A ja już następnego dnia po operacji spacerowałem po korytarzu w doskonałym humorze. Bo dostałem rolę w teatrze na Woli: spektakl *Czerwony Kapturek – ostateczne starcie*. Przysłali mi do szpitala tekst, uczyłem się, nuciłem poszczególne melodie. W pewnym momencie natknąłem się na panią ordynator, ta zrobiła wielkie oczy i pyta: „Panie Heniu, pan ma raka i pan jeszcze śpiewa?”. A ja jej na to, że kombinuję, jakby tu dzisiaj prysnąć na dyskotekę! Przysunęła mi pięść do twarzy i powiedziała: „Ooo, tyle!”. No i ostrzegła, że raka mam dalej i że dopiero po pięciu latach będzie można stwierdzić, czy nie był złośliwy.

Chodziłem przez te pięć lat na konsultacje, odbyłem też radioterapię. Musieli mi dobrać specjalną maskę do naświetlań. Po operacji miałem krwotoki z nosa, wszędzie tampony, opatrunki. W końcu wydali werdykt – jest pan zdrowy! Nie ma przerzutów. Dlatego każdemu rakowcowi powtarzam – rok nie wyrok, to znaczy rak nie wyrok! Trzeba myśleć pozytywnie. Co ciekawe – gdyby mnie operowali kilka lat wcześniej, to musieliby usunąć mi oko. Ale przez ten czas medycyna poszła do przodu. Poza tym operowała mnie pani

chirurg Pawłowska, która dopiero co wróciła ze Stanów i specjalizowała się w tych sprawach. Teraz praktycznie nie widać blizny. Niektórzy nawet twierdzą, że zrobiłem sobie operację plastyczną, he he…

A więc los się odwrócił! A najbardziej imponuje mi to, że nie obnosiłeś się ze swoim nieszczęściem publicznie. Nie biegałeś po telewizjach, nie wypłakiwałeś się w tabloidach, jaki to jesteś cierpiący i chory – tak jak to robią dzisiejsi celebryci. Skręci taki kostkę u nogi i już pędzi do gazet. Albo robi ustawki z fotoreporterami. Żeby tylko się pokazać.

Tomek, ja jestem z innej gliny. Nie zakładam masek. Postrzegają mnie przeważnie przez moje role – menela, złomiarza, pijaka. I każdy chce się ze mną napić. Czasem trudno odmówić. Cenię swoją prywatność. Nie mam parcia na szkło. Nie potrafię rozpychać się łokciami. Może przez to nie dostaję ról. Ale cóż, każdy jest odpowiedzialny za własne życie. Nikogo nie winię za swoje porażki. Miewam chwile słabości, czasem upadałem, ale zawsze miałem siłę podnieść się z kolan, otrzepać się i iść dalej z podniesionym czołem.

Nie mogę tu nie wtrącić paru swoich groszy. Wiele lat temu byłem na „gościnnych występach" nad morzem. W dyskotece zacząłem przystawiać się do najładniejszej dziewczyny, ale kulturalnie. Wtedy rzuciło się na mnie z tuzin tamtejszych chłopaków i to z nożami. Otoczyli mnie, a ja złapałem krzesło i wywijałem nim jak maczugą. W końcu padłem. Pocięli mi twarz nożami i całego we krwi jak śmiecia wyrzucili przed dyskotekę. Przechodzący nieznajomy – samarytanin – otarł mnie z krwi i zadzwonił po karetkę. Na szczęście na pogotowiu dyżur miał chirurg. Pamiętam przerażenie w jego oczach. I zaczął mnie zszywać i to na żywo, bo nie miał akurat znieczulacza, a narkotyku nie chciałem. O dziwo, nic nie czułem, bo jeszcze buzowała we mnie adrenalina. W efekcie na gębie miałem kilkanaście szwów. Wyglądałem jak frankenstein. Ale chirurg szył z taką precyzją, że teraz, po latach prawie nie mam blizn. Tą drogą mu dziękuję.

9

NADCHODZI *EDI*

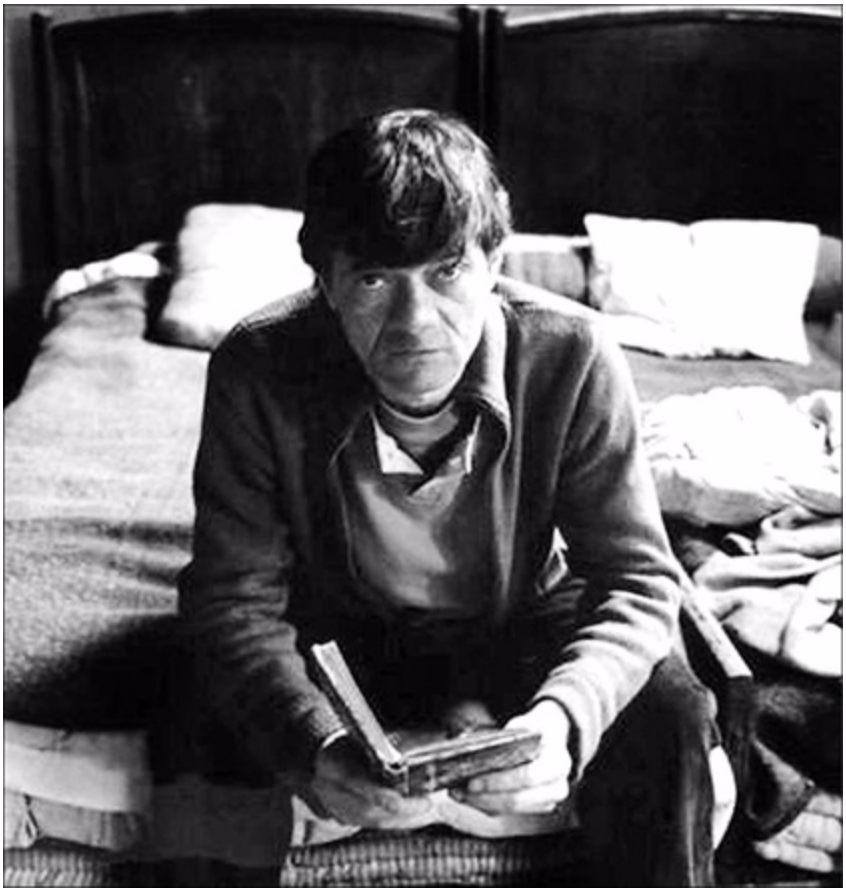

Henryk Gołębiewski – Edi (kadr z filmu *Edi*)
(© SPI/EAST NEWS)

Po dwudziestu latach (!) powróciłeś do filmu. Jak to się stało?

Niedaleko nas mieszkał Jurek Gudejko z żoną. Nie znaliśmy się wcześniej, ale kiedyś zagadnął mnie i zapytał, czy nie chciałbym wrócić do filmu. On ma agencję aktorską i mógłby mi w tym pomóc.

Zawahałem się, naszła mnie wątpliwość – czy ja jeszcze umiem grać? Ale że z natury wyznaję zasadę, iż nie można rezygnować, dopóki się nie spróbuje – powiedziałem: „Jasne, czemu nie?”. Jurek przyjął mnie do swojej agencji, dostałem numer sto sześćdziesiąty drugi.

Ale nie od razu był *Edi*. Najpierw *Dług*, film dużego kalibru o dwóch zdesperowanych facetach, którzy doprowadzeni do ostateczności popełniają zbrodnię. Zagrałem tam epizod murarza. Pamiętam, że było cholernie zimno i kierownik produkcji zlitował się – każdy, kto chciał, dostał gorącą herbatę z rumem. Potem *Boża podszewka*… Poczułem wtedy, że jeszcze potrafię. Od razu wróciły dawne nawyki, jak łapać światło, jak nie zasłaniać partnera, jak się poruszać, żeby nie wyjść poza kadr. Trema znikała zawsze po pierwszej komendzie „Akcja!”.

Jak grałem u pani Cywińskiej w *Bożej podszewce*, przeżyłem ciekawą, ale i niebezpieczną przygodę. Miałem poprowadzić starą furmankę na drewnianych kołach. Siedzę na bosaka, w jakiejś wiejskiej czapie, mikroport mam ukryty przy kaftanie, lejce w dłoniach. No to wio! Próba wyszła dobrze, więc kręcimy. Ja znowu komenderuję: „Wio!”. Jak ten koń nie wyskoczył! Ja nogi w górę, czapa spadła, ale lejce trzymam. A tego poniosło. Pędzimy po jakichś dziurach, wertepach, totalne wariactwo. Nawet nie wiem, czy to koń, czy to klacz, bo pod ogon nie zaglądałem. Ja wrzeszczę: „Kurwa! Stój! W dupę kopana! Stóóój!”. Koń pędzi jeszcze szybciej. Ja znowu krzyczę: „A czort z tobą! Ja skaczę!”. I po tym komunikacie ta szalona bestia się zatrzymała. Ja cały spocony, przestraszony. Właściciel podbiegł, krzyku narobił, wziął tego konia, zawraca. A operator dźwięku mnie woła: „Heniek, chodź tu!”. Ja: „Co jest?”. „Wiesz co? Ten tekst był piękny! Naprawdę piękny! Tylko, kurwa, nie do tego filmu”. Komediodramat! Po jakimś czasie zrobiliśmy dubel i tym razem wszystko poszło bez problemów. Ale łapy mi się trzęsły, bo bałem się, że będzie powtórka z rozrywki.

I jeszcze jedna zabawna sytuacja. Na planie jednego z seriali podchodzi do mnie jakiś aktor i proponuje koniaczek z piersiówki. Ja się wymawiam, bo przecież zaraz mam grać i nie chcę partnerowi

chuchać alkoholem. No więc on uszanował to, wychylił dwa łyki, a za dziesięć minut okazało się, że to z nim mam grać scenę! Jasny gwint! Przecież mogłem dziabnąć, chuchalibyśmy sobie nawzajem! Bylibyśmy na równi. Ale później zażądałem rewanżu i wypiłem mu trzy łyki.

Potem był *Edi*. Ponoć trafiłeś do filmu przypadkiem…

Faktycznie. Przyjechałem coś załatwić do wytwórni na Chełmską – tam gdzie Jurek Gudejko ma swoją agencję aktorską, i tam, u niego oznajmiają mi, że na Puławskiej jest casting do jakiejś fabuły i że może bym spróbował. Miałem po drodze, więc zajrzałem. Reżysera – Piotrka Trzaskalskiego – nie było, ale był scenarzysta Wojtek Lepianka. Dostałem tekst, powiedziałem, podziękowali mi i tyle. Po jakimś czasie dzwonią do mnie: „Heniek, masz drugi casting". Nieźle. Poszedłem. Tym razem obecny był już reżyser. Dostałem czytanie książki. Piotrek posłuchał i mówi do mnie: „Heniek, masz rolę". Ucieszyłem się jak diabli, bo przecież to główna rola! Ale jak to już w życiu bywa – „nie chwal dnia przed zachodem słońca". Po jakimś czasie znowu dzwoni telefon: „Heniek, masz casting". No to sobie myślę: „Oho, główna rola przeszła mi koło nosa". Ale na szczęście okazało się, że trzeba dobrać partnera do mnie. I tak pojawił się Jacek Braciak. Zaiskrzyło między nami i od razu powiedziałem: „Lepszego nie znajdziecie".

Jak długo trwały zdjęcia?

Były dwie tury. W sumie około miesiąca.

Wiesz, co mnie dziwi? Że scenariusz *Ediego* odrzuciła Telewizja Polska. Pieniądze wyłożył producent Piotr Dzięcioł. Zaryzykował i odniósł sukces.

Ten gość ma wyczucie do wyszukiwania talentów. Przecież *Idę* to też on wyprodukował.

Jak przygotowywałeś się do roli?

Bardzo solidnie. Miałem grać złomiarza, więc musiałem poznać ich zwyczaje. Rozmawiałem z nimi, starałem się wejść w ich sposób myślenia. Podpatrywałem, jak zgniatają puszki, dowiedziałem się, ile kosztuje taki a taki metal w skupie…

Utożsamiałeś się z bohaterem?

Po części tak. Tak jak on pcham swój wózek. Życiowy wózek. Nauczyłem się od niego pokory. I tego, żeby cieszyć się każdym dniem. Od Ediego wziąłem siłę przetrwania. Pierwszy pokaz filmu zakończył się owacjami na stojąco.

W pewnej scenie Edi wypowiada piękne słowa: „Wigilia jest zawsze wtedy, kiedy my tego chcemy". Cieszmy się tym, co mamy! Nie ma sensu się szarpać, gnać, rozpychać się łokciami. Pamiętaj, Tomek: zawsze zdążysz się spóźnić!

Henryk Gołębiewski – Edi i synek Księżniczki (kadr z filmu *Edi*)
(© SPI/EAST NEWS)

Zapamiętam. Które sceny były dla ciebie najtrudniejsze?

Ta, w której mnie bandziory okaleczyli. Na tyle wczułem się w rolę, że prawie poczułem ból. Ekipa zamarła, gdyż takie zrobiłem wrażenie. Poza tym trudne były wszystkie sceny z niemowlakiem, bałem się, że go upuszczę albo spadnie mi do wody, kiedy leżeliśmy razem na pomoście. Ale ten berbeć „zagrał" wspaniale, słuchał mnie i nawet rączką dotknął twarzy. To było piękne. Wzruszające.

Były też zabawne wydarzenia na planie. Któregoś dnia, podczas zdjęć, scenarzysta Wojtek Lepianka przyniósł na plan gumową kaczkę swojego dziecka, która kwakała. Schował ją pod pachę. Zaczynamy zdjęcia, a tu rozlega się nagle „kwa kwa, kwa kwa"… Operator zdziwiony: „Gdzie są tutaj kaczki? Stop, kamera! Kaczki jakieś!". Wojtek natychmiast przestał kwakać. Powtarzamy ujęcie i znowu to samo: „kwa kwa, kwa kwa"…

Za trzecim razem operator się zorientował: „Co wy, wariata ze mnie robicie?!". No i kaczka wyleciała przez okno. Następna sprawa – scena, kiedy w knajpie piję wino ze szklanki. Tragedia! W szklance była woda zmieszana z sokiem. I tak: szklana, szklana – dubelek, szklana, szklana – dubelek, szklana, szklana – dubelek… Ile tego można wypić?! W końcu nie wytrzymałem – pognałem do toalety, żeby puścić pawia. I było tak: dubelek – szklana, szklana – paw, dubelek – szklana, szklana – paw, dubelek – szklana, szklana – paw i tak w kółko. Człowiek nie wiedział już, na jakim świecie żyje i co mówi… I wtedy sobie powiedziałem: nigdy więcej scen z takim piciem i… z papierosem.

A co ma do tego papieros?

Bo przy każdym dublu trzeba zapalić nowego, wypalić przynajmniej połowę, aż w końcu człowiek robi się zielony na twarzy od tej nikotyny.

Spodziewałeś się, że film odniesie tak olbrzymi sukces? Piętnaście nagród! Dwanaście nominacji, dla ciebie nominacja do tytułu najlepszej roli męskiej na festiwalu w Gdyni. „Złota Kaczka" za rolę, „bez której nie byłoby filmu", nagroda aktorska na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Soczi, nominacja do

„Polskiego Orła” za najlepszą rolę męską, nagroda aktorska na Ogólnopolskim Festiwalu Sztuki Filmowej „Prowincjonalia” w Słupcy…

Wiedziałem, że film jest mocny, ale szczerze mówiąc, takiego wysypu nagród się nie spodziewałem, zresztą były to nagrody dla innych, a nie dla mnie, ja przegrałem konkurencję z Markiem Kondratem na festiwalu w Gdyni. Ale za to dostałem „Złotą Kaczkę” od magazynu „Film”, nominację do „Polskiego Orła”, a co najważniejsze, nagrodę „Monidło” na Festiwalu Jana Himilsbacha w Mińsku Mazowieckim. Wyruszyliśmy nawet z promocją za ocean – byliśmy w Chicago, Nowym Jorku, Los Angeles. Producent Piotrek Dzięcioł rozesłał nawet tysiąc płyt DVD, żeby wypromować film. Ale nie wyszło.

Podłamałeś się?

No co ty. Przecież to tylko kino. Ale fajnie było pomyśleć, że dostarczyłem widzom niezapomnianych wzruszeń. Wtedy Czarek Pazura zrobił mi niespodziankę – podjechał po mnie białą długą limuzyną i zaprosił do ekstrarestauracji. Przedstawił mnie Olafowi Lubaszence. Czułem się trochę skrępowany, ale jednocześnie zadowolony. Koledzy aktorzy pewnie chcieli mnie pocieszyć. *Edi* odniósł sukces, ale mnie to wcale nie zmieniło, pozostałem tym samym człowiekiem, woda sodowa nie uderzyła mi do głowy. Potem zaczęły się wyjazdy pokazowe, bankiety i cały ten szołbiznesowy harmider. Trochę mnie to przytłaczało. Dwadzieścia lat byłem poza filmem, w końcu zaliczam powrót, a tu od razu taki sukces! Wiele krajów wykupiło prawa do emisji jeszcze przed premierą.

Wielką satysfakcję miałem, kiedy jeden z seansów wykupiła łódzka firma zbierająca złom. Bilety rozdano za darmo tak zwanym wózkarzom. Przyszli skromni, ale ogoleni, trzeźwi i w miarę elegancko ubrani. To było bardzo wzruszające. Ubodzy ludzie, ale pełni godności. Takich cenię. A Piotrek Trzaskalski dostał od firmy złomiarskiej nagrodę – drucianą statuetkę facia pchającego wózek ze złomem. Tu przypomniałem sobie wpadkę, którą zaliczyliśmy na

planie. W jednej ze scen pchamy z Jackiem wózek, a na nim rower. I co się okazuje? W pierwszym ujęciu rower ma koło, w drugim już go nie ma, a w trzecim pojawia się znowu! Ale to jest temat dla tak zwanych łowców gaf filmowych.

Wiele razy słyszałem opinie, że ty i Zbyszek Buczkowski jesteście jedynymi autentycznymi spadkobiercami Jana Himilsbacha i Zdzisława Maklakiewicza, tych dwóch legend polskiego kina. Ten sam naturalizm i życiowa prawda. Nikt tak jak wy nie potrafi być sobą przed kamerą. Te wszystkie uczucia – złość, przyjaźń, wesołość, bajera, to wszystko gracie niewiarygodnie wiarygodnie!

Coś w tym jest. Może kiedyś ktoś napisze dla nas scenariusz o tych dwóch niezapomnianych aktorach. À propos, co roku jestem zapraszany na Festiwal Jana Himilsbacha w Mińsku Mazowieckim – tam gdzie się urodził. Był kamieniarzem, ale nie tylko, miał mnóstwo fachów, tak jak ja. Świetna impreza, taka bez zadęcia.

Marzenna, Henio i Zbyszek Buczkowski (zdjęcie z archiwum domowego)

CO DALEJ?…

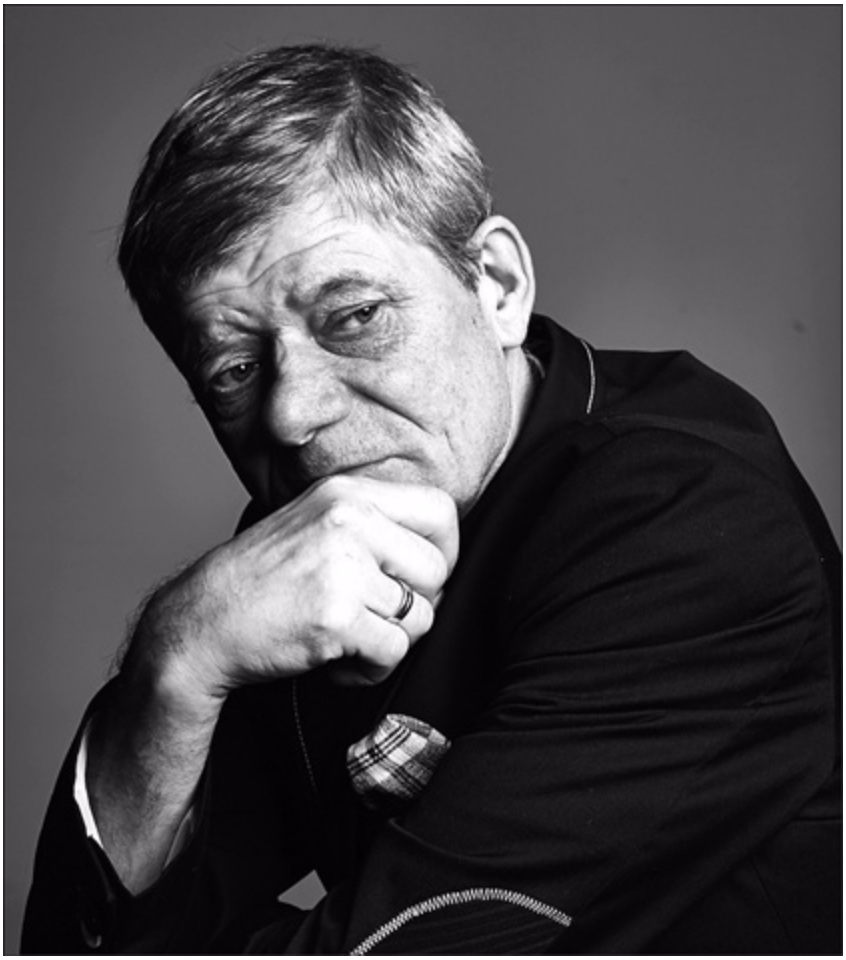

(© FOT. PIOTR WACHNIK)

Co było po *Edim*? Pewnie zasypano cię propozycjami innych ról?

Skąd. Absolutna cisza. Przez pół roku nikt do mnie nie zadzwonił. Pieniądze się rozeszły. Było krucho. Na szczęście dostałem pracę

parkingowego. Potem zaczęły się drobne rólki, epizody. Kogo ja nie grałem?! Taksówkarza, policjanta, kłusownika, pijaka, więźnia, kierowcę, dozorcę…

Dopomogę ci. Obliczyłem, że wcieliłeś się w ponad sto postaci!

To chyba niezły wynik. Opowiem ci historię. Kiedyś miałem jechać na zdjęcia do Wrocławia. Spóźniony wbiegam na peron. Pociąg jeszcze stoi… Raptem zatrzymuję się. Bo wiem, że już jestem spóźniony. I coś mi w głowie kołacze: „Nie bądź drugim Cybulskim!".

Niezorientowanym wyjaśnię, że słynny aktor Zbyszek Cybulski zginął pod kołami odjeżdżającego pociągu, kiedy próbował do niego wskoczyć w ostatniej chwili. Stało się to we Wrocławiu. Na peronie jest nawet tabliczka upamiętniająca miejsce, w którym zginął.

Dlatego przepuściłem ten pociąg. Przecież będzie następny. Mimo że były to zdjęcia nocne i tak się spóźniłem. Dostałem niezły ochrzan. Ale przynajmniej dojechałem cały i zdrowy. Są chwile w życiu człowieka, kiedy lepiej posłuchać własnego przeczucia niż rozumu. Ja tak wtedy uczyniłem.

Osobny problem to picie na planie. Było tak: jeśli niosłeś butelkę z prawdziwą oranżadą albo colą, to niosłeś ją przed sobą, natomiast jeśli w butelce były procenty, to ręka zwisała wzdłuż tułowia, dłoń z flaszeczką odwrócona do tyłu i każdy wiedział, że niesiesz w niej alkohol.

Heniu, jak się uczysz roli?

Bez problemu. Mam dobrą pamięć. Przed dniem zdjęciowym przeczytam parę razy swoje kwestie, potem jeszcze raz rano i mogę grać. Nikt mnie nie zagnie. A jak by co, to zaimprowizuję. Najtrudniej było mi na początku – po tej dwudziestoletniej przerwie. Przyjeżdżam na plan, nie znam ekipy. Sami obcy. To tak, jakbym nagle wychodził z ciemnego pomieszczenia wprost na słońce. Ale ja naprawdę lubię grać. Choć po każdym obejrzeniu filmu wydaje mi

się, że mogłem zagrać to lepiej. Jestem wobec siebie krytyczny. A moja żona Marzenna jeszcze bardziej.

Ze starych nawyków pozostała mi dokładność w nagrywaniu poszczególnych dubli. Nie może być tak, że w jednym ujęciu zamek od swetra masz zapięty pod szyję, a już w następnym zsunięty do połowy albo w ogóle rozpięty. To jest niechlujstwo i brak profesjonalizmu. Dlatego zawsze pilnuję, żeby moja postać wyglądała w każdym ujęciu danej sceny tak samo. Obieram sobie punkt odniesienia – na przykład kieszeń – i zawsze na jej wysokości zamykam zamek. Podobnie jest z paleniem papierosów w danej scenie. Nie może być tak, że ćmik jest raz długi, ledwo zapalony, potem krótki pecik, a jeszcze potem znowu długi. Trzeba się pilnować, bo później „łowcy gaf filmowych" wszystko zdemaskują i mają ubaw.

Najdłużej w serialu grałem w *Plebanii*. Najpierw człowieka, który pije, a żona odzwyczaja go od picia. Potem z kolei paliłem papierosy – więc żona odzwyczaja mnie od palenia. Później zostaję kościelnym i dzwonię. Cieszyłem się, bo moja rola była rozbudowywana. Aż tu nagle scenarzyści przenieśli akcję do większego miasta i… zostałem na lodzie. Ironia losu.

Ale to była fajna przygoda. Pamiętam scenę, w której jechałem na rowerze i przy jakimś murku się przewracałem. Nakręciliśmy. Ale potrzebny był jeszcze jeden dubelek. Znowu jadę, przewracam się dokładnie w tym samym miejscu, nawet pedał sterczał tak samo jak poprzednio. Operator z podziwem: „Heniek, jak ty to robisz? Przecież to niemożliwe, żeby identycznie upaść". A ja na to: „Na upadkach to ja się znam dobrze, w końcu szkolili mnie kaskaderzy, od małego"…

No tak. Począwszy od twojego wyskoku z jadącego żuka w *Podróży za jeden uśmiech*.

Uhmm. Fajną historię przeżyłem na planie *Zemsty* Fredry. Miałem tam statystować. Jednak zostałem wezwany przez Andrzeja Wajdę. Z niepokojem pomyślałem sobie, że pewnie wylecę z filmu. Wajda spojrzał na mnie i swoim charakterystycznym głosem powiedział:

„Panie Heniu, zagra pan trzeciego mularza”. Ale numer! W efekcie nie dość, że miałem zbliżenie, to jeszcze również kwestię mówioną! To było naprawdę fajne przeżycie. Z innych ciekawostek – nie pamiętam, jaki film (tyle że akcja działa się w średniowieczu), ale przyjechałem o dzień wcześniej na plan. Kiedy przyglądałem się zdjęciom, reżyser wykrzyknął nagle: „Aktor potrzebny!!!”. Oprócz grających obecny byłem tylko ja – oczywiście zupełnie przypadkowo. No i wzięli mnie. Ale do czego? Zdjęli mi buty, skarpety, włożyli jakiś łachman, skrępowali mi nogi drutem i zrobili zbliżenie. I tak zbliżenie moich nóg weszło do filmu! I koniecznie musiały to być nogi aktora!

Niezłe jaja. Ale cóż, film rządzi się swoimi prawami.

Zagrałem też kilka epizodów w *Świecie według Kiepskich*, aktualnie znowu napisano dla mnie rolę, co bardzo mnie raduje. W serialu *Daleko od noszy* wcieliłem się w postać hydraulika, który omyłkowo zostaje wzięty za nowego ordynatora. W *Dzikim* – kiedy viagra wpadła do strumyka i cała wieś delektowała się wodą ze studni – musiałem udawać, że ją piję. Scenograf urządził „studnię”, napełniając folię jakąś wodą, zresztą okropnie syfiastą. No więc ja brałem głęboki wdech, zanurzałem w niej facjatę (wstrzymując oddech) i udawałem, że piję. Potem wynurzałem się, parskałem i robiłem błogą minę. W jeszcze innym filmie miałem scenę, w której jadę traktorem. Nigdy ciągnikiem nie jeździłem, a był to stary tak zwany ciapek, bardzo popularny na wsiach. No i w efekcie wjechałem w… barowóz.

Jeśli mogę wtrącić swoje trzy grosze, ja ciapkiem nauczyłem się jeździć w wieku piętnastu lat, w Józefowie nad Jeziorem Sławskim. Wywoziłem wtedy szambo. Ruszać trzeba było od razu z czwartego biegu. Tak mnie nauczono. Za sobą ciągnąłem beczkowóz z szambem. Smród był taki, że nos urywało. Ale to była fajna młodzieńcza przygoda.

Jakoś nie mogę sobie ciebie, inteligenciaka, „pisaka”, wyobrazić jako „szambolana”. Ale mniejsza z tym. Dużą gafę strzeliłem na

premierze jednego z filmów, w którym grałem (nie zdradzę jakiego). Film mnie po prostu znudził, więc przysnąłem. Żona mnie szturchała, ale nic to nie dało. Spałem w najlepsze. Po projekcji reżyser przychodzi i pyta: „No, jak ci się, Heniek, film podobał?”. A ja, jeszcze trochę zaspany, odpowiadam, że jest do kitu. Reżyser poczerwieniał i odszedł. Więcej u niego nie zagrałem.
I podejrzewam, że nie zagram. Nie powinienem był wypowiedzieć tych słów, bo w końcu każdy – nie tylko reżyser – jest łasy na komplementy. Ale co się stało, to się nie odstanie.

Teraz coś optymistycznego. Otóż, jak wiesz, moja małżonka Marzenna jest bardzo krytyczna wobec moich ról. Przeważnie ma zastrzeżenia, twierdzi, że mogłem zagrać lepiej. Z jednym wyjątkiem. Bardzo jej się spodobała moja rola w serialu *Niania*. Zagrałem tam policjanta. Marzenka była zachwycona, nie bardzo właściwie wiem dlaczego. Faktem jest jednak, że zaraz po emisji zadzwoniła do nas z gratulacjami świętej pamięci Ewa Sałacka. Jej też się podobało.

Następny niezły numer – miałem zagrać u Macieja Ślesickiego w *Trzynastym posterunku*. Dostałem tekst do nauczenia, ale nie wiedziałem, w jakim kontekście jest napisany. Chodziło o to, że wpadam spanikowany na posterunek i wrzeszczę, że żona zaatakowała mnie nożem! Nawet przez myśl mi nie przeszło, że to komedia, więc zagrałem na poważnie, bardzo dramatycznie. Reżyser był zachwycony! A ja dopiero wtedy dowiedziałem się, że *Trzynasty posterunek* to sitcom.

Wrócę jeszcze do przedstawienia *Czerwony Kapturek – ostatnie starcie*. Miałem w nim zaśpiewać kilka piosenek. Trudna sprawa, bo ja nie śpiewam nawet przy goleniu, ale na szczęście dostałem nauczycielkę śpiewu, która kazała mi siadać i wstawać razem z krzesłem, jednocześnie śpiewając. A ja na to: „Czy to są lekcje śpiewu, czy podnoszenie ciężarów?”. Pani Aldona wyjaśniła mi, że te wygibasy są po to, żeby „rozciągnąć przeponę”. Razem z Włodkiem Grzywną miałem śpiewać szanty, rap oraz balladę. I w efekcie wypadłem całkiem nieźle. Tylko że na premierze moja córeczka Róża, jak zobaczyła wilka na scenie, zaczęła płakać i krzyczeć „Tata,

ilk! Tata, ilk”, chcąc ostrzec mnie przed złym drapieżnikiem. Dostała takiej histerii, że żona musiała wyprowadzić ją z teatru.

Jak Róża się rozedrze, to bębenki pękają.

Tak samo Marzenna. Co dalej? Z Filipem Łobodzińskim przypomnieliśmy się w teledysku Maćka Maleńczuka *Gdzie jesteście, przyjaciele moi?*.

No właśnie, gdzie są przyjaciele twoi?

Przeważnie w ziemi. Zostałeś mi ty i może jeszcze dwóch, trzech. Prawda jest brutalna – kiedy jesteś na topie, to masz mnóstwo „przyjaciół”, ale kiedy jesteś w potrzebie, większość udaje, że cię nie zna, zostają tylko ci prawdziwi. Zapamiętaj moje słowa: Kto przestaje być przyjacielem, ten nigdy nim nie był!

Ale za to mam mnóstwo fanów. Co odważniejsi zagadują, pozdrawiają. I to nie tylko ci starsi. Na moich filmach wychowały się trzy pokolenia. Dawne sentymenty w ludziach odżywają. Mówią, że jak mnie widzą, to wracają do czasów dzieciństwa. No i człowiek coś po sobie zostawi…

A jak wspominasz spotkanie z Filipem na planie teledysku Maleńczuka?

W dechę. Maciek puścił nam najpierw utwór – bardzo się nam spodobał, scenariusz też. No a potem daliśmy w palnik. A teledysk wypadł znakomicie. Jak do tej pory ma ponad cztery miliony wejść na Facebooku. Mieliśmy też propozycję poprowadzenia wspólnie z Filipem programu rozrywkowego o polskim kinie (takiego na wesoło, na luzie), ale niestety nic z tego nie wyszło, nie wiem z jakiego powodu. Poza tym gram mnóstwo ról epizodycznych. Razem ze Stasiem Pąkiem wystawiliśmy też kilka przedstawień naszego kabaretu My Się Nie Damy…

U KaeN-a zagrałeś bardzo sugestywną rolę klauna w teledysku *Ballada o Dawidzie Starejki* – półtora miliona wejść na Facebooku. U Małacha i Polskiej Wersji – faceta z różańcem, który próbuje wyprowadzić na prostą narkomana w teledysku *Nie chwal dnia przed zachodem słońca* – dwa miliony wejść. W *Spleenie* Czarnych Kwiatów wcieliłeś się w zmagającego się z nałogiem alkoholika… U Małgosi Bernatowicz wystąpiłeś w teledysku *Believe*…

Tak ostatnio bywa, że często występuję w teledyskach. Zawsze to nowe doświadczenie. Teledysk to taki film w pigułce i naprawdę trzeba się postarać, żeby zagrać swoją rolę tak, aby nie była kwiatkiem do kożucha. Czytuję też audiobooki (między innymi *Jaszczura* Sławomira Shutego), gdyż mam charakterystyczny, chropowaty głos.

Amerykanie na to mówią: *whiskey voice*.

Tylko mi się tu nie mądrz.

No co ty, Heniu. Po prostu przypominasz Jana Himilsbacha. Fizjonomią, głosem, osobowością, poczuciem humoru, skłonnością do kielonka… Szkoda jedynie, że nie otrzymujesz żadnych propozycji reklamowych. A tyle przecież tego w telewizji. Ale teraz z innej beczki. Zdradź mi tajemnicę. Z czego wynika, że przyciągasz metalowe przedmioty? Sam mi pokazywałeś, jak się do ciebie kleją.

Widocznie mam w sobie jakiś magnetyzm, he he. Może jakieś zdolności paranormalne? Ale nie mam czasu tego sprawdzić, bo żonka goni mnie do roboty. „Heniek, zrób to, Heniek, zrób tamto!”

Jesteś w wielu encyklopediach i leksykonach. Jakie to uczucie?

Człowiek czuje się dowartościowany. Nie lubię, kiedy mówią o mnie „naturszczyk”. Jestem aktorem, tak samo jak jednocześnie jestem ślusarzem i malarzem. Naturszczyk w odróżnieniu od amatora ma talent. Jak oglądam tych wszystkich amatorów w serialach paradokumentalnych, to serce boli. Nie skończyłem

szkoły aktorskiej, ale czy to naprawdę potrzebne w dzisiejszych czasach? Przecież w telenowelach gra mnóstwo amatorów. Czy mówią o nich „naturszczycy?”.

Mają swoje pięć minut, a potem znikają.

Bardzo mi z tego powodu wszystko jedno. Kiedyś miałem przykrą historię – na jednym ze spektakli nie podano mi ręki, tymczasem do młodego szczuna powiedziano: „Witamy wśród braci aktorskiej”, bo akurat zrobił dyplom szkoły teatralnej. A ja to niby co? Kosmita?

Zagrałeś w moim serialu *Kosmici*…

Ale nie kosmitę! Tylko Gienka Pariaszewskiego, ich odjechanego sąsiada. Takiego samego jak oni.

Ostatnio zaangażowałeś się w działalność charytatywną. Co cię do tego skłoniło?

Ludziom trzeba pomagać, zwłaszcza tym, którzy są bezbronni. Co prawda nie jestem w stanie odpowiedzieć na każde zaproszenie, bo samemu mi się nie przelewa i muszę zarabiać na rodzinę, ale jeśli tylko znajduję czas, to nie odmawiam. Naprawdę trzeba się pochylić nad cudzą biedą, nawet jak samemu nie daje się rady. Ludzie, przechodząc ulicą, gardzą biedakami. Ale oni, mimo że ubodzy, mają swój honor.

Mój szwagier Marek Kowalski ma takie powiedzonko: „Chociaż dupa poszarpana, ale zawsze proszę Pana!”.

Bardzo życiowe.

Heniu, czy jest jakaś rola, której byś nie zagrał?

Na pewno miałbym trudności z repertuarem Szekspira, na przykład *Hamletem*. Chyba że na komediowo – to nie Hamlet przemawia do czaszki, ale czaszka do niego.

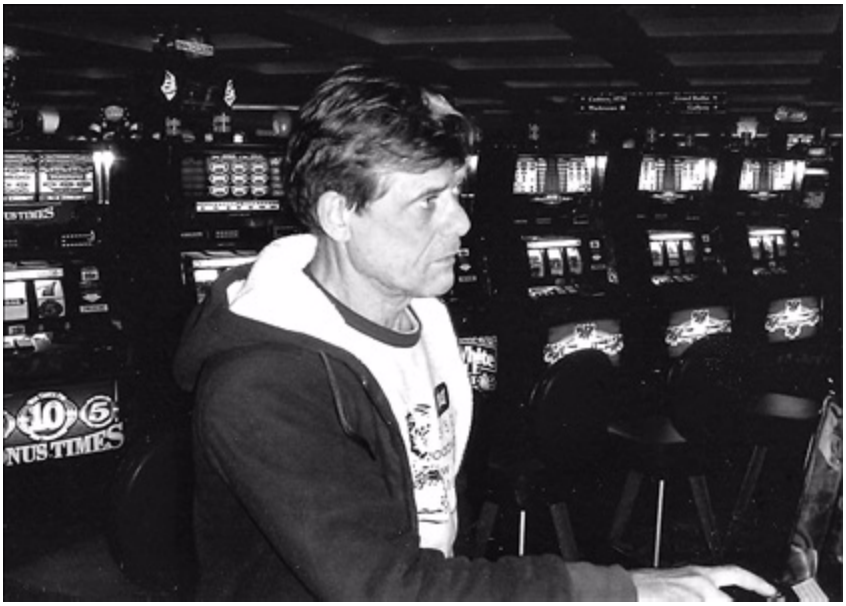

Henio w Stanach Zjednoczonych w kasynie (zdjęcie z archiwum domowego)

Ale to byłaby profanacja sztuki…

A ty co, krytyk filmowy?

Szczerze mówiąc, chciałbym cię zobaczyć w roli Hamleta albo Makbeta.

Przestań, bo cię lutnę ! Ale warto spróbować… Może kiedyś się trafi.

Co sądzisz o polskiej polityce?

Nie mieszam się do niej. Oczywiście śledzę na bieżąco wydarzenia, ale w nich nie uczestniczę, choć miałem propozycje. Aktor powinien robić swoje, a polityk swoje.

Ale gdyby ci zaproponowali, zagrałbyś polityka?

Czemu nie? Nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa!

MARZENNA

Ślub Marzenny i Henia, 6.01.2007 roku (zdjęcie z archiwum domowego)

Ponoć razem z Marzenną wymyśliliście własną przysięgę małżeńską.

Może żona, ale nie ja.

MARZENNA GOŁĘBIEWSKA: To nieprawda, choć brzmi romantycznie. Ale kiedy zaczęliśmy sobie przysięgać, wybuchnęłam płaczem. Urzędniczka stanu cywilnego sama była wzruszona. Trzy razy musiałam powtarzać, żeby wypowiedzieć wszystko do końca. A Heniek stał i się gapił!

A co miał robić? Stać na dwóch rękach?

Przecież ja już swoje wypowiedziałem.

Mogłeś mi podpowiedzieć.

A jak się poznaliście?

Chodziłem od czasu do czasu do pubu na Puławskiej. Tam wszystkich znałem i była fajna atmosfera. Dostałem od nich nawet plastikowego Oscara za *Ediego*. To był listopad dwa tysiące drugiego roku, tuż przed moim wyjazdem do Stanów Zjednoczonych z promocją filmu. Któregoś dnia przychodzą dwie dziewczyny. Jedną znam, drugiej nie znam.

To była moja koleżanka z pracy, która znała Heńka. Pewnego dnia zaciągnęła mnie do tego pubu. W środku było zaledwie kilka stolików i w dodatku wszystkie zajęte, więc dosiadłyśmy się do jej znajomych, wśród których był Heniek. Prawdę mówiąc, nie znałam go ani nie kojarzyłam. Nie wiedziałam, że on to on. Że ten mały chłopaczek z dawnych czasów to właśnie Heniek.

Zaczęliśmy rozmawiać, przedstawiliśmy się sobie i poprosiłem Marzennę do tańca. Zresztą tańczyliśmy nie tylko my, bo tam byli sami znajomi, którzy lubili się pobawić. Znałem właścicielkę. Ale na koniec, po dżentelmeńsku, odwiozłem cię do domu. I nie zostałem!

A co ty byś chciał?! Od razu na pierwszej randce?! W dodatku nieplanowanej. Zdradzę, dlaczego trafiłyśmy właśnie do tego pubu. Po pierwsze, koleżanka wszystkich tam znała i czuła się bezpiecznie. A po drugie, było tam bardzo tanie piwo kuflowe – po trzy pięćdziesiąt, podczas gdy w innych knajpach po siedem złotych, czyli dwa razy drożej. Ja wtedy pracowałam w ankietach, więc mi się nie przelewało. Heniek zaraz na drugi dzień wyleciał samolotem do Stanów Zjednoczonych z Edim. *I dopiero wtedy, od koleżanki, dowiedziałam się, że to ten słynny aktor, gdyż ja nawet* Ediego *nie oglądałam – inaczej wtedy pewnie bym go skojarzyła.*

Nie bajeruj, po prostu wpadłem ci w oko.

W każdym razie wymieniliśmy się telefonami. Ja miałam taki stary kalendarzyk i on mi go skubnął. Bo chciał się jeszcze ze mną zobaczyć.

Nie skubnął, tylko sama zostawiłaś specjalnie.

Akurat! Miałam tam mnóstwo ważnych telefonów. A ty ten notesik zostawiłeś u barmanki, a potem… znowu zabrałeś. Wynajmowałam wtedy mieszkanie na Langego. I facet – właściciel – kazał mi się na tydzień wynieść, bo przyjeżdżała jego panna. Z tego powodu musiałam zamieszkać w Łowiczu, u mojej mamy. Heniek wrócił ze Stanów i zadzwonił do mnie, że chce się spotkać. Ja na to, że nie mogę przyjechać do Warszawy, bo nie mam gdzie mieszkać. Na to Heniek odpowiedział, że załatwi mi na ten czas mieszkanie. I wiesz, jaki numer wykręcił? Zapłacił swojej siostrze Dance, żeby na ten czas pomieszkała u nich na Dąbrowskiego, a mnie zakwaterował w chacie Danki. Ale oczywiście mi tego nie zdradził. Jak przyjechałam, wszystko było wypucowane, czysta pościel, wszystko na glans. No i tak sobie pomieszkiwałam. Ale on się nie pojawiał. Dzwonię i pytam dlaczego. A on: „Przecież mnie nie zapraszałaś, a ja nie będę się narzucać".

Kulturalny. No ale zaprosiłaś go wreszcie?

Zaprosiłam, ale jak już przyszedł, to nie wyszedł. No i tak się zaczęło.

Marzenna, żona Henia (zdjęcie z archiwum domowego)

Zaczęliście się spotykać. Znaczy chodzić ze sobą…

No, a jak się zmęczyliśmy, to się położyliśmy, he he.

Siedem razy dziennie się kłóciliśmy i siedem razy dziennie godziliśmy. Chyba nie muszę dopowiadać, w jaki sposób. Heniek był bardzo jurny. Kiedyś, podczas remontu mieszkania, stał na drabinie. Zagadnęłam go żartem: „A może byśmy się tak pokochali?". Wziął to na poważnie i kiedy zszedł z drabiny, był w pełnej gotowości! No i nie miałam wyjścia.

Brawo. Co było dalej?

Heniek zaproponował mi wspólne wyjazdy, tak zwaną pracę, bo płacił mi połowę swojego wynagrodzenia. Zgodziłam się od razu.

Jeździliśmy razem prawie dwa lata, bo Edi *zrobił się sławny i Henia zapraszali na różne festiwale i spotkania, „Prowincjonalia", co tydzień gdzie indziej. Musiałam go ubrać, wyszykować, towarzyszyć mu na imprezach. Cały czas byliśmy razem, czy w pociągu, czy w hotelu, czy na bankietach. Początkowo bardzo pociągał mnie ten*

świat gwiazdorski. A najzabawniejsze jest to, że ja filmu Edi *w ogóle nie widziałam! Po tych projekcjach przychodzili ludzie, żeby podzielić się wrażeniami, a ja tylko kiwałam głową z poważną miną. W końcu, po pół roku, spięłam się i obejrzałam, bo nie wypadało już strugać wariata.*

To tak samo, jak po projekcji *Ediego* na konferencji prasowej wstał pewien dziennikarz i zaczął zadawać jakieś dziwaczne pytania, kompletnie z sufitu. Ja mu na to: „Ale o czym pan mówi? Był pan w ogóle na filmie?", a on z rozbrajającą szczerością odpowiada: „Nie…". „Nie?! No to wywiad skończony". Wzruszającą historię przeżyłem, kiedy poszedłem na projekcję *Ediego*, na zwykły pokaz. Usiadłem gdzieś w tylnym rzędzie. Film się kończy, wchodzą napisy końcowe, to ja wstaję, a wszyscy widzowie… nadal siedzą. Sala jakby zamarła. To była dla mnie największa nagroda.

No i tak podróżowaliśmy po całej Polsce…

Henio dżokej (zdjęcie z archiwum domowego)

Czyli „Podróż za dwa uśmiechy"…

W marcu dwa tysiące trzeciego roku zmarł ojciec Heńka. Wprowadziłam się wtedy do niego, żeby nie był sam. Poza tym tak też było wygodniej, ze względu na wspólne wojaże.

Pewnego razu, nie pamiętam, jakie to było miasto, wracamy z Marzenną z jakiejś imprezy wyjazdowej. Ciemno, i nagle widzimy przed sobą trzech dresiarzy. Nie wiadomo, jakie mają zamiary. Zastanawiamy się – iść dalej czy zawracać? Sam nie dam im rady. Ale idziemy. A oni: „Ooo, dzień dobry, panie Heniu!". Zapytałem, jak dojść do naszego hotelu, dokładnie nam wytłumaczyli, a nawet dyskretnie eskortowali…

A pamiętasz, jak wysiadaliśmy z pociągu i zaczepił cię jakiś facet. Zaczęliście rozmawiać jak starzy znajomi, a ja musiałam za wami ciągnąć walizkę. Nawet nas nie przedstawiłeś.

Bo tego faceta kompletnie nie znałem! Przecież ci od razu powiedziałem! A ty do mnie z awanturą!

Potem zainteresowanie Edim *opadło i zaczęła się straszna bieda. Codziennie pożyczaliśmy od Baśki – siostry Heńka – po dwadzieścia złotych na życie. Było naprawdę ciężko. Po* Edim *Heniek nie dostawał żadnych propozycji aktorskich. Ja wtedy zaczęłam pracę w straży miejskiej. I tak przez rok żyliśmy z mojej pensji.*

Wtedy dałem ogłoszenie, że szukam pracy. Nastąpił spory odzew, dostałem propozycje pracy z Niemiec, Australii, nie mówiąc o naszym kraju. Jeden z życzliwych piszących oferował mi nawet comiesięczną wpłatę dwóch tysięcy złotych, prosił tylko, żebym podał numer konta. Odmówiłem, bo nie wypadało. Teraz trochę żałuję. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. W efekcie trafiłem do Romana Szczeblewskiego i jego firmy „Robin", która montuje i konserwuje klimatyzację, a także wykonuje inne prace zlecone. I tak, od dziewięciu lat, pracuję u Romana do dziś.

Heniek i Roman Szczeblewski w kabarecie Fachowcy (zdjęcie z archiwum domowego)

Chciałbym poświęcić mu kilka słów. To wspaniały przyjaciel i wyrozumiały pracodawca. Nie stawia mnie przed wyborem „albo praca, albo film!". Kiedy mam dni zdjęciowe, zwalnia mnie bez problemu. Poza tym jest to człowiek orkiestra. Jeździ motorem, ma licencję pilota, prowadzi kierowców przez radio CB przez Warszawę pod ksywą Chińczyk Mokotów, pisze teksty satyryczne, razem występujemy w kabarecie Filip z Konopi u Filipa Borowskiego na Pradze, prezentując skecze jego autorstwa. Udziela się również w filmie i reklamie (zagrał nawet z Kevinem Spacey). Mam dla niego wielki szacunek.

Ja również. Poznałeś mnie z nim. To szlachetny i uczciwy człowiek.

Wtedy Heniek też dostał rolę w Plebanii i *bardzo nam się poprawiło. Scenarzyści rozwijali jego rolę. Ja wtedy pracowałam już w straży miejskiej, miałam trzydzieści cztery lata, i zadałam Heniowi zasadnicze pytanie: „Co dalej z nami? Nie mam zamiaru wciąż występować jako twoja «przyjaciółka». Czy mam kontynuować pracę, czy mamy mieć dziecko?". Wniosek był prosty: pracę znajdzie*

się zawsze, trzeba mieć dziecko. Ale najpierw ślub! A Heniek na to: „Nie ma sprawy, pobieramy się!”.

Problem był w tym, że Marzenna chciała tego jak najszybciej, a ja – żeby to było jak najciszej. Bez rozgłosu, fotoreporterów i plotkarskich magazynów.

Ślub Marzenny i Henia (zdjęcie z archiwum domowego)

Ale dlaczego?! Przecież teraz tak zwane gwiazdy nawet sprzedają swoje śluby gazetom!

Bo taki już jestem. Nie lubię robić wokół siebie cyrku. Nie jestem małpą. Chcę mieć święty spokój i szczęśliwą rodzinę. Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby się ludzie dowiedzieli, że Cegiełka bierze ślub? Pół Mokotowa by się zwaliło.

Jesteśmy raczej skromnymi ludźmi. Dlatego zadzwoniłam do urzędu stanu cywilnego aż w Wawrze i tam wpisano nam termin –

szósty stycznia dwa tysiące siedem, akurat w Trzech Króli. I jednocześnie poprosiłam o zachowanie dyskrecji, żeby nie pojawili się żadni paparazzi. Tak też się stało. A po półtora roku pojawiła się Róża, córeczka…

Pozwól, że tej księżniczce poświęcimy oddzielny rozdział. Ponoć na ślubie nie potrafiliście powstrzymać się od śmiechu.

Bo urzędniczka stanu cywilnego na początek wygłosiła formułkę: „Witam państwa młodych i zgromadzonych gości". A byliśmy tylko my i zaprzyjaźnione małżeństwo Anka z Arkiem jako nasi świadkowie. I to nas rozśmieszyło. Nawet tej babce się udzieliło. Ale, jak już wspomniałam, podczas przysięgi nie mogłam powstrzymać się od płaczu. A kiedy wychodziliśmy z urzędu stanu cywilnego, zamiast obsypać nas ryżem, Arek odpalił petardy. Zrobiła się draka…

Ślub Marzenny i Henia (zdjęcie z archiwum domowego)

Czyli nie było żadnych gości, żadnego wesela?!

Nie. Tylko skromne przyjęcie w restauracji.

Róża miała dziewięć miesięcy, kiedy postanowiliśmy polecieć do Tunezji, zażyć trochę słoneczka. Stoimy w kolejce do odprawy, przychodzi nasza kolej, panie oznajmiają: „Ale pani to nie pojedzie". „Dlaczego?" – pytam zdziwiona. „A jak się pani nazywa?" „Jak to jak? Gołębiewska!", na co one: „A co ma pani w paszporcie?". Patrzę, faktycznie jeszcze moje panieńskie – Matusik. A bilety były wystawione na rodzinę Gołębiewskich. „No i jak chce pani lecieć? Przecież to wszystko się nie zgadza". Na co ja się wydzieram: „Ale ja za mąż wyszłam i zapomniałam!!!". I cała kolejka w śmiech. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze, przebukowali mi bilet i nas przepuścili.

A w Tunezji śmieszyło nas towarzystwo, które przez cały pobyt nie wyszło nad morze czy popływać nawet. Non stop pili w pokoju albo schodzili na dół po nową dostawę. To się nazywa urlop pod palmami!

Raczej pod kielichami.

Tak. No i wreszcie zaczęła się moja przygoda ze spektaklem *Goło i wesoło*, w którym obsadził mnie Jurek Gudejko. Gramy ten spektakl od ponad dziesięciu lat. Przedstawień mieliśmy z górą siedemset. Sala jest zawsze pełna, bo to świetna komedia. Jeździmy z nią po całej Polsce, byliśmy też za granicą – w Kanadzie, Niemczech i dwa razy w Stanach. Przyjęto nas owacyjnie. Grają między innymi: Paweł Królikowski, Radek Pazura, Mirek Zbrojewicz, Tomek Sapryk, Jurek Gudejko i jeszcze paru świetnych aktorów. Ja gram Żmudę.

Kiedyś, pamiętam, zagapiłem się na zapleczu, paląc papierosa. Nagle myśl – przecież czas już na moje wejście! Rzucam peta, wpadam na scenę, a wszyscy aktorzy wytrzeszczają oczy ze zdziwienia. Dociera do mnie, że wparowałem za wcześnie! I stoję tak w milczeniu, nie wiedząc co zrobić – zostać i udawać wieszak na

ubrania czy się zmyć. Postanawiam udawać, że mnie tu po prostu nie ma. Publiczność patrzy zaciekawiona – o co tutaj biega? Na szczęście Mirek Zbrojewicz, grający Górę, uratował mnie, wołając: „Ooo, Żmuda, nareszcie jesteś!”. Takich zabawnych sytuacji i wpadek było mnóstwo. Co ciekawe – często widownia jest przekonana, że tak właśnie miało być.

Inna zabawna sytuacja – graliśmy przedstawienie na Dzień Kobiet. Na widowni same dziewczyny, pełna sala. I zaczęły sobie popijać po kryjomu. W ciągu pierwszego aktu tak się wstawiły, że ominęliśmy resztę spektaklu i zrobiliśmy finał. Ten babiniec był nie do opanowania.

Byłem na waszym spektaklu i dawno się tak nie uśmiałem. Zwłaszcza jak Mirek Zbrojewicz tańczył i kręcił piruety albo jak Radzio Pazura udawał kobietę. Majstersztyk!

Dzięki. Jeszcze wróćmy do śmiesznych sytuacji. Kolega opowiadał mi, że kiedyś grał zająca czy króliczka w spektaklu dla dzieci. Oczywiście w kosmatym kostiumie z wielkimi uszami. Kicał wśród dzieciarni i wypowiadał swój tekst. Ale pojawił się problem. Na widowni siedział taki mały grubas, wpieprzał bezczelnie popcorn i ciągle przerywał, rechotał, ironicznie komentował. W końcu mój kolega „zajączek” przykicał do niego, pochylił się nad nim i szepnął: „Jak nie przestaniesz, to tak ci przywalę, że cię rodzona matka nie pozna”. Grubas, przerażony, do końca przedstawienia siedział sztywny jak mumia. I nawet przestał jeść.

Bezcenne.

W filmie Wojtka Smarzowskiego wcieliłem się w postać kierowcy, którego zatrzymuje policja. Podrzuciłem mu pomysł, abym zagrał głuchego. Gliniarz instruuje, że mam łyse opony, brak światła, a ja na to: „Mam trzy dychy”, on znowu swoje, ja znowu: „Mam trzy dychy”, i tak parę razy. W końcu mówię: „Ale może moja stara ma jeszcze dychę…”. No i gliniarz kazał nam jechać! Wojtek był z tej sceny bardzo zadowolony.

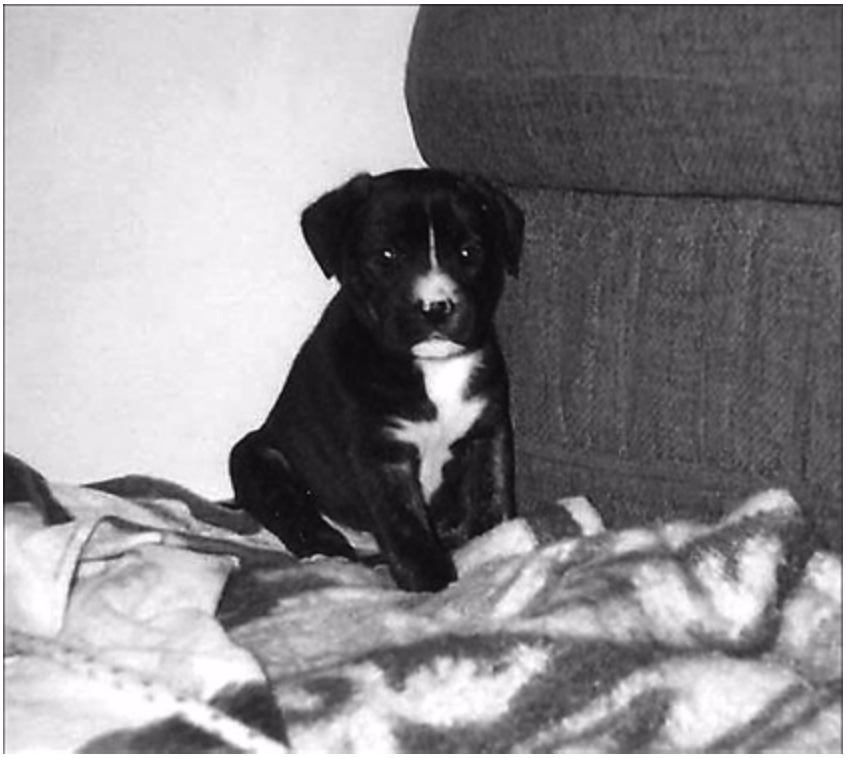

Mały Pako (zdjęcie z archiwum domowego)

Chciałem zapytać, skąd się u was w domu wziął Pako?

Arek, mąż koleżanki z pracy, przyniósł go nam za pazuchą. A było tak. Jakaś kobieta zadzwoniła do straży miejskiej z informacją, że znalazła przy pobliskim śmietniku dwa szczeniaczki w kartonie. Ktoś bez serca wyrzucił je na trzaskający mróz. Miały tam zamarznąć. Ta pani wzięła je do siebie, ogrzała i przekazała straży miejskiej. Jednego ktoś wziął, a drugiego przywiózł do nas Arek, bo wiedział, że od dawna chcieliśmy mieć pieska, byle małego (a dokładniej ja chciałam yorka). Gdy postawiliśmy go na podłodze, to łapy mu się rozjechały i rozpłaszczył się na ziemi jak placek! Taki był bezradny. Karmiliśmy go z butelki co dwadzieścia minut, nawet w nocy, przez trzy dni! I w końcu doszedł do siebie.

Nazwaliśmy go Pako, chociaż był malutki. U weterynarza dostał zastrzyki, a doktor zapewnił nas, że to będzie mały piesek. Przy kolejnej wizycie weterynarz stwierdził, że Pako będzie średniej wielkości. Przy następnej wizycie weterynarz poddał się: „Toż to

będzie koń!". Po roku mieliśmy już wielkiego obronnego psa, którego nawet chciała od nas odkupić policja. Odmówiliśmy. Niestety, kiedy zaszłam w ciążę, nie mogłam go utrzymać na smyczy, bo ciągnął. Po porodzie zdecydowaliśmy się oddać psa mojej mamie do Klewkowa koło Łowicza. Po pierwsze, nasze mieszkanie było za małe, po drugie, na spacerach rzucał się na inne psy (ale tylko na wielkie, małe szczekacze ignorował), po trzecie, moja mama mieszka w domku z dużym podwórzem, gdzie pies może się wybiegać. I jest tam szczęśliwy. A mama go uwielbia.

Może teraz mnie dopuścisz do głosu, gaduło? Pako na początku był niezdyscyplinowany. Musiałem go ułożyć – nie wytresować! – ułożyć! Jak urodziła się Róża, kazałem mu obwąchać jej pieluszki, żeby zaakceptował nowego członka rodziny. Teraz jest potulny jak baranek (wobec swoich), podaje łapę – jedną, drugą, waruje, daje głos na rozkaz, nie ruszy kiełbasy z grzejnika czy ze stołu, jest bardzo mądry, wiernie patrzy ci w oczy, cholera, żeby jeszcze tylko mówić umiał… Kiedy przyjeżdżamy do Klewkowa z Warszawy, on jakimś swoim psim zmysłem wyczuwa sytuację i czeka od rana przy bramie. Wszyscy sąsiedzi chcą mieć po nim pieski. Czasem, kiedy coś przeskrobie, udaje, że śpi, ale jedno oko otwiera, sprawdza sytuację, a potem natychmiast zamyka i dalej udaje, że kima.

Ja wtedy mówię: „Pako, nie udawaj!" – a on nic. Nie ma go.

Muszę dodać, że takiego mądrego psa w życiu nie widziałem. Kiedy jestem u was w Klewkowie, rankiem Pako budzi mnie liźnięciem, otwieram oczy, a tu nad moją twarzą ogromna psia morda czeka, żebym wstał i się z nim pobawił. A czasami śpi na plecach z podniesionymi łapami. Przekomiczne. Jedyny minus, że głośno chrapie albo cicho puszcza bąka, wtedy szybko zwiewa na swoje posłanie, zamyka oczy i udaje, że to nie on…

Czasem to faktycznie nie on, ale my zwalamy na niego, he he…

Marzenna w straży miejskiej (zdjęcie z archiwum domowego)

Marzenno, a jak to się stało, że trafiłaś do straży miejskiej?

Dowiedziałam się, że organizują trzymiesięczny kurs szkoleniowy, i się zgłosiłam. Nigdy nie lubiłam siedzenia za biurkiem. Lubię być w akcji, w ruchu, między ludźmi. Mam wybuchowy charakter. Czasem jak się drę, to słyszy cały blok. Taki już mam temperament. Na kursie uczyli nas teorii – przepisów, kodeksów – i praktyki – zachowania w sytuacjach konfliktowych, walki wręcz itd. Na koniec kursu odbył się egzamin pisemny (wykułam wszystkie przepisy na

pamięć!), ustny i praktyczny – z użycia środków przymusu bezpośredniego, czyli tonfa, gaz, samoobrona itp. Ja dostałam „nóż" oraz „legitymowanie osoby i ukaranie mandatem karnym kredytowanym". No i zaczynam: „Dzień dobry pani, nazywam się tak i tak, dlaczego spożywa pani alkohol w miejscu publicznym?", podaję odpowiedni paragraf i nakładam mandat. A policjant z komisji egzaminacyjnej zadaje mi pytanie: „Wszystko okej, pani Marzenno, ale dlaczego nie poprosiła pani koleżanki o dowód tożsamości?". Na to ja: „Bo ja koleżankę bardzo dobrze znam!". A gliniarzowi kopara opadła: „Skąd wy je bierzecie?" – skomentował. Komisja z trudem powstrzymywała się od śmiechu. Ale zdałam bez problemu no i przyjęli mnie do straży miejskiej. Heniek był na przysiędze. Na mnie z koleżanką mówili „koncert życzeń", bo ciągle zmieniałyśmy grafik pod siebie. Pracowałam rok bez miesiąca. I to był błąd, bo po roku pracy dostałabym umowę na czas nieokreślony wraz ze wszystkimi udogodnieniami. Byłoby nam łatwiej…

Ja bym cię nie przyjął. Przecież ty nie rozróżniasz kierunków.

Rzeczywiście. Przez pół roku myliło mi się, gdzie Puławska. a gdzie Wołoska. Heniek idzie w jedną stronę, a ja w drugą, oczywiście błędną. Ale upieram się, staję i tupię jak dziecko. Heniek krzyczy, że mieszka tu od pięćdziesięciu lat i lepiej wie, gdzie co jest. Ale ja swoje. To samo odstawiam w metrze. Zawsze wsiadam nie do tego pociągu i Heniek musi mnie wyciągać na siłę. Kiedyś nawet „przestawiłam" Pałac Kultury, tylko po to, żeby kierunki mi się zgodziły! W końcu Heniek poradził mi: „Jak chcesz gdzieś trafić, to idź w przeciwną stronę". I wiesz co? To działa!

No widzisz, Tomek. Chociaż w jednym mnie posłuchała.

Po zaliczonym kursie zaczęła się służba. Nie podobało mi się to ściganie starych babć z pietruszką, dlatego udawałam, że ich nie widzę. I wkurzające było wystawianie mandatów. Trzeba było wyrobić określoną normę, inaczej nie dostawaliśmy premii.

Jakim Henio jeździł wozem, jak go poznałaś?

Drabiniastym.

Żadnym. W ogóle nie miał prawa jazdy. Od razu powiedziałam mu, że chłop bez prawka to żaden chłop! No i zaraz zapisał się na kurs. Trzy razy zdawał, bo instruktor się na niego zawziął. Ale w końcu zdał. I pierwszy samochód od razu rozwalił! Odwoził mnie do pracy, do straży miejskiej. W drodze powrotnej zaliczył słup. Aż poduszka powietrzna wyskoczyła! Koleżanka z pracy akurat jechała autobusem i widziała wypadek, przerażona nawet nie wiedziała, czy mój mąż żyje. Kiedy mi o tym opowiedziała – ja osłupiałam. Przecież przed chwilą mnie odwoził! Na szczęście nic mu się nie stało.

Zholowała mnie ciężarówka, jednak policja i tak przyjechała. Ale jakoś się wykaraskałem. Auto wyklepaliśmy i… po jakimś czasie oddaliśmy za darmo znajomemu. Marzenka bała się nim jeździć, bo już była w ciąży.

Ja mam prawo jazdy od trzydziestu lat, przejechałem milion kilometrów i uważam, że Henio jeździ bardzo dobrze. Przede wszystkim czytelnie. Zawsze sygnalizuje zmianę pasa, stosuje się do znaków.

Ale jeździ za szybko. I tak rusza, że mi głowę urywa.

To fakt, jeździ z fasonem. Miewacie ciche dni?

Raczej głośne. Bardzo głośne! Oboje jesteśmy wybuchowi. Słychać nas w całym bloku. Chociaż muszę przyznać, że ja jestem większym krzykaczem, a Heniek jest lepszym słuchaczem niż opowiadaczem. Kiedyś wrócił ze Stanów, więc ja z ciekawością pytam, jak było. A on na to wzrusza ramionami i odpowiada: „A jak miało być? Normalnie". A jak ten wodospad Niagara? Znowu wzruszył ramionami. „Całkiem zwyczajny, jak to wodospad". A Manhattan? „Taki sobie". Niczego się nie dowiedziałam! Ale za to jak wszedł na temat kasyna, to się rozgadał jak komentator

sportowy. Oczy zrobiły mu się jak pięciozłotówki! Zaczął mi opowiadać o automatach do gry i różnych takich.

A ty jesteś zakupoholiczką. Nie daj Boże wpuścić cię do sklepu. Zawsze musisz coś kupić, nieważne czy potrzebne, czy nie. Zazwyczaj to drugie. I zawsze weźmie felerny wózek na zakupy, który się zacina albo jedzie bokiem. A pamiętasz, jak przed świętami poszliśmy kupić ci spodnie, a wróciliśmy z lodówką?

A co, nie była potrzebna?! Zabawnych sytuacji w naszym życiu było mnóstwo. Na przykład Heniek z Arkiem wymknęli się kiedyś na miasto i łazili po klubach. Jedyny, do którego ich nie wpuścili, to był… klub dla gejów.

To chyba dobrze, no nie? A wy niepotrzebnie zaczęłyście nas szukać. Przecież się nie zgubiliśmy.

Znalazłyśmy was w końcu u twojej siostry Danki. Ona mieszka na wysokim parterze, na Rakowieckiej. Anka zrobiła „krzesełko" i podsadziła mnie, żebym zajrzała przez okno i wybadała, czy tam jesteście. Jak zobaczyliście moją głowę, to się rozległo: „O rany, czarownica!".

Może byś powiedziała coś przyjemnego. Na przykład, jak zrobiłem ci niespodziankę na urodziny…

To fakt. Ale tylko raz! I to przed ślubem. Heniek zaangażował w to mnóstwo ludzi. Koleżanka aktorka wyciągnęła mnie z domu na kilka godzin, pod pretekstem testowania kosmetyków, żeby on mógł wszystko przygotować. W końcu ja wracam do domu, ludzie wszędzie pochowani, stół zastawiony, kwiaty, pełen wypas… Nagle wyskakują. Heniek wychodzi, daje mi prezent, a ja go w mordę! I w płacz! Bo byłam w szoku, rozumiesz? Że on mi coś takiego zrobił…

Można wiedzieć, co dostałaś?

Dostała seksowną piżamkę. A i tak mnie opieprzyła, że za droga.

Bo była baaardzo droga! Cztery stówy za piżamę! Niepotrzebnie się wykosztowałeś. Śmiesznie było też u Anki na działce. To były urodziny jej najstarszego dziecka. Zamówili olbrzymi fikuśny tort w kształcie Kubusia Puchatka. Schowali go w jakimś pomieszczeniu do lodówki. Ale był tak wielki, że się nie mieścił, więc wystawał…

A, to pamiętam! Kiedy już chciałem wracać do domu, Marzenna nagle zniknęła. Szukamy jej i w końcu znajdujemy w tej kanciapie, gdzie stoi lodówka. Marzenna, pochylona, z wielkim brzuchem, bo była wtedy w ciąży, wcina tort łyżeczką! A przecież nie lubi słodyczy! Pamiętam też imprezę u brata Anki. Dom w stanie surowym, żadnych mebli, na poddaszu rozłożyli sprzęt karaoke, ale można tam było się dostać tylko po drabinie. No i moja małżonka uparła się, że zaśpiewa. Wlazła na górę, odstawiła występ…

Ale zejść już się bałam. I wiesz co? Musieli mnie spuszczać na linie!

Opowiem ci teraz, Tomek, krótką historyjkę ku przestrodze. Kiedy byłem już z Marzenną, miałem baaardzo długi okres niepicia. I to bez wszywki. Można było przy mnie drinkować do oporu, w ogóle mnie nie ruszało. Aż pewnego dnia koleżanka Marzenny, z dobrego serca, kupiła mi piwo bez-al-ko-ho-lo-we. Specjalnie sylabuję. Wypiłem. I… dostałem takiego smaka, że wróciłem do alkoholu. Dlatego nigdy nie próbuj czegoś takiego, jak masz przerwę, bo się nie wybronisz.

Dzięki za cenną radę.

Niech Marzena opowie, jak mi porysowała samochód.

To było w Gąskach, u naszych przyjaciół, nad morzem. Zrobiłam kanapki na śniadanie, a w tym czasie Heniek wyszedł po papierosy. Miało go nie być pięć minut, a nie było… parę godzin! Byłam taka wkurzona, że porysowałam mu dookoła cały lakier w samochodzie,

a kanapki rozciapałam na szybach. Potem ruszyłam na poszukiwania. W końcu znalazłam go, jak grał w karty na pieniądze z jakimiś typami.

Złośnica! Ale muszę przyznać, że moja żona jest doskonałą organizatorką – potrafi tak zaaranżować mi czas, że nie mam chwili, żeby się przespać. Sąsiad z naprzeciwka – „Cygan" – celnie to skomentował: „Jak chłop nic nie robi, to kobicie odwala, a jak się baba nudzi, to mu wymyśla zajęcie".

Zabawna sytuacja była przed którąś z Wigilii. Powiedziałam Heńkowi, żeby kupił świeżego karpia. No to kupił. Wchodzę rano do łazienki, a tu w wannie pełnej wody pławi się wielki potwór! Jak ja się wystraszyłam! Wyprysnęłam z łazienki jak oparzona i z awanturą do Heńka: „Coś ty mi tu przyniósł?!". A Heniek na to: „No przecież chciałaś świeżego…"; ja: „ale nie żywego!". W końcu przez cały dzień tak się z tą rybą zaprzyjaźniłam, że nie miałam sumienia jej ubić.

Marzenna i Henio
(© FOT. MAŁGORZATA IWANICKA)

Czy coś się zmieniło, kiedy zaszłaś w ciążę?

Nie „czy?”, tylko „co?”. Ale przede wszystkim była wielka radość!

I zaczęły się fochy Marzenny! Kazała mi zrobić generalny remont mieszkania. A ja na to – że po co? Stwierdziła: „Kobiecie w ciąży się nie odmawia!”. No i miałem parę miesięcy harówki. Najpierw chciała, żeby skuć ścianę i połączyć kuchnię z pokojem. A to cholerstwo twarde, bo nasz blok zbudowany w tysiąc dziewięćset czterdziestym

dziewiątym roku. Ściany postawione z głazów, gruzu. Prawdziwa męka. Pomagał mi brat Stasiek. Właściwie markował to pomaganie. A ona oglądała sobie seriale w telewizji.

A co? Miałam z brzuchem walić młotem w ścianę?

Potem zaczęły się inne zachcianki: panele, wnęki, kafelki, duperelki. Masakra. To jak żonglowanie piłami spalinowymi. Ale w sumie wyszło nieźle. A tak obok tematu – nigdy nie można było znaleźć pilota od telewizora, co często ma również miejsce i teraz. W tamtym czasie wystąpiłem też w paru reklamach, w tym jednej, bardzo wzruszającej – dla bezdomnych. Mówiłem:

„Podobno śmierć przez zamarznięcie jest najpiękniejsza. Bo kiedy człowiekowi jest bardzo zimno, w chwili, kiedy umiera, robi mu się cieplej"…

Faktycznie, ta reklama chwyta za serce. A trwa zaledwie trzydzieści sekund. A jakie są wasze plusy i jakie minusy?

A ty co, elektryk? Marzenna jest śpiochem, krzykaczem, nie cierpię chodzić z nią na zakupy, bo jak już wleci w te regały, to z nich nie wyjdzie. Może tam bobrować godzinami. I wszystkiego musi dotknąć! A ja wskakuję, kupuję, co trzeba, i spadam. Po co tracić czas? Plusy – jest laska, ma swoje zdanie, jest odważna, urodziła mi wspaniałą córeczkę. Minus – krzykacz pospolity.

Kiedyś nad ranem przynoszę Marzennie bukiet kwiatów. Zadowolony z siebie siadam do śniadania, licząc z jej strony na miłe zaskoczenie. A ona się budzi, widzi kwiaty, wyskakuje z łóżka i do mnie z pazurami: „Co żeś przeskrobał?!". Nie mieściło się jej w głowie, że facet może podarować kobiecie kwiaty bez powodu…

I to by było na tyle! I nie żona, bo to było przed ślubem. Teraz już mi nie przynosisz! A okazji nie brakuje, niedawno była dziewiąta rocznica ślubu.

Czyli, jak powiedział Cegiełka: „Nie masz pojęcia o wyobrażeniu!"

Mnie się o plusy Heńka nie pytaj, bo już nie pamiętam, ale na pewno coś mnie w nim urzekło. Za to minusów mogę wyliczyć tyle, że wystarczy na kolejną książkę. Największa wada Heńka to lawiranctwo i konfabulacja. W tym go nikt nie przebije. Aaa… Przypomniał mi się jeden plus. Jest dokładny. Z tym, że w tej dokładności jest bardzo powolny. Podłogi w mieszkaniu zmywał kiedyś pięć i pół godziny, a mamy pięćdziesiąt jeden metrów.

Pięćdziesiąt jeden i pół.

No tak, te pół metra faktycznie wszystko zmienia. Ja przelatuję w pół godziny.

Przelecieć to ja mogę ciebie.

Czy mogę dodać trzy grosze od siebie? Nieraz pomieszkuję z wami, bo przyjaźnimy się od lat, a jak już się spotkamy, to gadkom nie ma końca. Ja jestem pleciuch – tak jak Marzenna, ty, Heniu, wolisz słuchać, niż nawijać. Chyba że coś łykniesz – wtedy zasuwasz jak katarynka. Ale skoryguję – Marzenna jest śpiochem nad ranem, podczas gdy ty wstajesz, zapalasz ćmika, pijesz kawę i robisz sobie kanapki do pracy. Za to w nocy to ona faktycznie sowa (a ty skowronek). Kiedyś wstaję o drugiej nad ranem, idę do kuchni do lodówki, a tu siedzi Marzenna przy stole i rozmyśla. O czym? Cholera wie. I nawet nie pytam. Biorę kawałek kiełbasy i spadam jak najszybciej do pokoju, żeby broń Boże nie zaczęła nawijać.
A ostatnio obudziła nas wszystkich wrzaskiem, że o czymś zapomniała.

Waż słowa, bracie, bo ja cię nie będę bronił przed jej pazurami. To tak żartem. Nasza córka Róża mogłaby spać do południa. Taką ma do spania melodię. Ale tylko wtedy, kiedy musi pójść do szkoły. Gdy mamy wolne – jak na złość rozrabia już od rana, nie dając nam pospać. Ja budzę się regularnie zaraz po szóstej. Wypijam olbrzymie ilości kawy. No i robię papierosy. Marzenna ostatnio fajnie powiedziała, tuż przed świętami, kiedy jest najwięcej pracy: „Wiesz,

Heniek, że ja jestem sowa i rano nie mogę i nie potrafię nic zrobić". Ale wieczorem już jej się nie chciało… Za to ciuszki w szafie przekłada cztery razy do roku i nie mogę potem się połapać, gdzie co leży.

Mamy zupełnie różne charaktery, temperamenty. Ja jestem typowym cholerykiem, a mąż to melancholik marzyciel. Aż dziw, że tyle lat ze sobą wytrzymaliśmy. Różnimy się właściwie wszystkim. Mamy odmienne poczucie humoru i różne upodobania. Nawet jeść lubimy inne potrawy.

Ja preferuję dania wyszukane, na przykład mięsa z owocami, wątróbka z jabłkami i majerankiem, faszerowana kaczka… i temu podobne. Natomiast Heniek woli dania proste – kartofle, kotlet schabowy albo mielony i ogórek ze słoika. Potrafi ugotować zupę na gwoździu. Ale jak ma wenę, to zrobi nawet pierogi z mięsem. Ja nie potrafię i nie chce mi się.

Nie oglądamy w telewizji tych samych programów.

Ja filmy i seriale kryminalne, komediowe, horrory, thrillery. Moje ulubione to Siedem*,* Inni*,* Forrest Gump*, pierwsza część* Matrixa *i* Sami swoi*. Spory rozrzut.*

No i *Pierwsza miłość*. Jak się zaczyna, to od razu słyszę komendę: „Cicho"!

A może „Ciacho"?

A ty, Heniek, mordobicie i strzelanki, najlepiej jak jeden zabija stu.

Ale przy tym nie trzeba myśleć.

A ja wolę pomyśleć albo się pośmiać.

A z książek moja ulubiona to Mózg *Stephena Kinga. Ale tylko ta, bo reszta to nuda i grafomaństwo. Czasem przez dwadzieścia stron nic się nie dzieje. Aż się chce wejść samemu do książki i pogonić*

postacie, żeby zaczęły coś robić. W młodości osiem razy przeczytałam Pana Tadeusza.

A ja za to znam na pamięć całą *Inwokację*. Nie wierzycie? To posłuchajcie:

Litwo! Ojczyzno moja!
Ty jesteś jak zdrowie…
Dalej nie umiem,
Niech kolega powie…

Teraz poważniej. Jak zareagowałaś na wiadomość, że Henio ma raka?

Popłakałam się. Myślałam, że to koniec. Bo akurat dowiedziałam się, że jestem w ciąży. A Heniek odpowiedział mi słowami, których nigdy nie zapomnę: „Bóg jedno życie odbiera, żeby dać drugie". Moja mama lamentowała: „I co z tobą teraz będzie, dziecko kochane? Gdzie ty konsolację zrobisz?". Bardzo się przejęła, bo jej drugi mąż – Janusz – zmarł na raka sześć miesięcy po ślubie.

Kiedy Heniek był już po operacji, zaaplikowałam mu specjalną zdrową dietę – przede wszystkim surówki. Nie chciał tego jeść, twierdził, że on nie królik. W końcu kiedyś się wściekłam, wrzasnęłam: „To sobie umieraj!" i ze złości kopnęłam w futrynę tak mocno, że złamałam palec. Surówkę spałaszował od razu. I zaczął stosować dietę. Tylko że potem przyznał mi się, że jak chodził na próby do teatru, to za każdym razem kupował sobie kebab. Oszust! Wyciągałam też Heńka na piętnastominutowe spacery, żeby pobiegał po łące i nabrał odporności, ale przecież francuskiego pieska w stopy kłuło.

Miałem jak wariat latać w październiku boso po rżysku? Przyznaj się, że chciałaś mnie wykończyć.

Ale jednak nie obnosiliście się publicznie ze swoimi problemami.

Bo walczymy z nimi sami. Tacy już jesteśmy. Nie wszystko w życiu jest na sprzedaż.

Jak reagujecie na plotki o was w mediach?

Marzenna się wkurza, natychmiast chciałaby lecieć do prawnika, żądać odszkodowania i sprostowania. A ja to po prostu olewam. Taki już jest los aktora. Przeważnie dziennikarze zmyślają, przejaskrawiają, przeinaczają. Ale na to nie ma rady. To jest wkalkulowane w nasz zawód. Coś za coś. I nie ma co się obrażać. Mnie to zwisa. Kiedyś napisali, że na kolację piję litr wódki i nie mam co do garnka włożyć. Moja teściowa – Ania – tak się przejęła, że przywiozła nam z Klewkowa całą wałówkę. A przecież u nas lodóweczka była pełna!

Marzenna ma w ogóle głośny sposób bycia. Wrzeszczy o byle co, ale to nie znaczy, że jest awantura. Zresztą sąsiedzi się już do tego przyzwyczaili. Najgorzej jest, jak żona i córka krzyczą razem. Wtedy wychodzę z domu i wsiadam do samochodu, żeby przetkać uszy, he he… Albo idę do siostry Basi, która mieszka w bloku obok.

Róża, Ania – babcia Róży, Marzenna i Henio w święto Bożego Ciała w Łowiczu
(zdjęcie z archiwum domowego)

Niezły patent.

A tak przy okazji, wiesz, co to jest teściowa, żona i córka w jednym samochodzie? Zestaw głośnomówiący.

Heniu, są w twoim barwnym życiu momenty, których żałujesz?

Każdy ma takie momenty. A ja nie jestem aniołem. Trochę czasu zbałamuciłem, bywały również sytuacje trudne i bolesne, które – nie

ukrywam – sam sprowokowałem. Kielonek albo gry na automatach. Z tymi zmorami cały czas się zmagam. Raz wygrywa alkohol, raz ja. Nie będę nikogo umoralniał. Wiesz, jak jest. Ale czasem los powie ci „sprawdzam!". I musisz wtedy wyłożyć karty na stół. Albo masz blotki, albo atuty.

Zanim pojawiła się Róża, ponoć prowadziliście bogate życie towarzyskie.

To prawda. Prawie co weekend urządzaliśmy w domu huczne imprezy, czasem nawet na dwadzieścia, trzydzieści osób. Robiłam wtedy po trzysta kanapek naraz! Żeby każdy mógł coś przegryźć. Były tańce, dowcipy, zabawa. Oprócz tego byliśmy też wszędzie zapraszani, między innymi do świętej pamięci Ewy Sałackiej do Zakrzowa. Organizowano wówczas różne fajne konkursy – na przykład powożenia bryczką. I oczywiście w nich startowaliśmy.

Najfajniejsze było to, że do Ewy to była cała wyprawa… Jechało się specjalnie wynajętym na tę okazję autobusem – przed wejściem każdy dostawał obowiązkową lufę na humorek. Potem był wesoły autobus! A na miejscu jadło się pieczonego prosiaka, na koniec piło się zdrowie konia, stając jedną nogą na stole. Balowaliśmy czasem do białego rana. Fajne chwile spędzaliśmy również u naszych przyjaciół w Gąskach nad morzem. Kiedyś Heniek zostawił mnie tam na tydzień, sam musiał wrócić do Warszawy. Przez cały czas lało, siedziałam więc w przyczepie i nigdzie nie wychodziłam. W dniu powrotu Heńka zadzwoniłam do niego, o siódmej rano i poprosiłam, żeby kupił coś do picia, głównie wodę. I kupił – trzy butelki wódki i zgrzewkę piwa. Pytam: „Gdzie woda?". A on: „Zrozumiałem, że wódy ci się chce". Wódka się nie zmarnowała, bo wkrótce Heniek miał swoją pięćdziesiątkę. Andrzej Reszke, właściciel kempingu w Gąskach, zorganizował mu wielkie przyjęcie z orkiestrą.

U Ewy Sałackiej w konkursie powożenia bryczką zajęliśmy pierwsze miejsce. Ale po następnej konkurencji spadliśmy na czwarte, gdyż kolega – kierowca – ruszył zbyt szybko samochodem i ja nie nadążałem wrzucać kółka na paliki.

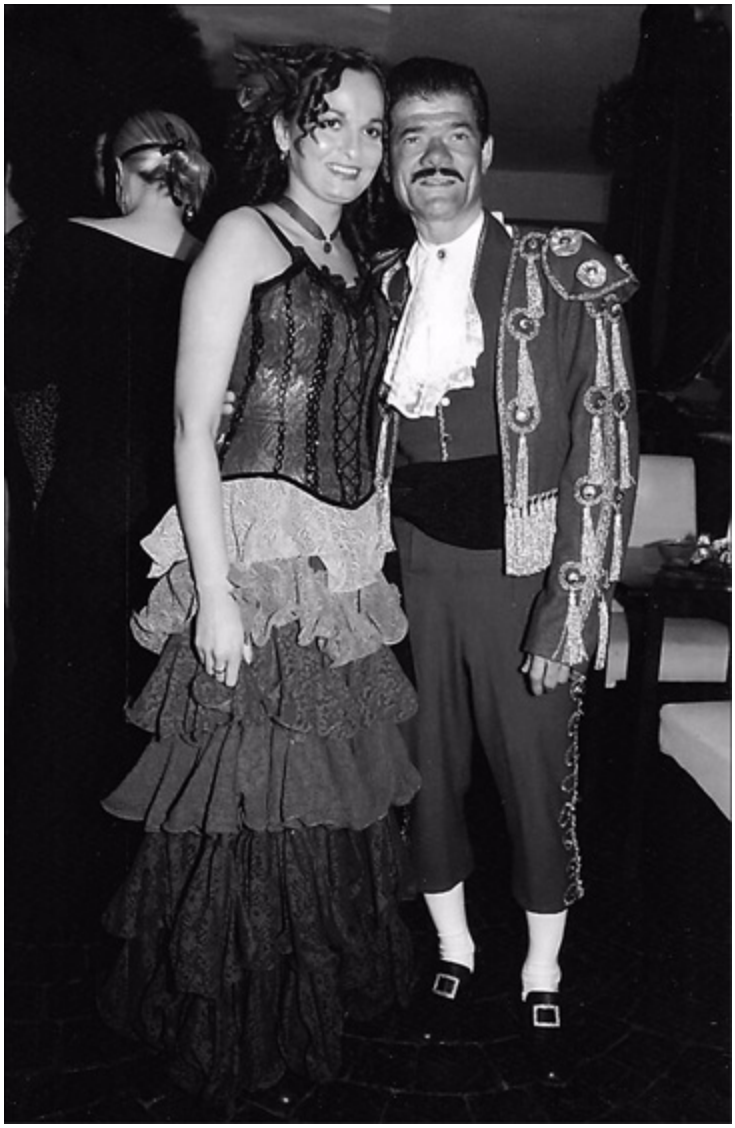

Marzenna i Henio jako Carmen i pikador (zdjęcie z archiwum domowego)

A w klubie Maska na balu przebierańców wystąpiliśmy przebrani za Carmen i hiszpańskiego pikadora.

Teraz to się zmieniło, bo jest Róża. Bal mamy na co dzień, w domu, bo przebiera się w różne fatałaszki, tańczy i śpiewa do mikrofonu, grając na jakiejś klawiaturze. Czasem aż uszy puchną.

A pamiętasz strzelanie do rzutków u Iwony Guzowskiej? Trafiłem w jeden i ten sam dwa razy! W najtrudniejszym momencie, czyli

wtedy, gdy był już blisko ziemi. To naprawdę duża sztuka. Ale ja miałem zawsze celne oko.

Inna ciekawa historia. Trafiliśmy kiedyś na mistrzostwa w rzucaniu bocce. Było to w Swornychgaciach w Borach Tucholskich. Zaprosił nas tam mój przyjaciel Bartek „Hrabia" Lipiec, słynny bodyguard Michała Wiśniewskiego. Trzymałem potem córkę „Hrabiego" Leilę do chrztu. Matką chrzestną była Magdalena Cwenówna, ostatnia żona Adama Hanuszkiewicza. Leila to jedyne dziecko, które trzymałem do chrztu. W tym roku dziewczynka przystępuje do komunii. Wracając do bocce, przypomina to angielską grę w kule, choć pochodzi z Prowansji, a jej korzenie sięgają Imperium Rzymskiego. Nie jestem taki mądrala, te objaśnienia otrzymałem od samych zawodników. Gra się kulami czerwonymi lub zielonymi, przeważnie na trawie. Singiel, debel albo czteroosobowe drużyny. Trochę nudne, ale przyglądałem się temu z ciekawością, bo nigdy czegoś takiego nie widziałem, a ja bywam ciekawski. No bo w końcu rzucają tymi kulami, nie wiadomo po co. W końcu wygrał pewien dżentelmen, wyjątkowo precyzyjny, a potem ja, jako gość, zagrałem z nim honorową, oddzielną partyjkę. I… wygrałem z samym Mistrzem. Wszyscy osłupieli. Ów gość, z pełną klasą, oddał mi swój okazały puchar, który pieczołowicie przechowuję do dziś. Nie jestem chwalipiętą, nigdy nim nie byłem, ale bywają w życiu człowieka chwile, nawet drobne, z których jest dumny.

Pojechaliśmy kiedyś do Bułgarii. Byliśmy już mocno opaleni, zwłaszcza Heniek był strzaskany na mahoń, bo on się szybko opala. Pewnego dnia wchodzimy do jakiegoś sklepu z pamiątkami, a tam buszuje polska wycieczka. Wszyscy patrzą na Heńka, a potem komentują: „Ty, to chyba ten aktor, jak mu tam… Edi czy Cegiełka". Na co inny odpowiada: „No coś ty, to jakiś Rumun!". Ledwie powstrzymaliśmy się od śmiechu. Ludzie często przyglądają się Heniowi na ulicy, coś im się kojarzy, ale nie są pewni. Inni poznają go od razu. Pozdrawiają, proszą o autograf. Heniek nigdy nie odmawia. Aż mnie to denerwuje, zwłaszcza gdy się gdzieś spieszymy…

Na strzelaniu do rzutków z instruktorem (zdjęcie z archiwum domowego)

Heniu, czujesz się bardziej aktorem czy człowiekiem pracy?

Przecież to się nie wyklucza. Na przykład Harrison Ford był stolarzem. Z pracą w filmie jest jak z prywatnymi fuchami. To taka premia do pensji. Jak zdarzy się parę dni zdjęciowych w miesiącu, to jest super.

NIE MA RÓŻY BEZ OGNIA

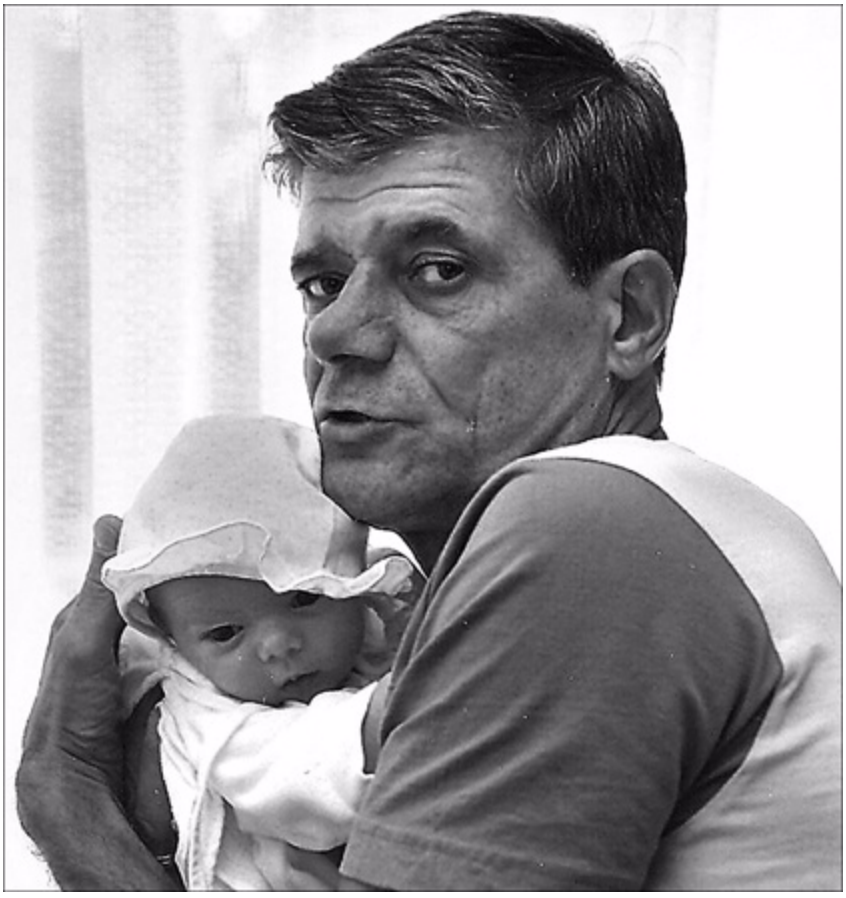

Henio z nowo narodzoną Różą
(© FOT. MAŁGORZATA IWANICKA)

Róża, wasza córeczka, była planowana czy nie?

Oczywiście, że planowana. Któregoś dnia po ślubie powiedziałam Heńkowi prosto w oczy: „Mam trzydzieści cztery lata. Chcę mieć

dziecko, póki jeszcze mogę!”.

I co on na to?

„Dobrze, będzie tak, jak chcesz”. Nie miał żadnych obiekcji. Bardzo długo staraliśmy się o dziecko, były problemy, brałam hormony, ale w końcu udało się i urodziłam śliczną córeczkę. To był dwa tysiące ósmy rok.

Skąd wzięliście imię Róża?

Jurek Gudejko wydrukował nam listę imion z internetu. Poza tym, kupiliśmy książkę ze znaczeniem poszczególnych imion. Ja chciałam Annie – wymawiane jako Eni – jak ta wokalistka Annie Lennox. Ale Heniek był temu przeciwny. Ja napierałam: „Heniek, wypowiedz to imię – Eni” – na to on: „Eeeeniii” – takim pogardliwym głosem. Mówił to tak okropnie, że dałam za wygraną. „Ani” też nie chciał, bo w rodzinie są już dwie Anie Gołębiewskie. Zaczęliśmy czytać na głos kolejne imiona. Pierwsze, które nam się spodobało, to Alicja – no bo Alicja w Krainie Czarów*. Ale sąsiadka powiedziała nam, że w przedszkolu teraz co druga dziewczynka to Ala. Więc lecieliśmy dalej. Żadne z imion nas nie urzekło, aż w końcu dotarliśmy do litery „R”. Heniek powiedział: „Róża”. Kazałam mu powtórzyć jeszcze trzy razy. Wymawiał to imię tak dostojnie, że wybraliśmy właśnie je. Ale drugie imię – Wiktoria – nadał już sam, bez konsultacji ze mną, jak poszedł zarejestrować Różę do urzędu.*

I tak została Róża Wiktoria Gołębiewska.

Pięknie. Ale następnym razem to ze mną skonsultuj.

Henio i Róża (zdjęcie z archiwum domowego)

A pierwsze słowo Róży?

Baba albo tata. Ale najpierw gaworzyła.

Do czwartego roku życia w ogóle jej nie rozumieliśmy. Ami – to smoczek, amci – jeść, amsi – pić. Po prostu gadała po swojemu. I weź się domyśl. Na popcorn – kąkol. A my nie wiedzieliśmy, czego chce. Jak chciała pić, to mówiła odwrotnie – cip cip…

Byłeś przy porodzie?

Byłem. Nawet z kamerą, stałem za szybą, ale jak żona zaczęła rodzić, to trochę wymiękłem. Lekarze uznali, że potrzebna jest cesarka. Potem okazało się, że sfilmowałem podłogę…

Najlepszy numer był, kiedy Heniek odbierał mnie ze szpitala. Przyjechała Anka, moja koleżanka ze straży miejskiej, z mężem, i kiedy już wsiedliśmy do samochodu, okazało się że… zapomnieliśmy dziecka. Ja myślałam, że Heniek weźmie nosidełko, Heniek, że Anka, Anka – że jej mąż. Popatrzyli po sobie i pędem ruszyli z powrotem. A Róża tkwiła na korytarzu w nosidełku, smacznie śpiąc.

Nie zapomnij dodać, że wynająłem dla ciebie „jedynkę” na porodówce. I czasem tam nocowałem, za co też musiałem płacić. Raz zrobiłaś mi awanturę, że aż położna przyleciała i powiedziała, że jak już przestaniesz się drzeć, to weźmie cię do toalety i zapali z tobą papierosa, żebyś się uspokoiła. Bo są inne panie na oddziale i chcą spokoju. Mnie kazała iść do domu i się wyspać. A jaki cyrk był przy porodzie! „Umierałaś”, darłaś się na cały personel, wyzywałaś od morderców… a potem śpiewałaś!

W ogóle tego nie pamiętam… Przecież byłam w szoku poporodowym!

Ale lekarze do tej pory cię tam pamiętają! Jak nie wierzysz, to zapytaj Ankę. Ona siedziała przy tobie i trzymała za rękę, bo ja byłem z Arkiem na korytarzu. Omal jej tej ręki nie zmiażdżyłaś. Kazałaś jej śpiewać. No to Anka zaczyna: „Moja mała księżniczko…”, a ty na to: „Nie śpiewaj!”. I tak w kółko. Jak szłaś na tę cesarkę – to wiem od Anki – już byłaś w tej koszuli z rozporkiem z tyłu, to się uparłaś, że musisz najpierw zapalić. Inaczej się nie położysz. I te biedne pielęgniarki wciągnęły cię do jakiejś pralni czy magazynku i poczęstowały papierosem. Żebyś zapaliła i żeby był już spokój.

Coś mi świta… Rzeczywiście, byłam w jakiejś pakamerze.

A gdy już byliśmy we troje w domu, to Marzenna bała się ruszyć małą, wydawało jej się, że jest taka krucha. Dlatego przez pierwsze tygodnie to ja przewijałem Różę.

Róża i Pako w Klewkowie (zdjęcie z archiwum domowego)

Róża (zdjęcie z archiwum domowego)

Róża (zdjęcie z archiwum domowego)

Dopiero wtedy, jak po ośmiu dniach przestałeś balować! A parę dni po porodzie dorwałam cię przy automatach i ze złości tak pchnęłam, że o mało nie roztłukłeś witryny.

Dobra, dobra. W końcu Marzenna się przemogła… Chrzciny odbyły się w kościele Świętego Andrzeja Boboli – tym samym, w którym ochrzczono i mnie. Jak Róża była malutka, to sąsiedzi mówili, że zostanie śpiewaczką operową, bo tak wrzeszczała.

Teraz ma już siedem lat. Po kim odziedziczyła charakter?

Raczej charakterek. Po mamusi. Ciągle wrzeszczy i zbytkuje. Za wszelką cenę chce postawić na swoim. Jak coś jej nie pasuje, to wybucha płaczem, ale natychmiast przestaje, gdy podsunąć jej inny temat. Ale z wyglądu to mój duplikat. Aż się Marzenna denerwuje.

Róża to żywe srebro. Nie usiedzi w miejscu. Ma swoje fochy. Chodzi na balet, bez problemu zrobi szpagat, wymyśla układy

taneczne, które obowiązkowo musimy oglądać i oklaskiwać. Śpiewa. Jest niejadkiem. Chyba że chodzi o słodycze – wtedy wcina wszystko. Jak to dziecko. Oprócz tego uwielbia pizzę z sosem pomidorowym i lody. A kiedy jedziemy do Klewkowa, do mojej mamy, najgorzej ma nasz pies Pako. Róża wkłada mu czapki, wiąże wstążeczki, przebiera, a to wielkie psisko z pokorą znosi jej wszystkie wygłupy. Jak była mniejsza, to jeździła na nim jak na kucyku.

Róża (zdjęcie z archiwum domowego)

Klewków i historie z nim związane to osobna sprawa. Ostatnio, jak byłem tam z wami, to Ania, czyli mama Marzenny, kazała nam pociąć stertę drewna na opał. Razem z sąsiadem Jurkiem i tobą wzięliśmy się do roboty. Najpierw trzeba było wytargać piłę tarczową…

Która ważyła tyle, że nogi się pode mną ugięły. A potem jeszcze to podawanie drewna do cięcia. Harowaliśmy jak woły w pełnym słońcu.

Powiem ci szczerze, że w pewnym momencie myślałem, iż zemdleję. W życiu tak się fizycznie nie napracowałem, a przecież byłem najmłodszy i miałem z nas trzech najlżejszą robotę.

I nawet przestał cię boleć kręgosłup, he he…

Właśnie. I przyznam szczerze, że dopiero wtedy zrozumiałem, co to jest ciężka praca. Do tej pory znałem tylko pracę nad klawiaturą maszyny do pisania bądź komputera. Ale teraz, jeśli pozwolicie, ja zamienię parę słów z Różą.

Super, będziemy mieli czas na papieroska.

(*Marzenna i Heniu idą do ogródka, nadchodzi Róża*).

Różo, dostaliście ostatnio królika. Jak go nazwałaś?

RÓŻA GOŁĘBIEWSKA (*córka Henia i Marzenny, 7 lat*): Tuptuś, ale tata mówi na niego Czarnobyl.

Dlaczego?

Bo jest czarny.

I co robi cały dzień?

Przeważnie śpi albo je sałatę, albo suchy chleb, żeby mu się zęby ścierały. Czasem wypuszczamy go na podwórko, żeby sobie

pobiegał. Tylko trawa nie może być mokra, bo Tuptuś może się zatruć. Mnie czasem ugryzie. Ale z tatą się bawi. A jak tata otwiera drzwi od lodówki, to od razu staje na dwóch łapkach i się prosi…

Róża, Pako i Tosia w Klewkowie (zdjęcie z archiwum domowego)

Lubisz chodzić do szkoły?

Nie bardzo, bo muszę wcześnie wstać. Ale za to lubię kolorować obrazki. I śpiewać. I tańczyć. I bawić się z koleżankami.

A wolisz królika Tuptusia czy pieska Pako z Klewkowa u swojej babci?

Oba są fajne. Tylko że na Paku mogę jeździć jak na kucyku, a na króliku nie mogę, bo malutki. No i robi takie małe bobki, co trzeba posprzątać.

A ty sprzątasz po sobie?

Nie, bo nie mam czasu.

Nie masz czasu? Dlaczego?

Wujo, nie wydurniaj się. Takie głupie pytanie. Przecież wiesz, że wolę oglądać bajki albo grać na komputerze. Jeszcze coś? Bo mi się spieszy.

A dokąd, jeśli można wiedzieć?

Na podwórko, wujo.

Aha, to dziękuję za wywiad.

(*Róża wybiega na podwórko, ja duszę się ze śmiechu, wracają Marzenna i Henio*)

I co? Zmiażdżyła cię? He he…

Jak walec drogowy! Ale teraz na poważnie. Czy coś się zmieniło w twoim życiu po narodzinach Róży?

Poczułem wielką odpowiedzialność. Kiedy człowiek był sam, to nie dbał o jutro. Teraz trzeba zasuwać, żeby utrzymać rodzinę, popłacić rachunki. Rano do roboty, bo propozycje aktorskie przychodzą rzadko. Nie jest łatwo. Poza tym hazard to moje utrapienie. Ale takie jest życie. Raz jest lepiej, raz gorzej. Jasne, że mam chwile zwątpienia, jak każdy. Jednak najważniejsze jest to, że mam dla

kogo żyć! A ostatnio, dzięki twojej paplaninie, Róża chce koniecznie jechać do Eurodisneylandu! Coś ty jej nagadał?!

Ja? Nic. Opowiedziałem tylko krótką historyjkę. Byłem tam parę razy. Pod Paryżem. Fantastyczne miejsce dla dzieciaków, ale nie tylko. Dorośli też się wspaniale bawią – jest mnóstwo atrakcji. Codziennie idzie tam parada, złożona ze wszystkich postaci z filmów Walta Disneya. Któregoś dnia piłem piwko przy jakiejś budce i nagle pojawia się przede mną Myszka Miki. Wiesz, taka z wielkimi uszami. Nagle zdjęła głowę i… ukazał się spocony, wykończony facet. Zamówił piwo. Zagadałem i okazało się, że to Polak. I że pracuje tu w roli maskotki. Ale w tym cholernym futrze jest tak gorąco, że można zemdleć. Poza tym już nie wie sam, kim jest – bo codziennie dostaje inny kostium. Myszki Miki, Kaczora Donalda, Psa Pluto. W końcu dokończył piwo, założył głowę i odszedł lekkim zygzakiem.

I takie historie opowiadasz mojej córce?!

Chciała, żeby jej opowiedzieć bajkę. To było pierwsze, co mi przyszło do głowy.

Ty sam powinieneś chodzić w tym idiotycznym kostiumie z wielkim łbem z uszami! I zabierz nas do Disneylandu.

Sorry. To się nie powtórzy. Heniu, chciałbyś, żeby twoja córka została aktorką?

Ona już jest aktorką!

Heniu, gdybyś miał krótko podsumować swoje życie, co byś powiedział?

Cały czas pod górę, ale kto ma pod górę, ten w końcu wchodzi na sam szczyt.

Zdradzisz mi, o czym marzysz?

Chciałbym zrobić film *Odkupienie*.

Róża (zdjęcie z archiwum domowego)

A co ty byś, Heniu, powiedział o mnie?

Mocny w gębie, zarozumialec, pijak, niezły w pięściach, choć nie tak jak ja, ale tyś mój Przyjaciel.

Aleś mi nawtykał! Dzięki. Na koniec wyjaśnię, skąd się wzięła moja ksywa Bicz, choć być może nikogo to nie zainteresuje. Otóż końcówka mojego nazwiska taka prawie właśnie była, Solarewicz, -wicz, a w końcu zaczęli skracać „bicz". I tak zostało.

MÓWIĄ O HENIU

BARBARA
(siostra Henia)

Barbara (zdjęcie z archiwum domowego)

Heniek jest dziesiątym, ostatnim dzieckiem z naszego rodzeństwa (cztery siostry i sześciu braci). Dlatego był zawsze oczkiem w głowie naszej Mamy. Zawsze mógł sobie pozwolić na więcej. Mieszkaliśmy i nadal mieszkamy na starym Mokotowie, rejon Dąbrowskiego, Niepodległości i Madalińskiego.

W dzieciństwie zachorował. Była to pora grzybobrania, a on bardzo chciał pójść do lasu. Wtedy nasza Mama własnoręcznie przyniosła choinki z lasu, mech i posadziła tam grzyby. Skoro on nie mógł pójść do lasu, to las przyszedł do niego.

Ślub Kostka, brata Henia (zdjęcie z archiwum domowego)

Większość z nas była już dorosła i pracowała, kiedy dorastał. A w dzielnicy miał chody, bo starszych braci się bali. No i umiał stroić fochy, jak Mama robiła gołąbki, to musiała gotować dwa garnki – jeden dla nas i jeden oddzielny dla niego, bo nie lubił sosu pomidorowego. Tak samo nie przepadał za daniami z czosnkiem.

Gdy dostał propozycję zagrania w filmie, razem ze mną ćwiczył dialogi. Jego przygodę z filmem traktowaliśmy na wesoło, zresztą on z tego powodu nie miał szczególnie łatwo. Wołali na niego „Pikador", „Poldek", „Cegiełka". Ale wobec chłopaków z podwórka nic się nie zmienił. Zbytkował jak każdy w jego wieku, robił petardy, ganiał się po piwnicach, łaził po drzewach.

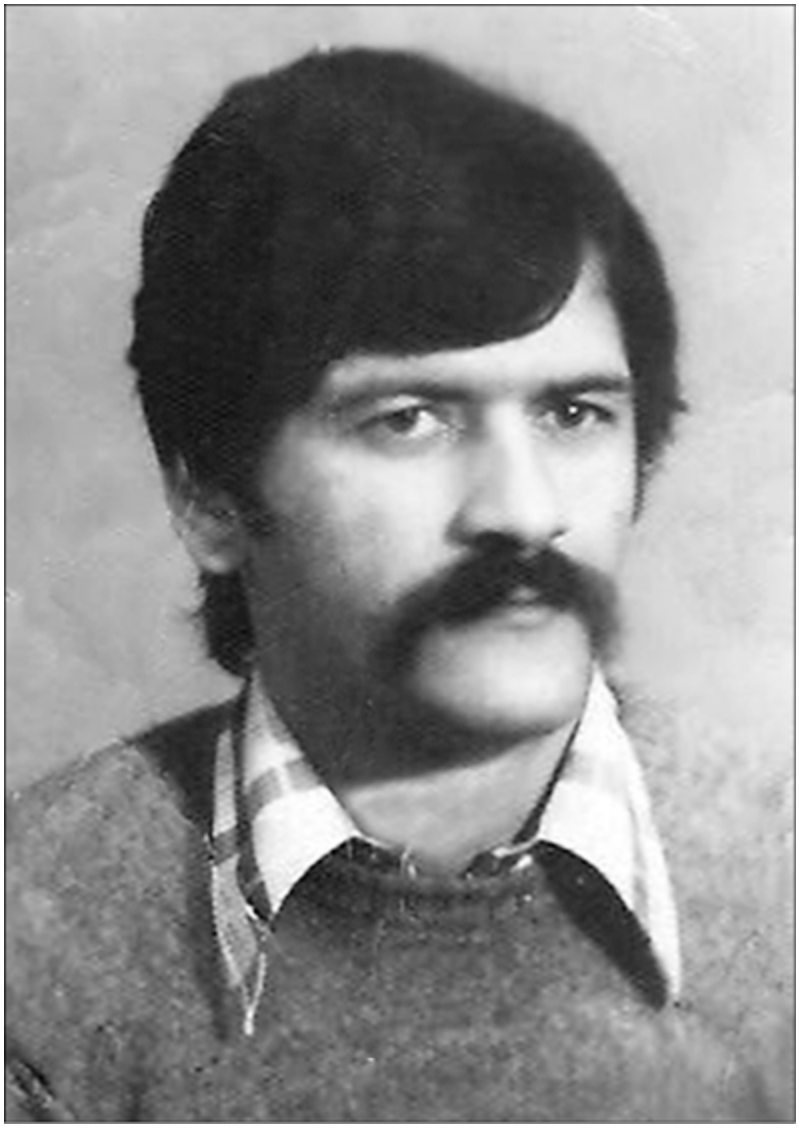

Tadeusz „Bury”,
brat Henia
(zdjęcie z archiwum domowego)

Stasiek, brat Henia
(zdjęcie z archiwum domowego)

Dawniej Henio, ja i mój mąż świętej pamięci Waldek co roku jeździliśmy na Mazury. Biwakowaliśmy na cyplu pod namiotami. Łapało się rybki, wędziło… Kiedyś Henio chciał się wykąpać, więc wyskoczył z łódki i płynął. Na złość jemu zaczęłam się oddalać. Akurat zaczęła się burza. No i tak kraulem zasuwał, że przegonił naszą łódkę.

Brat wspominał wesołą, ale jednocześnie niebezpieczną przygodę. Było to właśnie na Mazurach. Jechali kiedyś z kolegą motorem po

leśnych wykrotach (wracali ze sklepu z prowiantem). Heniek na tylnym siedzeniu. Wtem wpadli w jakąś koleinę, gaz się zaciął i nie mogli się zatrzymać. Kolega wrzeszczy do niego: „Skaaacz!!!". I sam wyskakuje z motoru, puszczając kierownicę. Heniek zostaje z tyłu na siedzeniu, a motor dalej pędzi przed siebie! Heniek nie może dosięgnąć kierownicy, żeby opanować maszynę, w końcu też wyskakuje. Motor przejechał jeszcze kawałek, zarył się w ziemię i rzęził, obracając kołem. Chłopaki dobiegli i odetchnęli z ulgą. Żadna z flaszek się nie potłukła, tylko oni sami mocno się poobijali.

Najbliżej był z bratem Staśkiem.

Danusia, siostra Henia (zdjęcie z archiwum domowego)

Niestety, z sześciu braci zostało tylko dwóch – Heniek i Czesiek, a z sióstr ja, Danka i Wieśka. Mieszkam na tym samym osiedlu co on, dlatego widujemy się częściej. Brat mieszka w mieszkaniu po rodzicach razem z Marzenną i Różą. A ja w bloku obok. Jak tylko coś ugotuję, to zanoszę, bo lubię, jak brat, zapracowany, coś zje. Jest domatorem (chyba że pójdzie do kumpli), lubi oglądać telewizję, rozwiązywać krzyżówki, układać sudoku.

Nie zadziera nosa, wszyscy go tu znają. I poważają.

FILIP ŁOBODZIŃSKI
(aktor – słynny Duduś z *Podróży za jeden uśmiech*, dziennikarz, tłumacz literatury hiszpańskiej, gitarzysta, wokalista, autor tekstów)

(© FOT. M.LASYK/REPORTER)

Z Heniem poznaliśmy się na planie filmu Abel, twój brat*. Miałem bardzo trudną rolę – po pierwsze, był to mój debiut filmowy, po drugie, byłem jeszcze dzieckiem, a film opowiadał bardzo dramatyczną historię, po trzecie, musiałem zagrać kogoś, kim w istocie rzeczy nie byłem, a po czwarte – reżyser Janusz Nasfeter był despotą i nie za bardzo za mną przepadał. Dopiero po paru miesiącach się do mnie przekonał. Wtedy zaczął zabierać Henia i mnie na spacery, podczas których opowiadaliśmy sobie różne historie, czasem też śpiewaliśmy mu piosenki.*

Potem z Heniem spotkaliśmy się ponownie na planie Podróży za jeden uśmiech*. Była to niezapomniana przygoda. Uzupełnialiśmy się charakterologicznie. Graliśmy na luzie, chociaż w niektórych momentach mam zastrzeżenia co do swojej gry, mogłem zrobić to lepiej. W Kartuzach kiedyś zwialiśmy przez okno z domu, gdzie byliśmy zakwaterowani, tylko dla draki. I ponownie musiałem zagrać kogoś, kim w życiu prywatnym nie byłem. Zresztą do tej pory prześladuje mnie przezwisko „Duduś", ale jest mi to obojętne.*

Na planie nie było tak różowo. Czasem wybuchały awantury, poza tym musiałem grać w tym okropnym garniturze i koszuli non-iron. Można się było ugotować! W scenie, kiedy razem z Heniem uciekaliśmy z kolonii w Kazimierzu Dolnym, stanąłem przed sporym wyzwaniem: musiałem zsunąć się po prześcieradłach z pierwszego piętra na ziemię – i to w tym piekielnym garniturze, który krępował mi ruchy! Ale jakoś dałem radę.

*Kolejne spotkanie z Heniem miałem na planie filmu S*tawiam na Tolka Banana*. Byliśmy już o kolejny rok starsi (choć ja jestem i tak od niego dwa i pół roku młodszy, tyle że sporo urosłem). W dodatku przechodziłem mutację. Henio był już w innym świecie – zaczynał popalać papierosy, gitować. Ja raczej bujałem w obłokach. Najbardziej zaprzyjaźniłem się z serialowym Tolkiem, czyli Jackiem Zejdlerem. To on zauroczył mnie ówczesnym programem radiowej trójki* ITR*. On też przekonał mnie, jak ważną rolę w piosence odgrywa tekst – miał cały zeszyt zapisany słowami piosenek Beatlesów. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy.*

Potem nasze drogi z Heniem się rozeszły, ja rozpocząłem studia, on poszedł do pracy, później do wojska. Spotkaliśmy się dopiero po latach przy kilku okazjach. Najpierw było wzruszające spotkanie przy okazji realizacji filmu dokumentalnego „naszego" reżysera – Stanisława Jędryki – Tolek Banan i inni. *Narracja prowadzona jest w ten sposób, że kamera podąża za naszymi dalszymi losami. Szczerze mówiąc, obawiałem się symbolicznego powrotu do dawnych czasów. Byłem przecież już kimś zupełnie innym. Jak każdy z paczki Tolka. Mimo to odegraliśmy z Heniem scenę w „pośredniaku", a potem pogadaliśmy szczerze na Stadionie Dziesięciolecia. W filmie wystąpili wszyscy bohaterowie serialu* Stawiam na Tolka Banana *oprócz tragicznie zmarłego Jacka Zejdlera.*

Potem z okazji premiery filmu Edi*, gdzie Henio zagrał wreszcie główną rolę, chciałem z nim zrobić wywiad dla magazynu Machina, w którym wówczas pracowałem. Nie miałem kontaktu, ale dzięki agencji aktorskiej zdobyłem jego adres. Poszedłem tam – ale zastałem tylko jego Mamę. Zostawiłem numer telefonu. Po dwóch dniach oddzwonił. Spotkaliśmy się w jakiejś knajpce i wspominaliśmy dawne czasy.*

I wreszcie teledysk Maćka Maleńczuka – Gdzie jesteście, przyjaciele moi? *– moje ostatnie filmowe spotkanie z Heniem. Świetna muza, świetny tekst, pełen głębi.*

Wspólnie – wraz z panem Jędryką – nagraliśmy też komentarz do DVD z kinową wersją Podróży za jeden uśmiech*.*

Teraz widujemy się rzadko, każdy ma swoje życie. Ale tego, co przeżyliśmy razem, nigdy nie zapomnę… I zawsze powtarzam – Henio to ktoś, na kim można polegać, zarówno życiowo, jak i zawodowo. Nigdy się nie zawiodłem. No i potrafi zrobić cały dom od fundamentów po elektrykę!

JERZY GUDEJKO
(aktor, założyciel i właściciel – wspólnie z żoną Grażyną – Agencji Aktorskiej Gudejko, przyjaciel Henia)

Moja przygoda z Heniem zaczęła się dawno temu, kiedy oglądałem seriale z jego udziałem. Dla naszego pokolenia Henio był kultowym artystą, z niezwykłym talentem, poczuciem humoru i naturalnością. Wiele lat później, gdy tworzyliśmy z moją małżonką Grażyną agencję aktorską, mieszkaliśmy niedaleko Henia (choć ja o tym nie wiedziałem).

Któregoś wieczoru oglądamy telewizję i jest emitowany dokument Stanisława Jędryki pod tytułem Tolek Banan i inni*, w którym aktorzy z tego serialu opowiadają o swoich dalszych losach. Wśród nich jest Henio. Taki – jak to on – najskromniejszy. I wtedy mówię do żony: „Szkoda, że taki fajny aktor gdzieś przepadł". A Grażyna na to: „Jurek, przecież on mieszka na sąsiednim podwórku, mało tego, w tym samym bloku co Robert".*

Od razu zadzwoniłem do Roberta, naszego kolegi, i powiedziałem, że jeśli spotka pana Gołębiewskiego, niech go zapyta, czy nie chciałby wrócić do filmu. Po kilku dniach Robert spotyka Henia i zadaje mu to pytanie – czy nie chciałby wrócić do filmu. A Henio tym swoim niepowtarzalnym, charakterystycznym głosem odpowiada: „A kto by nie chciał?".

Efekt był taki, że Henio przyjechał do nas do agencji, lekko stremowany, ale pogadaliśmy, zrobiliśmy mu fotosy. No i zacząłem biegać po producentach, pokazywać zdjęcia, namawiać, żeby Heniowi dać szansę powrotu. Niestety, nic to nie dało. Nie udało mi się nikogo przekonać.

Aż wreszcie Małgosia Adamska robiła obsadę do Bożej podszewki *Izabelli Cywińskiej. Potrzebowała grupy statystów, ale takich*

z zacięciem aktorskim. Natychmiast poleciłem Henia. Nareszcie! Został zaangażowany. W jednej z niedużych scen, kiedy uciekinierzy chowają się w jakiejś ziemiance, ktoś obcy się do nich dobija, a oni nie chcą go wpuścić. Do tej pory wszyscy z tej grupy statystów mieli jakieś kwestie dialogowe, tylko Henio nie. Jakoś pani reżyser nie miała do niego zaufania. I nagle dostaje swoją szansę. Ma uchylić drzwi i powiedzieć coś w tym rodzaju: „Nie ma miejsca, idźcie gdzieś dalej". Zagrał i… wypadł rewelacyjnie! I dopiero po jego chropowatym głosie, intonacji ludzie na planie go rozpoznali! Pani Cywińska była zachwycona. Z jednego dnia zdjęciowego zrobiło się kilka. I tak zaczął się jego powrót. A potem przyszedł Edi *i wszyscy sobie o Heniu przypomnieli. Wielki sukces. Nagrody, wywiady, wyjazdy, bankiety. A później – jak to los aktora – raz na wozie, raz pod wozem. Ciągłe czekanie na propozycje ról. To są, to ich nie ma. Cały czas Henio gra Żmudę w naszym spektaklu* Goło i wesoło*, z którym objeździliśmy Europę, Stany Zjednoczone i Kanadę. Ponad siedemset przedstawień! I wciąż mamy komplet publiczności.*

Z humorystycznych sytuacji najbardziej zapadła mi w pamięć następująca. Mieliśmy zakontraktowane zdjęcia do jednego z filmów, chyba produkcji Basi Ślesickiej. Nagle okazało się, że o jeden dzień przyspieszyli zdjęcia. Zadzwoniłem do Henia, Henio się pojawił. Wstawiony. Ale usprawiedliwiony, bo przecież nie mógł się takiej sytuacji spodziewać. No więc, żeby spalić te procenty, zaproponowałem Heniowi wspólny bieg dookoła wytwórni filmowej. I udało się. Zasuwaliśmy jak para karych w jednym dyszlu. I w efekcie Henio był gotów do zagrania swojej roli!

Jak widzę przyszłość Henia? Jak każdego aktora. To ciągłe czekanie na telefon, na propozycje. Nie każdy to wytrzymuje. Wielu po prostu odchodzi. Henio nie waruje przy telefonie, nie gwiazdorzy. Pracuje fizycznie, a jak trafi mu się jakaś rólka, to tym lepiej. Ale przydałaby się dla niego jakaś spora rola, bo się po prostu marnuje. Szkoda talentu.

Równy gość!

ROMAN SZCZEBLEWSKI
(pracodawca i przyjaciel Henia)

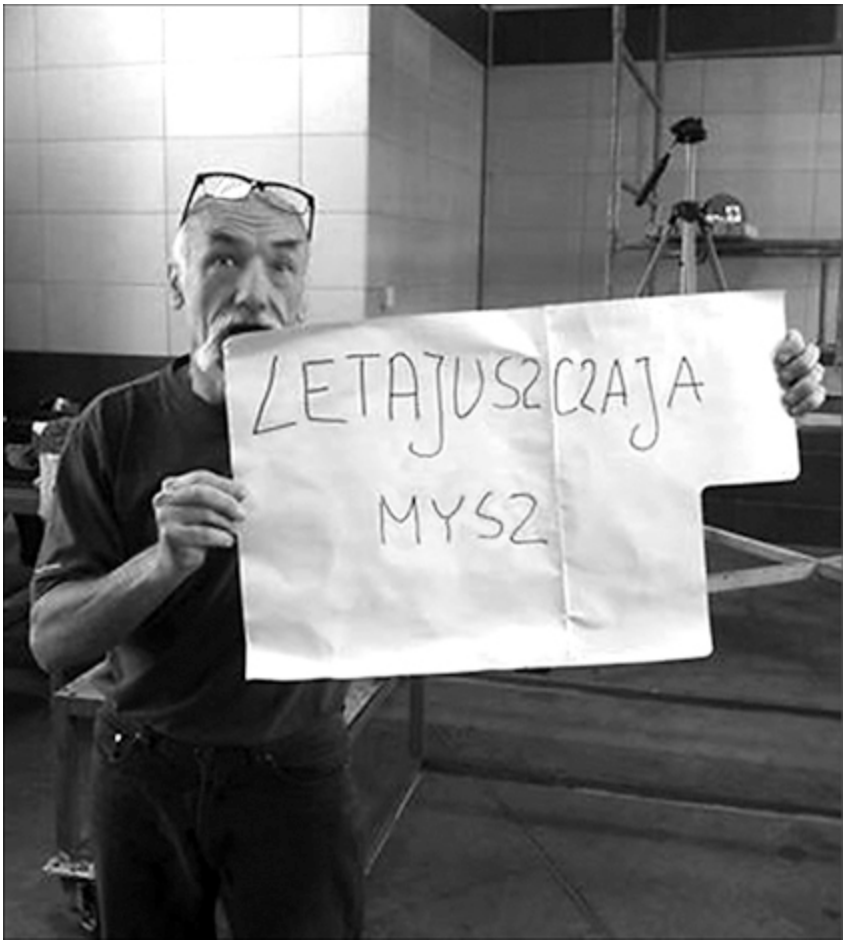

Roman podpowiada Heniowi kwestię (zdjęcie z planu filmowego)

Moje spotkanie
z Heńkiem Gołębiewskim,
czyli od pracy do przyjaźni

Z Heńkiem poznałem się w maju dwa tysiące piątego roku, to znaczy on mnie poznał, gdyż ja znałem go wcześniej – oczywiście z ekranu. Pamiętam, że przeczytałem w którejś z kolorowych gazet

wywiad z Henrykiem Gołębiewskim. Wywiad nie był zbyt długi, trochę o życiu, trochę o filmie Edi*, w którym zagrał główną rolę. No cóż, na tym się zakończyła jego praca w filmie i jak to zwykle bywa, popadł trochę w kolejne zapomnienie.*

Szukał pracy. Postanowiłem napisać mejla z ofertą zatrudnienia u mnie. Znał się dobrze na budowlance, umiał tak utrzymać wiertarkę w ręku, że mógłby nią żonglować, więc czemu nie, dlaczego nie miałbym dać mu szansy na pracę z jakąś perspektywą.

Umówiliśmy się na rozmowę. Przybył schludnie ubrany, ogolony. Nie pytał, ile może zarobić, tylko czy praca będzie stała.

Następnego dnia od razu z kopyta ruszył do roboty. Trochę na początku wzbudzał sensację. I tak, ledwie przyjechaliśmy do pracy, już ustawiały się kolejki po autograf, ale zawsze studziłem zapędy i mówiłem z uśmiechem: „Najpierw praca, a potem pięć minut dla reporterów i fanów".

Heniek sprawdzał się w pracy dość dobrze. Przez czas, jaki przepracował u mnie, ani razu nie zapił. Co prawda nie był jeszcze żonaty, ale już znał swoją wybrankę i widziałem, że stara się wyjść z nałogu. Zresztą wiedział, że u mnie piłka jest krótka: jeśli pracujemy u klienta, to nie można pozwolić sobie na to, aby przyjść po wódce do pracy.

Jedyne, czego nie mógł się pozbyć tak na zawołanie, to były papierosy. Boże, ile on pali!

Ale jakoś i z tym dawaliśmy sobie radę.

Któregoś razu jechaliśmy na pracę wyjazdową pod Skierniewice, mieliśmy zlecenie na wykonanie okablowania elektrycznego w domku jednorodzinnym. Jadąc, zatrzymaliśmy się w pobliskim sklepie w celu dokonania zakupów żywnościowych. Pani sprzedawczyni widząc Heńka, konspiracyjnym szeptem zapytała mnie: „Panie, jedziecie kręcić jakiś film?". „Tak – odpowiedziałem bez namysłu – drugą cześć Ediego *– jak z kloszarda staje się biznesmenem". Kupiła, uśmialiśmy się potem setnie.*

Kiedyś zgłosiła się ekipa filmowa z propozycją, że będą kręcili „kulisy sławy" o Heńku. I to w miejscu pracy. Trzeba była ubrać

Heńka w firmową koszulkę i postawić z wiertarką przy robieniu otworów. Nie powiem, że grał, bo nie grał, a potem trzy razy kręciliśmy, jak Heńkowi wypłacam należność….

I co? Po każdej wypłacie Heniek chował kolejną kasę do kieszeni. Zabrakło mi pieniędzy w portfelu – dobrze, że były tylko trzy duble… Oczywiście to tylko żarty, ale jak ktoś z boku patrzy, to myśli, że my tak na poważnie.

Po tym reportażu zaczęły płynąć do niego propozycje epizodów z różnych seriali telewizyjnych, a nawet Jerzy Gudejko zaproponował mu udział w spektaklu Goło i wesoło*.*

Heniek poprosił o urlop, a potem coraz rzadziej przychodził do pracy (za moją zgodą). Ostatecznie miał płacone za efektywną bytność w firmie.

Wykorzystałem raz Heńka do mojej małej produkcji filmowej, w której zagrał Mikołaja. Kręciliśmy filmik u mnie w domu, była to żmudna praca. Cztery godziny zajęły nam zdjęcia do filmu, który trwał po zmontowaniu siedem minut, ale dzięki temu mogę się pochwalić, że to w moim filmie, którego byłem reżyserem i kamerzystą w jednej osobie, główną rolę zagrał Henryk Gołębiewski. Film pod tytułem Wizyta Mikołaja *wyświetlony był w gronie rodzinnym przy kolacji wigilijnej.*

Kiedy Heniek został ojcem i urodziła mu się Róża, wrócił do stałej pracy, cóż, nowe obowiązki, nowe wyzwania. Musiał jakoś pogodzić występy w teatrze, granie w serialach i pracę u mnie, ale daje radę, a kiedy zaczyna mieć trudniejsze okresy (a takie mu się czasami zdarzają), biorę go na bok na szczerą męską rozmowę, ale o czym rozmawiamy… to zawsze pozostaje między nami.

Moje losy też potoczyły się dość nieoczekiwanie, wystąpiłem w programie Ugotowani*, potem dostałem propozycję od reżysera, aby swoją twarz „przekazać" do banku danych agencji aktorskiej i tak z roli właściciela firmy montującej klimatyzację i wentylację przekształciłem się w odtwórcę ról filmowych (ale firmę prowadzę nadal).*

Kiedyś namówiony przez znajomego postanowiłem spróbować swoich sił w kabarecie. Było to niecodzienne wyzwanie. Chcąc być oryginalny, postanowiłem sam pisać skecze. Publiczność dość ciepło przyjęła moje teksty, a także ich wykonanie. Wtedy narodził się kolejny pomysł: aby stworzyć własny kabaret. Pierwszą osobą, z którą się tym pomysłem podzieliłem, był Heniek. Na odzew nie musiałem długo czekać.

Pierwszy tekst, jaki napisałem dla siebie i dla Henia, to była rozmowa majstra i pracownika w czasie przerwy śniadaniowej w pracy, trochę na wzór Fachowców *Friedmanna i Kofty. Brawa, jakie dostaliśmy, nakręciły nas do nowych wyzwań.* Smakosze*,* Ciężkie życie Pisuardesy *czy* Emeryci *to tylko niektóre ze skeczy, jakie wykonywaliśmy.*

Bardzo często zdarza się, że przed występem ćwiczymy tekst (dialog) u klienta, dla którego wykonujemy jakąś pracę, ale zanim on się zorientuje, co jest grane, to my mamy ubaw po pachy…

Na jedną z budów, gdzie mieliśmy zamontować klimatyzację, przyjechaliśmy w pełnym składzie: ja, Heniek i Marek. Heniek wzbudzał sensację, ale aby uniknąć natrętnych pytań, wymyśliliśmy, że powiemy, iż Heniek to nie Heniek, tylko osoba bardzo do niego podobna.

No i chwyciło, przyszedł kierownik budowy, a my wkręciliśmy go totalnie, aż chłopina nawet sam zaczął fantazjować, jak to kilka lat temu pracował razem z Heńkiem, „ale to był pijak, panowie, on nawet łopatę przepił, jaką miał na stanie".

Mało nie skręciliśmy się ze śmiechu podczas tej niby-prawdziwej opowieści pana kierownika, ale nie wyprowadzaliśmy go z błędu, tym bardziej że czekaliśmy na ekipę filmową Polsatu, która właśnie na tej budowie miała robić z nami reportaż.

Kierownik coraz bardziej się rozkręcał w swoich fantazjach i tylko czekaliśmy, jak zacznie opowiadać kolejną historię z życia Henia (przecież go ponoć bardzo dobrze znał).

Wreszcie przyjechała ekipa i okazało się, że Heniek to naprawdę Heniek. Biedny kierownik zmył się z budowy i już do końca dnia się

nie pokazał.

Lubię z Heniem porozmawiać o tym, co by każdy z nas zrobił, gdybyśmy wygrali większe pieniądze w totka. Mamy jedno marzenie – zrobić film, film z prawdziwego zdarzenia…

Ale marzenia przecież się spełniają. Kiedyś moim marzeniem było poznać Henia, potem zagrać z nim w filmie i jak na razie wszystko się spełniło, bo tak naprawdę życie to jedno wielkie marzenie. I tylko od nas samych zależy, czy to spełnienie będzie w stu procentach, czy skończy się na czterdziestu, a potem człowiek będzie miał kaca.

Nigdy nie przypuszczałem, że nasze drogi się zejdą, ale widocznie życie tak chciało. Jesteśmy dobrymi kumplami. Heniek wie, że w potrzebie może liczyć na moją pomoc, a ja wiem, że w drugą stronę też to działa.

PAWEŁ KRÓLIKOWSKI
(aktor i przyjaciel Henia)

FOT. MIECZYSŁAW WŁODARSKI/REPORTER

Warszawa ma dwa skarby: Zamek Królesski i Henryk Gołębiesski!

Henia poznałem, zdaje się, w dwa tysiące pierwszym roku, przy programie Wieczór kawalerski*, gdzie zagrał Macho. I od razu się*

polubiliśmy. Potem los zetknął nas przy spektaklu Jurka Gudejki Goło i wesoło*. Zagraliśmy ponad siedemset przedstawień.*

Zabawnych scen i anegdot było mnóstwo. Parę z nich opowiem. Kiedy byliśmy na występach w Kanadzie, poszedłem z Heniem na zakupy. Pech chciał, że skręciłem nogę. Torby ciężkie, noga boli jak cholera. Nie mogę iść dalej. Heniek mówi, że mi pomoże, ale akurat go przycisnęło do toalety. Więc ustaliliśmy, że ja zostanę i będę czekać, a on skoczy do WC w hotelu i wróci z odsieczą.

Stoję z tobołami jak ten wazon i czekam. Czekam kwadrans, czekam dwa kwadranse, trzy… W końcu dociera do mnie, że ten nygus po mnie nie przyjdzie. Biorę taryfę i jadę do hotelu. Wchodzę do holu, a tam przy barze Henio w doskonałym humorze jak gdyby nigdy nic popija drinka! Ja do niego: „Przecież miałeś po mnie wrócić!". A ten potulnie odpowiada: „Myślałem, że ci przejdzie…". No i jak się na niego gniewać?

Inna historia, tym razem z naszego pobytu w Stanach Zjednoczonych. Jesteśmy w Chicago w hotelu. Pakujemy się do wyjazdu. Limit trzydzieści kilogramów na osobę. Przybiega do mnie Henio i mówi, żebym przyszedł zobaczyć, jak się świetnie spakował. „Co ja, walizki nie widziałem?" – odpowiadam. Ale on nalega.

No to idę, ale czuję, że coś znowu zmajstrował. Wchodzę do pokoju – rzeczywiście walizeczka pięknie spakowana. A obok niej… wiaderko jak po farbie. „Co to ma być?" – pytam. Na co Henio z dumą: „Majonez!". „Po ch… ci majonez?! I to całe wiaderko! Przecież to nie kawior. W Polsce kupisz to samo i taniej". „Ale to prezent od kolegi i nie wypada zostawiać…" – odpowiada Henio. Jedziemy na lotnisko. I on się pakuje do samolotu z tym wiaderkiem majonezu. Wpuścili. Po dwóch latach Henio wraca do sprawy. „Pamiętasz ten majonez?" „Jasne, że pamiętam. Smakował?" Na co Henio: „Musiałem go wywalić!". „Więc po diabła go targałeś przez cały ocean?" „Bo to był prezent!"

Kolejna historia. Kraków. Kabaretowy Klub Dwójki. Chyba urodziny Henia. Miałem wygłosić oracje na jego temat. Wygłosiłem ją z wielkim patosem. Potem zaśpiewaliśmy dla niego piosenkę

*z serialu S*tawiam na Tolka Banana*. I wręczyliśmy statuetkę – cegłę, bo przecież grał tam Cegiełkę. Był autentycznie wzruszony.*

Jeszcze coś ciekawego. Jesteśmy na lotnisku w Londynie. Palić się chce jak cholera. A jest zakaz. Idziemy z kubkami kawy w dłoniach i niezapalonymi papierosami w ustach. Gdzie tu można puścić dymka? I w ostatniej chwili wypada jakiś kelner i woła: „Ooo, witam, panie Heniu!". Heniu na to: „Palić się chce". „No to zapraszam do siebie!" Prowadzi nas do małej sympatycznej knajpki, zamyka drzwi na klucz, stawia po drinku i mówi: „Palcie, panowie, nikt się nie dowie…".

Sumując: Henio to jest dobry kamrat, chociaż bajerant, hazardzista i Baltazar Gąbka – lubi wypić. Ale zawsze można na niego liczyć. Skromny, normalny, niewywyższający się kumpel. I naprawdę profesjonalny aktor!

WOJCIECH POPIELA
(żołnierz i wolontariusz)

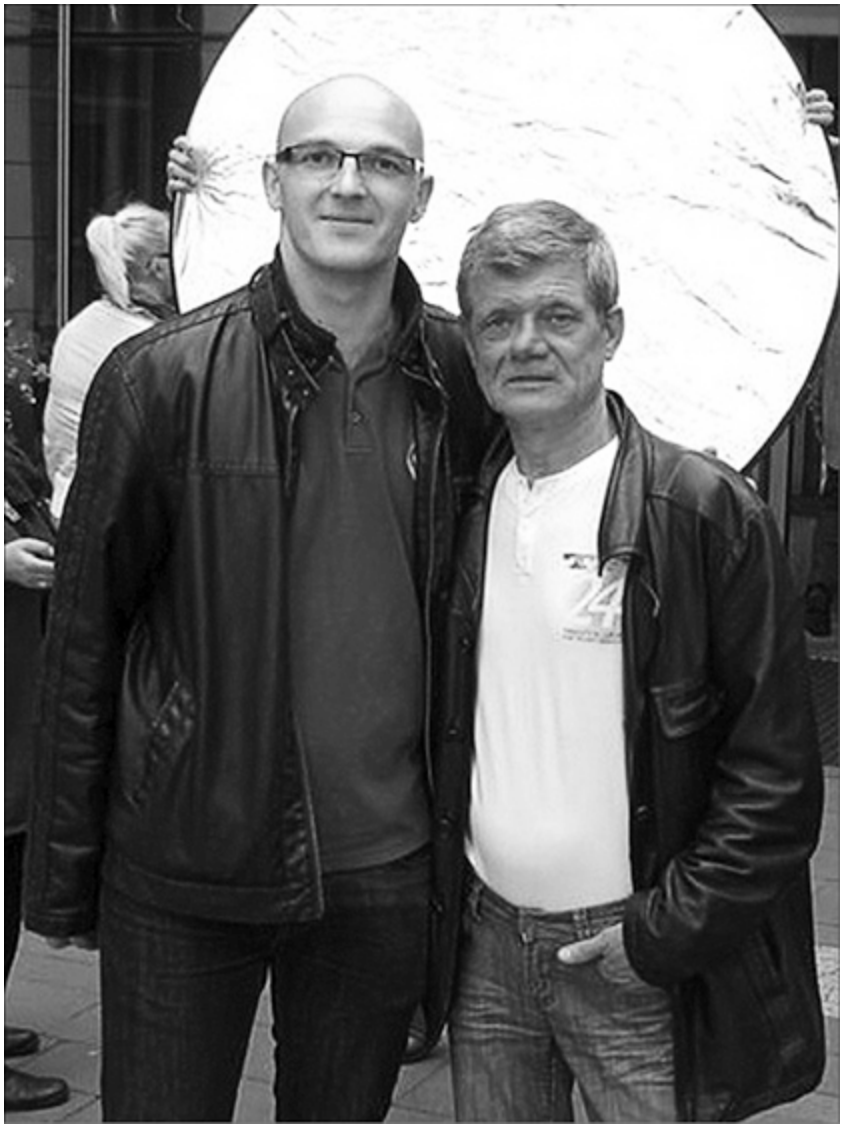

Wojtek i Henio na planie filmowym (zdjęcie z archiwum domowego)

Heniek Gołębiewski – jak dla mnie temat rzeka, legenda za życia, aktor bez szkoły, przebijający większość tych z wykształceniem

kierunkowym. Gdy byłem dzieckiem, w latach późnej komuny, świat wyglądał troszkę inaczej.

Wychowałem się w małej wiosce Wierchomli, ulokowanej w Popradzkim Parku Krajobrazowym, wioska jest urokliwa po dziś dzień i po dziś dzień telewizja naziemna nie ma tam zasięgu. Jako dziecko słuchałem bajek w radiu lub oglądałem zaśnieżony obraz z telewizji słowackiej.

Pewnego dnia zamontowano w naszej wiosce telewizję satelitarną i po raz pierwszy w życiu mogłem oglądać polskie programy, kiedy chciałem.

Dużo czasu spędzałem nad okolicznym potokiem w gronie rówieśników, budując bazy, szałasy czy tym podobne schronienia ukryte przed okiem innych.

Pamiętam dzień, w którym telewizja wyemitowała pierwszy odcinek Stawiam na Tolka Banana *– był to film młodzieżowy, który troszkę przypominał nasze codzienne życie, o grupie rówieśników mającej swoje tajemnice. Wówczas najbardziej imponował mi Cegiełka (którego grał Henio Gołębiewski), ponieważ był niezależny i sam podejmował decyzje – utożsamiałem się z nim mocno. Nagrywałem na kasety wideo wszystkie odcinki i potrafiłem godzinami je oglądać.*

Ponieważ, jak wspomniałem, były to inne czasy i telewizja często emitowała filmy dla młodzieży, niebawem obejrzałem Podróż za jeden uśmiech*,* Wakacje z duchami *i wiele innych filmów, w których Henio występował. W późniejszych latach coraz mniej było filmów, w których można było zobaczyć Henia, dlatego też wracałem do dzieciństwa, oglądając w internecie stare filmy i seriale.*

Gdy miałem dziewiętnaście lat, na ekrany wszedł wielki hit Edi*, film, po którego obejrzeniu byłem w ciężkim szoku z dwóch powodów: po pierwsze, głupio się przyznać, ale myślałem, że Henio dawno zmarł, bo nie było go tyle lat na wielkim ekranie, po drugie, bo po takiej przerwie powierzoną mu rolę odegrał rewelacyjnie.*

Heniek to człowiek o bardzo charakterystycznej twarzy, a jego głos jest niepowtarzalny. W polskiej kinematografii jest tylko jeden aktor, z którym mógłbym go porównać – to Jan Himilsbach*, obaj mają rozpoznawalny dla ucha głos, obaj też są bardzo charakterystyczni z wyglądu (z tą różnicą, że grymas twarzy Henia zawsze idzie w kierunku uśmiechu, a Himilsbacha w kierunku powagi), obaj panowie zaś jak dla mnie stali się legendą za życia.*

Świat poszedł do przodu, wyjechałem z gór, zostałem żołnierzem zawodowym i po kilku latach wojskowej tułaczki osiadłem w Legionowie, gdzie wraz z grupą znajomych rozpoczęliśmy realizację projektu o nazwie „Wolontariat Legionowo".

Cały szkopuł polegał na tym, by zebrać pieniążki na leczenie chorych dzieci z Legionowa, nie tracąc ani złotówki – jak to robią fundacje i stowarzyszenia. My wszyscy pracujemy jako wolontariusze nieodpłatnie, niejednokrotnie dokładając własne pieniądze. Organizowaliśmy imprezy charytatywne przy pomocy lokalnych firm, darczyńców oraz urzędu miasta.

Na jednej z imprez pojawił się Heniek Gołębiewski, który po przyjacielsku rozmawiał z ludźmi, wszedł na scenę sali widowiskowej i zlicytował kilka płyt z filmami, w których grał (oczywiście każdą opatrzył swoim autografem). Pamiętam, że ten dzień był dość długi i intensywny, jednak Heniek niezmiennie z uśmiechem na twarzy pozował do zdjęć, które na miejscu były drukowane w cenie pięciu i dziesięciu złotych. Chętni wrzucali pieniądze do puszki, a Henio na każdej fotce składał autograf. Heniek zjawił się z żoną i córeczką, które dodawały mu otuchy w zmęczeniu.

Gdy właściciel restauracji Ratusz dowiedział się, że Henio za darmo postanowił wesprzeć akcję pomocy choremu dziecku, zobligował się ugościć obiadem jego wraz z rodziną. Ponieważ z Heniem zakolegowaliśmy się od początku, to ja przekazałem mu informację, że w restauracji czeka na nich obiad. Henio popatrzył na mnie srogim wzrokiem, wyciągnął dłoń i powiedział: „Ale jak to? Lepiej te pieniążki przekazać na leczenie". Uśmiechnąłem się i zapewniłem, że jest to jeden z wielu gestów dobrej woli właściciela restauracji.

Ta sytuacja zaszokowała mnie totalnie: większość aktorów, których usiłowałem zaprosić do wsparcia naszych działań, informowała, iż oczekuje za pojawienie się i poprowadzenie licytacji wynagrodzenia, a Henio nie dość, że za darmo wsparł naszą akcję, to jeszcze był oburzony na myśl o tym, że ktoś tego dnia mógł przeznaczyć fundusze na inny cel niż leczenie dziecka. Muszę przyznać, że zdarzają się tacy aktorzy, którzy pomagają za darmo, ale jest ich bardzo mało.

Obraz Henia Gołębiewskiego w moich oczach zawsze był wyidealizowany, uważałem go za swojego idola. Gdy poznałem go osobiście, przekonałem się, że wizja jego postaci w mojej głowie niewiele się różni od rzeczywistości. Jak już wspomniałem, bardzo zakolegowałem się z Heniem i rozmawiamy o wszystkim, stąd wiem, że życie go nie oszczędzało, a jednak na jego twarzy zawsze gości uśmiech, który z reguły przerywa albo niezrozumienie, albo wesoła dykteryjka, jakich Heniek ma zawsze multum w zanadrzu. Zaobserwowałem, że Henio ma w sobie taki stoicki spokój, dzięki któremu potrafi stłumić wszystko, co go dręczy lub niepokoi.

Kiedyś słyszałem, że pasjonata od profesjonalisty różni to, iż jeden coś kocha, a drugi coś umie. Sądzę, że Heniek należy do obu tych grup: on kocha grę aktorską, ale też Bóg obdarzył go talentem. Przykre, że polska kinematografia nie chce korzystać z talentu i pasji Henia, działając w myśl zasady: „Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie".

Podsumowując, pragnę przekazać życzenia zdrowia, szczęścia oraz dużych sukcesów dla Henia, Marzenny i Różyczki. Ponadto podziękować za całe dobro wyświadczone chorym dzieciom.

ZBIGNIEW BUCZKOWSKI
(o Heniu)

(© FOT. PIOTR REWUCKI / AGENCJA W. IMPACT)

Henio Gołębiewski zabłysnął na ekranie jako dzieciak, kiedy ja byłem już prawie dorosły. Ale że, jak całe moje pokolenie, wychowałem się na książkach Adama Bahdaja, to mimo że filmy i seriale, które kręcono na ich podstawie, przeznaczone były raczej dla młodzieży młodszej, obejrzałem je wszystkie. A Henio był żywym wcieleniem postaci, które grał – Maniusia „Pikadora" z Wakacji z duchami*, Poldka z* Podróży za jeden uśmiech *czy Cegiełki ze* Stawiam na Tolka Banana*.*

Potem Henio zniknął na jakieś dwadzieścia lat, a kiedy objawił się w Edim *Piotra Trzaskalskiego, okazało się, że niczego nie stracił ze swojego talentu, a kamera kocha go jak dawniej, co zresztą widać we wszystkich, nawet epizodycznych rolach, jakie zdarza mu się grać.*

Na planie spotykaliśmy się rzadko, ale znamy się nieźle i lubimy. Henia zresztą nie sposób nie lubić: jest niebywale sympatyczny, dowcipny, skromny – może nawet za bardzo – a przede wszystkim, jak sama nazwa wskazuje, to człowiek o iście gołębim sercu.

TOMASZ SOLAREWICZ
(scenarzysta i przyjaciel Henia)

No cóż, koniec wieńczy dzieło. Czas, abym i ja – współautor książki – zabrał głos. Henia poznałem w słynnej restauracji Lotos na rogu Chełmskiej i Belwederskiej. Mieszkałem niedaleko. To mekka artystów różnego pokroju. Wystrój jak w latach siedemdziesiątych, fantastycznie rustykalny i sentymentalny. Ma się wrażenie, jakby się człowiek cofnął w czasie. Od słowa do słowa zaczęła się rozmowa. Była wódeczka i zakąska. Zbliżyła nas wspólna filmowa profesja: Henio – aktor, ja – scenarzysta. Gadaliśmy przez kilka godzin, aż do zamknięcia lokalu.

Po kilku dniach spotkaliśmy się znowu. Przyjechałem po niego na Dąbrowskiego, mieliśmy razem jechać na rozmowę z Robertem Sojką – producentem. Robert został w terenówce, a ja poszedłem

po Henia. Wyszedł. Jednocześnie w oknie pojawiła się twarz wkurzonej Marzenny – jego małżonki. Zaczęła do mnie wrzeszczeć, żebym broń Boże nie przywoził Henia pijanego!!! Głos miała tak donośny, że omal szyby nie wyleciały. I wtedy zrozumiałem, że jestem naprawdę u siebie. Pojechaliśmy na rozmowę o naszym projekcie, ale daliśmy tak w palnik, że ledwie wróciliśmy z powrotem. Zaniepokojona Marzenna wyszła na zewnątrz, aby nas dorwać. Wtedy pani sprzedająca kwiaty zapytała ją: „Życzy sobie pani męża?". Marzenna osłupiała. „No bo tych trzech szło na Jojko" (taki placyk niedaleko). A to byłem ja, Henio i Jarek Sokołów. Z dodatkowymi procentami wróciliśmy do mieszkania Henia. I zaczęła się jazda. Marzenna wyrzuciła nam alkohol, zdaje się, że cytrynówkę, i ochrzaniła.

Po jakimś czasie znowu trafiłem pod strzechę Henia. Była śnieżna zima, godzina siódma rano (!), a ja, zasypany śniegiem jak bałwan, dzwonię do nich przez domofon. Otwiera mi Henio w szlafroku. Robi wielkie oczy. Ale wpuszcza mnie. I to mnie ujęło, bo mógł powiedzieć „spadaj" i zatrzasnąć drzwi.

Od tego czasu zaczęła się nasza przyjaźń. Zostałem zaakceptowany, a nawet polubiony przez Marzennę i małą Różę. Dlaczego? Przecież Henio jest nieufny i obcych trzyma na dystans. Ale ja jestem podobny do niego – nie mam parcia na szkło, nie szpanuję, jestem sobą. Umiem docenić i uszanować innych, nie wstydzę się przyznać do winy, kiedy coś przeskrobię. Potrafię powiedzieć „przepraszam" czy „wybacz". To są naprawdę magiczne słowa.

Zaczęliśmy wspólnie jeździć nad Jeziorko Czerniakowskie, snuć plany filmowe na przyszłość. Odwiedzaliśmy się coraz częściej. Poznałem siostrę Henia – Basię i brata – Cześka. Poczułem się jak część ich rodziny. Basia przyrządzała dla mnie moje ulubione naleśniki albo racuchy (oczywiście nie tylko dla mnie), Marzenna bardziej wymyślne dania. Po prostu mnie dokarmiali.

Na Boże Ciało jeździliśmy do teściowej Henia – Ani Król – do Klewkowa koło Łowicza. Zawsze było wesoło. Robiliśmy grilla,

graliśmy w karcięta, bule, skoczki, piwkowaliśmy. Niezapomniane chwile…

Bywało też niewesoło. Razem z Heniem wdawaliśmy się w awantury, zwłaszcza kiedy ktoś nam podskoczył. Taki już mamy charakter. Jeśli ktoś z nami grzecznie – to i my grzecznie. Jeśli się ciska, to reagujemy.

Mamy wiele wspólnych projektów filmowych, ale, niestety, nie możemy się z nimi przebić. Wierzę, że w końcu nam się uda.

A Henio to jest mój najlepszy przyjaciel. Ma niesamowite poczucie humoru. Często podpuszcza nas, opowiadając banialuki, ale tak serio, że człowiek daje się nabrać. A potem ma z nas ubaw. Henio to obok Zbynia Buczkowskiego jedyna żyjąca legenda polskiego filmu. Jestem dumny, że zostałem jego przyjacielem.

WYBRANA FILMOGRAFIA
(stan na lipiec 2015)

ABEL, TWÓJ BRAT
WAKACJE Z DUCHAMI
PODRÓŻ ZA JEDEN UŚMIECH
STAWIAM NA TOLKA BANANA
CZARNE CHMURY
KONIEC WAKACJI
ZANIM NADEJDZIE DZIEŃ
TEN OKRUTNY, NIKCZEMNY CHŁOPAK
DALEKO OD SZOSY
ŻOŁNIERZE WOLNOŚCI
NIE ZAZNASZ SPOKOJU

Powrót po dwudziestu latach
SARA
HISTORIE MIŁOSNE
CZAS ZDRADY
BOŻA PODSZEWKA
13 POSTERUNEK
KLAN
DŁUG
WIELKIE RZECZY
DOM
ŚWIĘTA POLSKIE
REQUIEM

PLEBANIA
MARZENIA DO SPEŁNIENIA
PSIE SERCE
NA DOBRE I NA ZŁE
M JAK MIŁOŚĆ
EDI
DZIEŃ ŚWIRA
D.I.L.
RODZINKA
POWIEDZ TO, GABI
POLSKIE MIŁOŚCI
KRYMINALNI
KOSMICI
FALA ZBRODNI
DZIKI
DALEKO OD NOSZY
CAŁKIEM NOWE LATA MIODOWE
CITY
WIEDŹMY
PENSJONAT POD RÓŻĄ
OFICER
LAWSTORANT
KLINIKA SAMOTNYCH SERC
CHAOS
WSZYSCY JESTEŚMY CHRYSTUSAMI
STRAJK. DIE HELDIN VON DANZIG
OLEK
NIANIA
JOB, CZYLI OSTATNIA SZARA KOMÓRKA

CZEKA NA NAS ŚWIAT

ALE SIĘ KRĘCI

TAXI A

RYŚ

OJCIEC MATEUSZ

PROSTA HISTORIA O MIŁOŚCI

OPTYMISTA

1920. WOJNA I MIŁOŚĆ

KAC WAWA

GALERIA

CZAS HONORU

DROGÓWKA

POD MOCNYM ANIOŁEM

KOMISARZ ALEX

BARON 24

STRAŻACY

* autor tekstu Wanda Sieradzka

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
ul. Marszałkowska 8
00-590 Warszawa

tel. 22 6211775
e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360
Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl
Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz